

Anne Herries

Honorowe

rozwiązanie

Rozdział pierwszy

- Małżeństwo z panną Thornton! - Czcigodna lady Longbourne na pewno usiadłaby z wrażenia, gdyby nie upał, uniemożliwiający podejmowanie takich wysiłków. Leżała wyciągnięta na eleganckim, wyścielonym jedwabnymi poduszkami szezlongu i lekko pogroziła ręką swoim gościom. - Carltonie, to nie był żart w dobrym guście. Wyznaję, że mnie zaskoczyłeś.

- To wcale nie był żart, mamó. - Wargi lorda Vincenta Carltona wygięły się w leniwym uśmiechu. Był mężczyzną uderzająco przystojnym i nieprzyzwoicie wręcz bogatym; pomimo niezwyklej wspaniałomyślności wobec tych, których kochał, przez wielu innych uważany był za wyniosłego i niedostępnego. - Przyjechałem dziś do ciebie z prośbą, byś była tak dobra i zaprosiła do siebie Cassandrę. Dzięki temu moglibyśmy należycie się poznać, zanim się jej oświadczę.

- Miałabym zaprosić tutaj tę Thorntonównę? - W przejrzystych błękitnych oczach lady Longbourne pojawił się wyraz niedowierzania. - Chyba nie mówisz serio, Carltonie? Przecież nie możesz myśleć poważnie o takim mezaliansie?

- Musi - zabrał głos drugi z jej gości. - To kwestia honoru, mamó. Vinnie jest zobowiązany ją poślubić.

Jedna z obutych w satynowy pantofelek drobnych stóp dotknęła ziemi, po chwili dołączyła do niej druga. Lady Longbourne jednak usiadła. Wyraz głębokiego niedowierzania odmalował się na jej twarzy, która nosiła jeszcze ślady oszałamiającej urody. Spojrzała na Harry'ego Longbourne'a, swego młodszego, ukochanego syna, będącego owocem jej drugiego małżeństwa, znacznie szczęśliwszego niż pierwsze.

- O czym ty mówisz, Harry? Dlaczego Carlton miałby się czuć zobowiązany do poślubienia tej dziewczyny? - zapytała. Nagle jej policzki pobladły, przeniosła wzrok na starszego syna. - Carltonie! Ty chyba nie... nie zhańbiłeś tej dziewczyny, prawda?

Uśmiech zniknął z oczu Vincenta. Poczł się głęboko dotknięty sugestią, że mógłby upaść tak nisko, by zhańbić jakąkolwiek kobietę, a szczególnie dobrze urodzoną damę! Zbyt jednak kochał matkę (choć aż za dobrze wiedział, że zawsze wyróżniała jego brata) i był za dobrze wychowany, by okazać gniew.

- Oczywiście, że nie! - Wyrwał się Harry, zanim Vincent zdążył wymyślić stosowną odpowiedź. - Co za pomysł! Powinnaś lepiej znać Vinniego, mamó! Chodzi o obietnicę, jaką wszyscy złożyliśmy Jackowi Thorntonowi w przeddzień jego śmierci pod Waterloo.

- Obietnica? Jaka obietnica? - dopytywała się matka, zirytowana, że jej spokój został zakłócony w tak upalny dzień. - I co ma obietnica złożona bratu Cassandry do prośby Carltona o jej rękę?

- Jack otrzymał tego dnia wiadomość o śmierci ojca - tłumaczył cierpliwie Harry, podczas gdy Carlton wstał i podszedł

do okna małego saloniku, ulubionego pokoju lady Longbourne w Carlton House. Przyglądał się starannie utrzymanym trawnikom i klombom róż, podczas gdy Harry relacjonował matce wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Emaliowany francuski zegar, stojący za jego plecami na przepięknym, zaprojektowanym przez pana Adama kominku, tykał niezmordowanie.

- Naturalnie był wstrząśnięty.

- Jak każdy na jego miejscu - przerwała lady Longbourne.

- Roztrwonił połowę rodzinnej fortuny przy stolikach do gier hazardowych, podczas gdy jego jedyny syn i dziedzic walczył za króla i ojczyznę! A potem jeszcze... - Wzdrygnęła się z niesmakiem. - Znalezienie ojca, który zginął z własnej ręki, musiało być potwornym przeżyciem dla Cassandry...

- Właśnie, mamó. - Carlton odwrócił się, żeby podjąć opowieść. Starał się panować nad twarzą, by nie ujawnić zgrozy, jaką w tej sytuacji musiał odczuwać każdy przyzwoity człowiek. - Jack był wstrząśnięty. Oszalały z bólu i zaszokowany. Prosił nas o opiekę nad siostrą, błagał, byśmy przysięgli, że jeśli on zginie, to jeden z nas ją poślubi...

- Ale dlaczego ty? - zapytała matka. - Ty mógłbyś zrobić bez porównania lepszą partię, Carltonie.

- To znaczy poślubić posażną pannę, może nawet córkę księcia, żeby poratować finanse rodziny...

Vincent był wysokim mężczyzną, smukłym, ale silnym, o wojskowej sylwetce. Miał blond włosy, krótko przycięte zgodnie z najświeższą, obowiązującą w wyższych sferach modą, jego strój zdradzał rękę mistrza sztuki krawieckiej, buty natomiast mogły zostać uznane za dzieło sztuki. Wyglądał więc na dżentelmena obdarzonego ogromnym majątkiem, pozwalającym mu (odkąd wrócił z Francji po pokonaniu Napoleona) robić to, na co tylko przyszła mu ochota.

- Nie, wcale nie, Vincencie! - Lady Longbourne zauważyła kpiące spojrzenie syna i się skrzywiła. - Wiem doskonale, że świetnie zarządzasz majątkiem i że wszyscy odnosimy z tego korzyści. Jednak to córka zwykłego baroneta... Pomyśl o swojej pozycji towarzyskiej, o rodzinnej dumie!

Ciemne brwi starszego syna uniosły się w górę, a jego ironiczne spojrzenie sprawiło, że na policzki matki wróciły rumieńce. Ponieważ nie lubiła, oczywiście, gdy jej przypominano, że zmarły ojciec Vincenta był nałogowym hazardzistą i gdyby nie zginął w dość młodym wieku, mógł ich wszystkich doprowadzić do ruiny.

- Tak, zdaję sobie sprawę, że tylko dzięki wypadkowi twój ojciec nie zgotował nam takiego samego losu, jaki stał się udziałem rodziny sir Edwarda Thorntona, ale nie w tym rzecz.

- Rzecz w tym, mamó - przypomniawszy jej łagodnie Vincent - że powtarzasz mi od lat, iż powinienem się ożenić i zapewnić Carlton dziedzica...

- Chyba się nie dziwisz? Stryj Septimus bez przerwy ciósł mi kołki na głowie, że najwyższy czas, byś spełnił swój obowiązek, a jego wstrętne żona puszy się swoim odrażającym bachorem, jakby już go widziała w roli twojego spadkobiercy. Z trudem trzymałam język za zębami w czasie ich ostatnich odwiedzin. Oglądała zasłony tak, jakby lada dzień miała je osobiście zaciągać! Może nie jesteś już młodzieniaszkiem, Carltonie, ale nie stoisz przecież nad grobem! A skoro wróciłeś cało z wojny, to liczę, że pożyjesz jeszcze ładne parę lat.

- Dziękuję za wiarę we mnie, mamó. Naprawdę mi ulżyło.

- Twoje dowcipy wcale mnie nie bawią. Masz dziwaczne poczucie humoru, Vincencie.

- Wybacz, mamó. - Szare oczy lorda Carltona rozbłysły. - Bardzo mi przykro, że nie pochwalasz mojego dowcipu.

- Przede wszystkim nie pochwalam twojego pomysłu poślubienia córki Thorntona. - Lady Longbourne westchnęła. - Skoro Jack Thornton poprosił was wszystkich o opiekę nad siostrą, co wcale nie było pozbawione sensu, jako że sąsiadowaliśmy ze sobą, kiedy żył jeszcze mój drogi Bertie... - musnęła kącik oka maleńką, koronkową chusteczką - ... i nadal mogliśmy sąsiadować, gdyby nie twoja wspaniałomyślna propozycja, byśmy wrócili do Carlton, które wolę zdecydowanie od Longbourne, bo zimą mniej tu przeciągów... Tak czy owak nie rozumiem, dlaczego to właśnie ty miałbyś ją poślubić?

Mając lata praktyki w rozszyfrowywaniu pełnych dygresji przemówień swojej matki, lord Carlton bez trudu zrozumiał, co miała na myśli.

- Nie jestem wcale tak wspaniałomyślny, jak sądzisz - odparł, uśmiechając się do niej krzepiąco. - Nie zależy mi na tej rezydencji. Wolę własny dom w Londynie. Nie zapominaj też o odziedziczonej po dziadku Hamiltonie posiadłości w Surrey, która doskonale nadaje się na letnią siedzibę, wymaga tylko modernizacji i zmiany umeblowania na bardziej nowoczesne.

- Cóż, z twoją fortuną niewątpliwie możesz sobie na to pozwolić - oświadczyła lady Longbourne i opadła z ulgą na stertę jedwabnych poduszek, którymi wyłożony był szezlong.

- Pewnie byłoby cię stać na kupno tuzina domów. Uważam, że mój ojciec nie był zbyt sprawiedliwy, zapisując ci lwią część majątku.

- Nie mów tak, mamó! - przerwał jej, jak zwykle, Harry, który niejednokrotnie odwoływał się do hojności przyrodniego brata po pechowej nocy przy hazardowym stoliku,

więc sugestie matki, że powinien otrzymać udział w majątku Hamiltonów, wprawiały go w zakłopotanie. - Ja dostałem w spadku posiadłości po swoim ojcu, które, choć nie tak ogromne, jak dobra Vinniego, zostały mi przynajmniej przekazane w kwitnym stanie. Natomiast gdy Vinnie odziedziczył tytuł lorda Carltona i związane z nim ziemie, musiał nie-licho się napracować, zanim doprowadził je do podobnego stanu. Doskonale o tym wiesz, mammo.

- Cóż, chyba masz rację - przyznała lady Longbourne. - Mój ojciec uważał, że Vincent ma głowę na karku, powiedział mi to tuż przed śmiercią... - Znow westchnęła i dotknęła chusteczką kącików oczu. - Wszyscy korzystamy ze wspania-łomyślności Carltona, ale ja nadal nie mogę pojąć, dlaczego on musi się ożenić z tą dziewczyną.

- Ciało Jacka nie zostało sprowadzone do kraju - powiedział Vincent z bolesnym wyrazem oczu. - Był moim przyjacielem, mammo. Jego zwłoki spoczywają gdzieś na terenie Francji, w masowym grobie. Przynajmniej tyle jestem mu winien.

Przez pewien czas lady Longbourne milczała. Zdumiały ją pełne pasji słowa syna i wyzierający z oczu ból. Takie okazywanie uczuć nie leżało w naturze Carltona.

- Było nas pięciu - zaczął opowiadać Harry, zanim brat zdążył go powstrzymać. - Ciągnęliśmy słomki i...

-I ja wygrałem! - dokończył za niego Vincent, piorunując Harry'ego wzrokiem. - Pamiętam Cassandrę jako małą, chudą, nieładną dziewczynkę, lecz miała wówczas dwanaście lat i od tego czasu musiała się bardzo zmienić. Zresztą obietnica złożona przyjacielowi na polu bitwy to kwestia honoru, mammo. Zamierzam jej dotrzymać.

- A jeśli cię nie przyjmie? - zapytał Harry. Miał dwadzieścia cztery lata, jasną cerę i włosy, błękitne oczy i słoneczną

naturę, która z łatwością zjednywała mu przyjaciół. Był o siedem lat młodszy od brata, którego podziwiał bez porównania bardziej, niż ośmielał się okazać, bo Vinnie nie tolerował tylko jednego: ludzi, którzy się przed nim płaszcyli. - Co wtedy zrobimy?

- Wygrałem prawo do ubiegania się o jej względy jako pierwszy - odparł Vincent. - Jeśli mnie odrzuci, przyjdzie kolej na pozostałych.

- Jeśli cię odrzuci? - Lady Longbourne uniosła brwi z niedowierzaniem. - Nie sądzę, by Cassandra Thornton była taką idiotką. Skwapliwie przyjmie propozycję, Carltonie. Potraktuje to jak niespotykany dar od losu... Mogła się zmienić, ale nieładna dziewczynka pozostaje zawsze nieładna i nie ma sposobu, by wyrosła z niej piękność.

- Wcale nie oczekuję, że okaże się piękną. Nie pragnę zresztą, aby moja przyszła żona odznaczała się uderzającą urodą - odparł Vincent, znany z tego, że jego kochanki odznaczały się wyjątkowymi wdziękami. - Przekonałem się, że charakter kobiet, nazywanych w londyńskich salonach „ślicznotkami” czy „boginiami”, rzadko dorównuje ich urodzie. Zwykle są zepsute i próżne. Nie, mam, ten zarzut mnie nie zniechęca. - Uśmiechnął się, żeby złagodzić ostrość swoich słów. - A teraz, moja najdroższa mam, powiedz, czy zrobisz mi tę grzeczność i zaprosisz tu Cassandrę?

- Oczywiście. Nie musisz nawet pytać, Carltonie. Moim jedynym pragnieniem jest być pomocną najbliższemu. I choć żywię poważne obawy, czy znajdziesz szczęście w związku z taką dziewczyną, najpospolitszą, jak tylko można sobie wyobrazić, to oczywiście dołożę wszelkich starań, żeby spełnić twoje pragnienie i doprowadzić do tego małżeństwa. Gdybyś jednak posłuchał mojej rady, to natychmiast zarzuciłbyś ten

pomysł... ale oczywiście zaproszę ją tutaj. Jestem całkowicie na twoje usługi.

Lady Longbourne jakiś czas temu uznała się za osobę wątłą i całymi dniami leżała w domu, zamiast znaleźć sobie jakieś przyjemne zajęcie. Prowadziła taki leniwy tryb życia od czasu ciężkiej choroby, a potem tragicznej śmierci ukochanego męża (zwyczajne przeziębienie przerodziło się w zdradziecką gorączkę, która w ciągu kilku dni zabiła ojca Harry'ego). Vincent z bólem patrzył na matkę w tym stanie. Pamiętał ją jako promienną pannę młodą, oddającą rękę sir Bertramowi Longboume'owi i z całego serca pragnął znów zobaczyć ją tak szczęśliwą.

W głębi duszy przyznawał jej rację. Cassandra Thornton była rzeczywiście nieładnym, milczącym dzieckiem, miała jednak śliczny uśmiech i mnóstwo energii, kiedy była czymś podekscytowana. Vincent żywił nadzieję, że kiedy jego matka obejmie tymczasową opiekę nad całkowicie pozbawioną krewnych dziewczyną, wróci jej dawna radość życia,

- Jakaś ty dobra, mamo! - Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Napiszesz do Cassandry jeszcze dzisiaj?

- Przed obiadem - obiecała ze stłumionym westchnieniem.
- Zrobiłabym dla ciebie wszystko... - Poglądziła go po policzku. - Przecież wiesz, że cię kocham.

- Oczywiście - odparł z uśmiechem. - Nigdy w to nie wątpię.

- Jesteś dla mnie prawdziwą podporą w jesieni życia. - Tu lady Longbourne spojrzała rzewnie na Harry'ego. - Co za szczęście, że mam dwóch tak oddanych synów. Niektórzy synowie rzadko odwiedzają matki, wpadają w wir londyńskich rozrywek i nie poświęcają nawet jednej myśli tym, które nie mogą tego robić.

- Mamo... - Harry poruszył się niespokojnie, jakby marzył, by stamtąd uciec. - Wybacz, ale... chciałbym się przejść przed obiadem.

- Obaj jesteście ci serdecznie oddani - zapewnił Vincent, kiedy jego brat oddalił się pospiesznie. - Chyba powinienem cię uprzedzić, mamo, że Harry nie pozostanie tu raczej zbyt długo. Oddał serce pani... nie, proszę, nie patrz z takim przerażeniem. Nie przypuszczam, by mój czcigodny braciszek rozważał małżeństwo. Ona jest przynajmniej o dziesięć lat od niego starsza i nie cieszy się dobrą reputacją. Harry nie stracił dla niej głowy na tyle, by nie dostrzegać minusów takiego związku; pewnie zrobi z niej tylko swoją metresę. Uznałem, że lepiej, byś dowiedziała się o tym ode mnie niż od kogoś gorzej poinformowanego. Mam ci też przekazać, że stryj Septimus wybiera się do ciebie w odwiedziny.

- O, nie! - zawołała lady Longbourne, bardziej przejęta zbliżającą się wizytą niż zamiarem syna wzięcia sobie utrzymania. - Proszę, wypłuj te słowa! Mam przynajmniej nadzieję, że będzie sam, bez Felicity i Archiego.

- Przyjedzie w tym samym czasie, co Cassandra. Jestem przekonany, że wspólnie z nią zdołamy cię uchronić przed większością tyrad stryja.

- Ale nie opuścisz mnie zaraz po jego wyjeździe?

- Zostanę, dopóki Cassandra nie przyjmie moich oświadczeń albo ich nie odrzuci. A potem zobaczymy...

Wieczorem Vincent objeżdżał majątek, notując w pamięci różne drobiazgi, na które powinien zwrócić uwagę zarządcy. I rozmyślał. Rzeczywiście już najwyższy czas ożenić się i zapewnić rodowym dobrom dziedzica. Nie spotkał dotychczas kobiety, którą zapragnąłby uczynić żoną, pozostawało więc

małżeństwo z rozsądku z osobą, która nie będzie miała zbyt wielkich oczekiwań.

Kiedy Jack po raz pierwszy zaproponował mu, by ożenił się z Cassandrą, Vincent się nie zgodził. Gdyby nie to, niepotrzebny byłby ten nonsens ze słomkami. Po śmierci Jacka uznał małżeństwo z Cassandrą za swój obowiązek.

Dlaczego więc tak długo zwlekał? Napoleon został pokonany i zesłany na Wyspę Świętej Heleny już niemal jedenaście miesięcy temu, a dziewięć miesięcy minęło od powrotu Vincenta do domu. Jego rany już dawno się zagoiły, a on jeszcze nie spełnił obietnicy złożonej Jackowi Thorntonowi. Napisał tylko do Cassandry list, jeszcze z Francji.

Wbrew wszelkiej nadziei, miał jednak nadzieję. Nawet jeśli pomimo najszczęśliwszych wysiłków nie udało mu się odnaleźć ciała Jacka, to nie świadczyło, że przyjaciel żyje. Na własne oczy widział, jak Thornton padł, a taki postrzał musiał być fatalny w skutkach. Wielu żołnierzy zostało pochowanych tam, gdzie polegli, niektórzy tak zmasakrowani przez francuskie armaty, że nawet przyjaciele nie mogli ich rozpoznać.

- Do licha, Jack! - zaklął Vincent. - Nie chciałem, żebyś zginął.

Wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki nie spełni jedynej prośby Jacka: nie zapewni opieki jego siostrze.

- Cassie nie jest ładna - powiedział pewnej nocy Jack, gdy gawędzili przy dopalającym się ognisku - ale będzie cholernie dobrą żoną. Nie mogę znieść myśli, że ktoś mógłby ją skrzywdzić, Vinnie. Zawsze uważałem, że pasowalibyście do siebie.

Vincent odmówił wtedy przyjacielowi, ale po kilku dniach, kiedy przyszła straszliwa wiadomość o samobójstwie sir Edwarda, dał słowo wraz z pozostałymi.

- Dobrze, Jack - powiedział teraz, wpatrując się w nocne

niebo. - Wygrałeś, do licha! Ożenię się z nią, jeśli mnie tylko zechce.

Dwa dni później panna Cassandra Thornton podziwiała rozłożone na jej łóżku kreacje. Sprawiało jej to ogromną przyjemność. Nigdy dotąd nie miała tylu nowych, odpowiadających wymogom mody strojów. Chciała wystąpić w nich podczas londyńskiego sezonu, co planowała od chwili, gdy została poinformowana o nieoczekiwanym spadku.

- Są śliczne! - orzekła jej towarzyszka, gładząc wyjątkowo uroczą, zieloną suknię spacerową. - Masz szczęście, Cassie. Nigdy nie widziałam czegoś równie ładnego.

- Ta ci się podoba? - zapytała Cassie. Podniosła suknię i przyłożyła ją do figury dziewczyny. - Tak, to dla ciebie wymarzony kolor. Wspaniale podkreśla złociste włosy i zielone oczy. Musi należeć do ciebie, Sarah.

-Nie! - zawołała panna Sarah Walker. Jako piąta córka wiejskiego pastora, poczuła lekkie ukłucie zazdrości na widok pięknych strojów, bo jej rodzice, choć dobrzy i hojni w ramach swych skromnych możliwości, nie mogli sobie pozwolić, żeby ją wysłać na sezon do Londynu. - Jeszcze jej ani razu nie włożyłaś. Ja ją tylko podziwiałam. Nie chciałam, żebyś mi ją oddała.

- Wiem, głuptasku! - Cassie roześmiała się, a jej brązowe oczy stały się miękkie jak stopiona czekolada, kiedy wciskała suknię w ręce przyjaciółki. - Mam znacznie więcej ubrań, niż potrzebuję.

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytała Sarah, wpatrzona w suknię tęsknym wzrokiem, choć wyraźnie jeszcze pełna wątpliwości.

- Na pewno jej nie chcesz, Cassie?

- Zdecydowanie. Tobie będzie w niej lepiej niż mnie. Po-

pełniłam błąd, wybierając ten fason. Wydaje mi się, że również ta brązowa aksamitna i niebieska muślinowa są jak dla ciebie stworzone. Powinnaś wziąć je także.

- Cassie! Jesteś zbyt hojna. Nie możesz mi oddać wszystkich tych sukien.

- A właśnie, że mogę! - zawołała Cassie i dorzuciła do rosnącego stosu ubrań szal i dwa pasujące do sukien czepki. - Ciocia Gwendoline była bardzo, ale to bardzo bogata, Sarah. O mało nie padłam trupem, kiedy ten prawnik z Kornwalii powiedział, że wszystko mi zapisał. Była starszą siostrą mojej mamy, ale słabo ją pamiętam, bo mama zabrała mnie do niej tylko raz... na kilka miesięcy przed swoją śmiercią.

Łzy zalśniły na gęstych, ciemnych rzęsach Cassandry, ale zamrugła oczami, żeby je powstrzymać.

- Kochana Cassie - szepnęła przyjaciółka. - Nadal za nią tęsknisz, prawda?

- Wiem, że minęło już wiele czasu. Miałam zaledwie czternaście lat, kiedy zachorowała, ale bardzo ją kochałam - wyznała Cassie. - Wtedy jednak pozostali mi jeszcze ojciec i Jack. Straciłam obu tak nagle... - Wyrwał jej się szloch. - Strata Jacka była najgorsza. Byliśmy zawsze najlepszymi przyjaciółmi. Tak bardzo za nim tęsknię, Sarah.

- Wiem... - Dziewczyny objęły się serdecznie. - A w dodatku prawnicy powiedzieli, że masz tylko kilka miesięcy na opuszczenie domu. Moim zdaniem, to nie w porządku, że majątek przechodzi na własność dalekiego kuzyna.

- Niewiele zostało po spłaceniu długów. Zaledwie dom i trochę ziemi, ale i tak przykro mi się stąd wynieść. Szczególnie, że kuzyn taty, Kendal, jest taki okropny - powiedziała Cassie. - Nie mogę jednak dłużej zwlekać, choć jeszcze nie wiem, dokąd pójść.

- Możesz zamieszkać u nas - przypomniała jej Sarah. - Byłabym bardzo szczęśliwa. Tata powiedział, że możesz spać ze mną w pokoju i zostać tak długo, jak zechcesz.

- Twój ojciec jest bardzo dobry - oświadczyła Cassie - ale nie chciałam być dla niego ciężarem. Nie, już prawie podjęłam decyzję, że zostanę guwernantką albo damą do towarzystwa, kiedy dowiedziałam się, że ciocia Gwendoline zapisała mi majątek. Teraz żałuję, że nie kontaktowałam się z nią częściej, ale, prawdę mówiąc, wcale mnie do tego nie zachęcała.

- W ostatnich latach stała się odludkiem, prawda?

- Tak mi mówiono. Niezbyt się ucieszyła, kiedy przyjechaliśmy do niej z mamą, ale jednak zapisała mi cały majątek.

-I oto jedziesz do Londynu, żeby sobie znaleźć przystojnego wielbiciela!

- O, przynajmniej tuzin! - zawołała Cassie i jej ciemne oczy rozbłysły radośnie. - Zamierzam odnieść sukces w Londynie, choć nie jestem ładna. Ale pieniądze maskują wiele braków kobiecej urody.

- Wcale nie jesteś brzydka - stwierdziła lojalna Sarah. - Tata twierdzi, że jesteś przystojna, a trzeba ci wiedzieć, że w jego ustach to komplement.

- Tak, naturalnie - odparła z przekąsem Cassie. Nie odpowiadała ogólnie przyjętym kryteriom piękna. Nie wyglądała delikatnie i krucho, jak nakazywała moda, lecz nie była też brzydka. A już na pewno nie na tyle, by zniechęcić do oświadczeń młodych ludzi poinformowanych o jej pokaźnym majątku. - Wiem, że to komplement. Jestem mu za to bardzo wdzięczna.

- Więc kiedy wyjeżdżasz?

- Kiedy pani Simmons uzna za stosowne odpowiedzieć wreszcie na mój list. Pani Fitzpatrick poleciła mi ją jako swat-

kę i przyzwoitkę, a jak ci wiadomo, bez cieszącej się poważaniem przyzwoitki nie mam po co jechać do Londynu, bo nie zostałabym przyjęta do towarzystwa.

- Na pewno wkrótce odpisze. - Sarah westchnęła nieco smętnie. - Będę za tobą tęsknić.

- Nie będziesz miała powodu - odparła Cassie. W jednej chwili podjęła decyzję, która niespodziewanie przyszła jej na myśl. - Pojedziesz ze mną. Ale i tak musimy poczekać na panią Simmons, bo ty masz dopiero dziewiętnaście lat, a ja dwadzieścia jeden, więc nie możemy podróżować bez przyzwoitki.

Sarah patrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Niestety, tata nie może sobie pozwolić, żeby mnie wysłać.

- Nie musisz zawracać tacie głowy kwestiami finansowymi - oświadczyła Cassie. - Suknie, które ci dałam, na początek wystarczą, a po przyjeździe do Londynu kupię więcej ubrań dla nas obu. Odwdzięczę się w ten sposób za dobroć okazaną mi przez całą waszą rodzinę po śmierci mojego ojca.

Szokujące okoliczności samobójstwa ojca wstrząsnęły Cassie. Co prawda, wiekowa lady Fitzpatrick nadal zapraszała ją do swego położonego na przeciwległym krańcu niewielkiej wioski w Hampshire domu, to wielu sąsiadów, którzy dawniej jadali obiady z ojcem Cassie, teraz jej unikało. Gdyby nie wielbny Walker i jego rodzina, Cassie mogła się pograć w bezbrzeżnej rozpacz.

Tylko wyjątkowo silna dziewczyna mogła przetrwać tak straszliwe doświadczenia, nie tracąc rozumu ani determinacji, by nie dać się złamać. Chwilami Cassie wydawało się, że nie warto dalej żyć, że jej świat rozpadł się na kawałki. Jednak po kilku miesiącach zaczęła powoli godzić się ze swą stratą

i odbudowywać życie, a wiadomość o spadku dodała jej ducha i sił do walki.

Przed podwójną tragedią, która jej omal nie zniszczyła, Cassie żyła w zgodzie z sobą. Rodzice traktowali ją dobrze, ale uwielbiali Jacka. Był synem i dziedzicem, jakiego zawsze pragnęli, pogodnym i pewnym siebie. Cassie nie miała pretensji do rodziców, że stawiali brata na pierwszym miejscu. Sama go uwielbiała, był jej bohaterem, jej wzorem.

Od początku byli sobie bardzo bliscy. Cassie dotychczas nie przeboleła jego straty. Była pewna, że nikt nigdy nie będzie dla niej równie drogi. Może dlatego postanowiła nie szukać miłości i w wyborze męża nie kierować się uczuciem. Miłość była zbyt bolesna, a ona nie chciała już więcej cierpieć. Miała pieniądze; teraz potrzebowała mężczyzny, który zdoła zapewnić jej odpowiednią pozycję towarzyską.

Zbyt długo sąsiedzi patrzyli na Cassie z góry. Nie życzyła sobie litości ani protekcjonalności, chciała szacunku. Jako córka hazardzisty, który popełnił samobójstwo, mogła zapewnić sobie ludzkie poważanie, jedynie wychodząc za człowieka z dobrej rodziny, należącego do śmietanki towarzyskiej.

- Nie patrz tak, kochanie - prosiła Sarah. Dotknęła jej ramienia, dzięki czemu Cassie wróciła do rzeczywistości. - Nie mogę znieść, kiedy jesteś taka nieszczęśliwa.

- Właściwie nie jestem nieszczęśliwa, Sarah. Myślałam o Jacku. Zawsze będzie mi go brakowało, ale już jest trochę lepiej. Postanowiłam zostawić przeszłość za sobą. Możesz mi w tym pomóc, jadąc ze mną do Londynu. - W jej oczach znów pojawiły się żartobliwie błyski. - Nie ruszę się bez ciebie. Przekonam twojego ojca, żeby wyraził zgodę.

- Na pewno się zgodzi, jeśli go poprosisz! - zawołała Sarah

z podnieceniem. - Oczywiście pod warunkiem, że będziemy miały odpowiednią przyzwoitkę.

- Lady Fitzpatrick obiecała... - zaczęła Cassie, ale w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Weszła pokojówka.

- Tak, Ellie, o co chodzi? Masz coś dla mnie?

- Prosiła pani, żebym od razu przynosiła listy.

- Przyszedł wreszcie? - Cassie skwapliwie sięgnęła po korespondencję. Najpierw złamała pieczęć na piśmie nadanym w Londynie. - To od pani Simmons... - Przebiegła wzrokiem pierwszych kilka linijek. - Zgadza się przyjechać do mnie... Och! - Jej rozczarowanie było wyraźne. - Ale dopiero pod koniec przyszłego miesiąca!

- W przyszłym miesiącu? To tak źle?

- Dotrzemy do Londynu w sierpniu - odparła Cassie. - Czyli już właściwie po sezonie. Może powinniśmy raczej wybrać się do Brighton?

- Brighton jest bardzo modne latem...

- Ale to nie Londyn - stwierdziła Cassie, marszcząc brwi.

- Cóż, nie ma wyjścia, musimy się tym zadowolić. - Otworzyła drugi list, zaczęła czytać i aż ją zatchnęło ze zdumienia.

- Wielkie nieba!

- To coś na ten temat?

- Nie... - Cassie rzuciła jej dziwne spojrzenie. - To od lady Longbourne. Pamiętasz sir Bertrama? Kiedy zmarł, wdowa przeprowadziła się do rezydencji lorda Carltona. Dom Longbourne'ów, należący, oczywiście, do syna lorda Bertrama, został wynajęty na kilka lat.

- Już sobie przypominam tę rodzinę - powiedziała Sarah.

- Nigdy nie znałam ich zbyt dobrze, ale pamiętam, że tata poszedł tam po śmierci sir Bertrama. To było jakieś osiem lat temu. Zabrał mnie z sobą, ale nie weszłam z nim do domu, tyl-

ko zostałam w ogrodzie z synem sir Bertrama... Miał chyba na imię Harry.

- Zgadza się. Lady Longbourne ma dwóch synów, Harryego i jego przyrodniego brata, Vincenta. - Cassie się zarumieniła.

- To znaczy lorda Carltona, oczywiście.

- Dobrze ich znałaś?

- Całkiem nieźle. Mama często spotykała się na herbacie z lady Longbourne. Pamiętam, że kiedyś... - Zawahała się, a potem potrząsnęła głową. - Nieważne. Byłam wtedy dzieckiem.

- Proszę, powiedz - błagała Sarah. - To musiało być coś szczególnego, skoro tak ci utkwilo w pamięci.

Cassie się roześmiała.

- Na dwunaste urodziny dostałam w prezencie od Jacka kotka.

- I co się stało?

- Moja kicia wspięła się na wysokie drzewo. Wołałam i wołałam, ale nie schodziła. Miauczała tak żałośnie, że nie mogłam tego słuchać. Jack pojechał z tatą na przejażdżkę, więc sama wdrapałam się na drzewo, żeby ją ratować i ugrzęzłam tam na dobre.

- Cassie! - Sarah przyglądała jej się na poły z rozbawieniem, a na poły ze zgorszeniem. - I co zrobiłaś?

- Siedziałam na gałęzi i czekałam, aż Jack wróci do domu, ale Vincent Carlton pojawił się pierwszy. Wpadł do Jacka, byli bliskimi przyjaciółmi. - Na to wspomnienie na jej twarzy pojawił się wyraz smutku. - Zawołałam go i wszedł po mnie na drzewo. Zmusiłam go, żeby najpierw zniósł kota, a potem wrócił po mnie. Miał na sobie jasnokremowe bryczesy, które rozdarł w bardzo... demaskującym miejscu. - Roześmiała się, ale była nieco zażenowana. - To były całkiem nowe spodnie.

- Gniewał się?

- Nie, był chyba tylko zakłopotany. Odjechał natychmiast, nie czekając na powrót Jacka. Nigdy więcej z nim nie rozmawiałam. Wyjechał do Londynu, a mniej więcej rok później zmarł sir Bertram. Od lat nie miałam żadnych wiadomości od lady Longbourne. Natomiast lord Carlton przysłał mi z Francji list, prosił, bym w razie jakichkolwiek problemów czy kłopotów zwracała się do jego londyńskich prawników. To był bardzo miły list...

- Musiał ci więc, mimo wszystko, wybaczyć.

- Uznał to za swój obowiązek jako przyjaciel Jacka. Mój brat często wspominał o nim w listach...

Cassie ponownie posmutniała. Nie należała jednak do dziewcząt, które rozczulają się nad sobą. Jakiś czas temu powiedziała sobie stanowczo, że czas żałoby już minął. Jack nie chciałby wcale, żeby przez całe życie bolała nad jego stratą. Za bardzo ją kochał.

- Lubisz jeździć konno? - zapytała teraz przyjaciółkę. - Możesz wziąć moją klacz, a ja pojedę na wierzchowcu Jacka. Czasami jeździliśmy na nim we dwójkę. Pozwoli mi się dosiąść, choć potrafi być narowisty i trudny do prowadzenia.

- Co zrobisz z końmi po wyjeździe stąd?

- Zabiorę oba z sobą. Powiedziałam Kendalowi, że Saracen był prywatną własnością mojego brata, a z woli Jacka jego własność przechodzi w całości na mnie. Wszystkie osobiste rzeczy Jacka spakowałam do wielkich kufrów i wysłałam do domku niani Robinson. Nie dopuszczę, żeby łapy Kendala dotykały czegokolwiek, co należało do mojego brata!

- On jest naprawdę taki okropny, Cassie?

- Odrażający - odparła Cassie i się wzdrygnęła. - Odwiedził mnie w trzy tygodnie po śmierci Jacka i przedstawił się

jego tytułem! A potem miał czelność zaproponować, bym została jego żoną.

- Co za brak wrażliwości. Dobrze, że mu odmówiłaś. Teraz, kiedy masz mnóstwo pieniędzy, możesz wybrać, kogo ci się żywnie podoba.

- Niewątpliwie próbowałby położyć łapę na moim majątku, gdyby tylko wiedział o jego istnieniu - zauważyła z oburzeniem Cassie. - Sugerował, że jako kuzyn ojca ma prawo do opieki nad mną, choć ich wzajemne stosunki były zawsze dalekie od przyjacielskich. Ściśle mówiąc, nienawidzili się wzajemnie. Wystarczyło mi jedno spotkanie z Kendalem, żeby zrozumieć, dlaczego nigdy nie był zapraszany do naszego domu.

- Co mu powiedziałaś?

- Oznajmiłam, że jestem wystarczająco dorosła, żeby poradzić sobie bez jego pomocy i że mam prawnika, który zajmuje się moimi sprawami. Nie był zachwycony tą odpowiedzią i wyniósł się stąd w gniewie.

- Czy on mógł wiedzieć, że ciotka zamierza zostawić ci w spadku pieniądze?

- Nic na to nie wskazywało. Na pewno nie miał pojęcia o jej majątku.

- No tak - mruknęła Sarah. - Może kierował się poczuciem obowiązku?

- Przypuszczalnie nigdy się nie dowiemy. Wyjechał w gniewie i wkrótce potem dostałam pismo, że mam się stąd wynieść. - Cassie potrząsnęła głową. - Jestem pewna, że już więcej nie zobaczę Kendala i że nie ponowi oświadczyn.

Sarah podejrzewała, że odrażający Kendal Thornton pojawi się natychmiast, gdy tylko dojdą go słuchy o spadku Cassie.

- A o czym pisze lady Longbourne? - zapytała po chwili milczenia. - Jeszcze mi nie powiedziałaś.

- Nie? - Cassie wybuchnęła śmiechem. - Zajęłyśmy się innymi tematami. Zaprosiła mnie do siebie na dłuższą wizytę. I to od zaraz.

- To rzeczywiście miłe z jej strony.

- Też tak sędzę.

- Pojedziesz?

- Pod warunkiem, że będziesz mi towarzyszyć. Przez ostatnie miesiące prawie się nie rozstawałyśmy, Sarah. Nie wiem, jak bym sobie sama poradziła. I chyba teraz nie zniosłabym rozstania. Napiszę do lady Longbourne i uprzedzę, że może się nas spodziewać w przyszłym tygodniu. Na pewno będzie szczęśliwa, że przyjedziemy we dwie, bo twierdzi, że potrzeba jej towarzystwa.

- Żeby tylko tata się zgodził!

- Chyba nie będzie miał nic przeciwko temu. Na pewno pamięta lady Longbourne. - Cassie uśmiechnęła się do przyjaciółki, wyczuwając jej rosnące podniecenie. - Możemy przejść się na plebanie i poprosić go o zgodę - zaproponowała. - Zabiorę Janet, naturalnie. Doskonale się mną opiekowała po śmierci taty... a teraz na pewno z przyjemnością zajmie się nami obiema.

Janet była osobistą pokojówką lady Thornton od dnia jej ślubu. Ta chuda, dobiegająca sześćdziesiątki kobieta, która nigdy nie wahała się wytknąć swej panience niestosownego zachowania, była szczerze oddana Cassie.

-Tata jest wysokiego mniemania o twojej Janet. - Oczy Sarah rozbłyły. - Chodźmy zaraz z nim porozmawiać!

Dopiero dużo, dużo później, kiedy Cassie została sama i przygotowywała się do snu, mogła zastanowić się nad wydarzeniami dnia.

Wielebny Walker zgodził się na wyjazd, wyraził nawet zadowolenie, że córka będzie jej towarzyszyła zarówno do lady Longbourne, jak i do Brighton. Pastor był młodszym synem zubożałego baroneta, zmuszonym do przyjęcia posady duchownego, by zarobić na życie, pozostał jednak człowiekiem światowym i zdawał sobie sprawę, że jego córka nigdy nie będzie miała lepszej sposobności wejścia do dobrego towarzystwa i zaprezentowania się światu. Za nic nie przyznałby się do tego głośno, żywił jednak nadzieję, że podczas tego wyjazdu jego urocza córka znajdzie męża.

Cassie była pewna, że ojciec Sarah dostrzeże korzyści z pobytu w majątku lorda Carltona, podobnie jak ona je dostrzegła. Chyba nie mogło ułożyć się lepiej. Choć naturalnie szczytem szczęścia byłoby, gdyby lady Longbourne osobiście zaprezentowała je w londyńskich salonach, tego jednak nie mogła oczekiwać. Nie zaszkodzi jednak, jeśli w towarzystwie rozniesie się wiadomość, że gościły w majątku Carltonów, a nie ulegało wątpliwości, że kiedy wyjadą na lato do Brighton, pani Simmons postara się możliwie szeroko rozpowszecnić tę wiadomość.

Cassie rozczesywała długie, ciemnobrązowe włosy przed lustrem, ale właściwie nie widziała swego odbicia. Lekki uśmiezek igrał na jej pełnych, wydatnych wargach, kiedy przypomniała sobie incydent sprzed wielu lat, który miał miejsce w ogrodzie jej domu.

- Zejdź na dół, Cassandro - zakomenderował Vincent, patrząc na nią władczo, jako że był o kilka lat starszy. - Potem zdejmę kotkę.

- Najpierw musisz ją zabrać - upierała się. - Jest bardziej przerażona niż ja i gdybyś próbował zdjąć naraz nas obie, mogłaby zacząć się wyrywać i spaść.

Uśmiechnęła się, gdy przypomniała sobie wysoce niewłaściwe słowa, które mu się wyrwały, gdy w drodze powrotnej zaczepił spodniami o gałąź i rozdarł je, przy czym wyszło na jaw, że nie miał nic pod dopasowaną garderobą.

Wtedy też się śmiała, a on był chyba wściekły, choć poza tym pierwszym zduszonym przekleństwem nic nie powiedział. Pamiętała, że zawsze miał nienaganne maniery. I naprawdę zadziwiający uśmiech.

Przez kilka następnych nocy mała Cassie śniła o swym wybawcy, ale kiedy wyjechał, wspomnienia zaczęły blednąć, aż wreszcie całkiem o nim zapomniała. Aż do czasu listu z Francji, który wzruszył ją do łez.

Otrzymała również kondolencje od innych przyjaciół Jacka, ale tylko słowa lorda Carltona zrobiły na niej takie wrażenie. Wydawało się, że on jeden naprawdę przejął się jej uczuciami, podczas gdy pozostali wyrażali jedynie współczucie w konwencjonalnych sformułowaniach.

Miło byłoby spotkać znowu lorda Carltona, choćby tylko po to, by wyrazić wdzięczność za okazaną jej troskę. Zastanowiła się, czy zaproszenie lady Longbourne nie wynikło przypadkiem z jego inspiracji, i ta myśl ją zaniepokoiła.

Wstała przed toaletki i podeszła do okna sypialni. Na niebie wisiał blady okrągły księżyc, opromieniając ogród srebrnym blaskiem i budząc w jej sercu tęsknotę - nie wiadomo za czym.

Sama nie wiedziała, czego pragnie. A właściwie wiedziała, ale uważała marzenia o czymś całkiem nierealnym za bezsensowne.

- Jack, mój najdroższy - szepnęła. - Gdybyś był przy mnie, ileż radości sprawiłoby nam wydawanie pieniędzy od ciotki Gwendoline.

Nagle dostała gęsiej skórki, bo wydawało jej się, że coś poruszyło się w zaroślach. Czyżby ktoś był pod domem? Otworzyła okno i wychyliła się, próbując coś dostrzec, ale chmury przesłoniły księżyc. Zresztą wcale nie była pewna, czy w ogóle coś tam dostrzegła.

Cassie zamknęła okno i się odwróciła. To tylko wyobrażenia, pomyślała. Nie wiedziała, że na dole rzeczywiście stał mężczyzna i obserwował dom.

Rozdział drugi

Następnych kilka dni było wypełnionych gorączkową krzątaniną, bo Cassie, Sarah i Janet pakowały kufry, przeglądając szafy w poszukiwaniu zapomnianych wstążek, szalów i czepków. Cassie była zadowolona, że dała Sarah kilka nowych sukien, bo przynajmniej obie będą się prezentowały przyzwoicie po przyjeździe. Żałowała, że nie było czasu, by zamówić więcej garderoby dla nich obu, ale nie miała chwili do stracenia, jeśli chciała maksymalnie wykorzystać letni sezon.

- Może uda nam się namówić lady Longbourne, żeby zabrała nas na kilka dni do Londynu - zwierzyła się przyjaciółce, kiedy pakowały do wielkiego kufra rozmaite drobiazgi, bez których nie mogły się obejść. - Nie liczę na to za bardzo, bo i tak okazała ogromną uprzejmość, zapraszając nas do siebie, ale byłoby dobrze mieć już skompletowaną garderobę przed wyjazdem do Brighton. Gdyby nawet nie chciała się fatygować osobiście, może zna jakieś godne zaufania szwaczki, które mogłyby zabrać się za nasze stroje na podstawie wymiarów.

- Nigdy nawet nie marzyłam, że będę miała coś równie

pięknego - odparła Sarah, gładząc materiał podarowanej jej przez Cassie zielonej sukni spacerowej. - Włożę ją na podróż. Tata mówi, że to trzy, najwyżej cztery godziny, więc nie powinna się pognieść.

- Naprawdę ci w niej świetnie - zauważyła Cassie. - Przy twoich miodowych włosach i zielonych oczach... - Zerknęła na własne ciemne włosy, gęste i błyszczące, ale nie umywane się do włosów przyjaciółki. - Jesteś taka śliczna, Sarah. Bez wątpienia w Brighton nie będziesz mogła opędzić się od wielbicieli.

- Jeśli nie będzie im zależało na posagu. - Sarah wyśmiała entuzjazm przyjaciółki. Jako praktyczna dziewczyna zdawała sobie sprawę, że ładna buzia to za mało, żeby zrobić taką partię, o jakiej marzyła dla niej Cassie. - Tata nie może dać mi więcej niż sto funtów po ślubie i rentę w wysokości pięćdziesięciu funtów rocznie.

Cassie nic nie powiedziała, ale postanowiła w duchu, że napisze do swych prawników w Londynie, aby dowiedzieć się, czy mogłaby przepisać skromną sumę na przyjaciółkę. Nie do końca rozumiała kodycyle testamentu ciotki, wiedziała jednak, że ma do dyspozycji bardzo znaczną kwotę, choć istniały pewne ograniczenia w dysponowaniu kapitałem, przynajmniej do czasu, gdy wyjdzie za mąż.

Nie powiedziała nic przyjaciółce, bo wiedziała, że Sarah zaczęłaby protestować, wołała więc poczekać, aż wszystko zostanie załatwione.

Wreszcie nadszedł czas wyjazdu. Jak powiedział wielebny Walker, podróż nie powinna potrwać dłużej niż cztery godziny.

Powóz zajechał rano i po chwilowym zamieszaniu związanym ze sprawdzaniem, czy wszystkie pudła zosta-

ły bezpiecznie umocowane na wozie bagażowym, ruszył w szybkim tempie.

Cassie odwróciła się, żeby ostatni raz spojrzeć na dom. Reszta jej osobistych rzeczy miała zostać odesłana na przechowanie do niani Robinson, a koniuszy zobowiązał się jeszcze tego samego dnia osobiście odprowadzić jej ukochane konie do stajni lady Fitzgerald. Mogła pozostać w domu jeszcze przez miesiąc, z ulgą jednak opuszczała go wcześniej, bo tu nieustannie ścigały ją wspomnienia - zarówno te radosne, jak i ponure.

Zawsze kochała stary dom, w którym przyszła na świat, ale nie chciała mieszkać w nim bez rodziny. Nie, tak jest lepiej, pomyślała, opierając się wygodnie o poduszki komfortowego powozu, który lady Longbourne przysłała po nią poprzedniego dnia.

Wszystko było tak podniecające, tak wiele je czekało, że pogawędka przyjaciółek nie ustała ani na moment. Po dwóch godzinach podróży usłyszały okrzyk stangreta i wyjrzały przez okno. Cassie pociągnęła za sznur, dając znać, że chce zatrzymać powóz.

- Co się dzieje? - zapytała Sarah. - Dlaczego się zatrzymujemy?

- Ktoś zachorował - odparła Cassie. - Jakaś kobieta leży na ziemi. Chyba... tak, jestem pewna, że ma problemy.

Sarah wyjrzała przez okno i głośno wciągnęła powietrze. Była dobrą dziewczyną, ale wychowaną według bardzo surowych zasad, więc to, co zobaczyła, zaszokowało ją.

- Ale... ale ona...

- Tak, właśnie - potwierdziła Cassie i jak tylko powóz stanął, wyskoczyła, nie czekając na pomoc służby. - Zostań tu, Sarah. Zobaczę, co trzeba zrobić.

Janet pochrapywała spokojnie w kącie powozu, nieświadoma, co się wokół dzieje. Teraz obudziła się i rozejrzała wokół ze zdumieniem.

- Jesteśmy na miejscu?

- Nie. - Zmartwiona Sarah wskazała głową otwarte drzwi.

- Cassie uparła się, żeby zatrzymać powóz.

Janet wyjrzała przez okno, zniesmaczona impulsywnym zachowaniem swojej panienki. Oceniała sytuację jednym spojrzeniem i podeszła do miejsca, gdzie Cassie klęczała na trawiastym stoku. Pochylała się nad skręcającą się z bólu, brudną kobietą w łachmanach.

- Co panienka tu robi? - zapytała.

Lata opieki nad przybłąkanymi zwierzętami, poranionymi ptaszkami i obdartusami, które Cassandra sprowadzała do domu i kazała karmić, przygotowały Janet na takie sytuacje. Nie była więc zaskoczona, gdy jej panienka zaproponowała, by wzięły kobietę do powozu i zabrały z sobą.

- To nie byłoby rozsądne - zaczęła, ale zamilkła na widok miny Cassie. - Jeśli mogę coś zasugerować, to bardziej odpowiednim miejscem dla niej byłby wóz bagażowy...

- Nie, nie możesz - odparła stanowczo Cassie. - Jeśli ty i Sarah nie macie ochoty podróżować z tą nieszczęsną kobietą, to możecie same przesiąść się na wóz.

- Nie ma takiej potrzeby - oświadczyła Janet z rezygnacją.

- Daj mi tę biedaczkę. Usiądzie przy mnie i zajmę się nią, jeśli... Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Wiedziałałam, że się ze mną zgodzisz - odparła Cassie z uśmiechem, który oczarowałby nawet największego ponuraka.

- Chcę być przy niej, Janet, by mieć pewność, że nie cierpi....

- Oczywiście, że tak.

Lord Carlton czekał wraz z matką w salonie Carlton House na przyjazd panny Cassandra Thornton i jej przyjaciółki, panny Sarah Walker. Było już dobrze po trzeciej i zaczął się zastanawiać, gdzie podziewają się ich goście, bo spodziewali się ich przed godziną.

Lady Longbourne wyglądała tego dnia szczególnie pięknie w prostej, lecz eleganckiej jasnoszarej sukni i jedwabnym szalu z Norwich, narzuconym niedbale na ramiona. Starannie uczesane włosy okrywał koronkowy czepek tak twarzowy, że syn nie mógł tego nie zauważyć.

- Świetnie ci w tym czepku, mamó.

- Cieszę się, bo to ty za niego zapłaciłaś, podobnie jak za kilka innych rzeczy, które na skutek twoich usilnych nalegań zamówiłam sobie na urodziny, pomimo że dostałam od ciebie szafiry zdecydowanie zbyt ekstrawaganckie dla kobiety w moim wieku.

- Ale bardzo do ciebie pasują...

- Szkoda tracić pieniądze dla kobiety o tak słabym zdrowiu - odparła matka, cierpiąca na rozdrażnienie nerwowe. Doprawdy, Carlton wykazał się bezwzględnością, wymagając od niej przyjęcia pod dach dwóch młodych, prawdopodobnie okropnie głupich dziewcząt! Popołudnie było ciepłe i minęła już pora jej codziennej drzemki. - Przyznam się, że jeszcze nie miałam okazji ich włożyć.

- Nie widzę powodu, byś nie miała ich nosić. Musimy wydać kilka proszonych obiadów na cześć naszych gości, mamó, a może nawet jakiś mały bal, jeśli Cassandra zgodzi się zostać moją żoną.

- Chyba nie oczekujesz... - Nie wiadomo, co lady Longbourne zamierzała powiedzieć, bo w tym momencie kamerdyner otworzył drzwi i zaanonsował z namaszczeniem przybycie oczekiwanych gości.

- Panna Cassandra Thornton i panna Sarah Walker.

Lady Longbourne podniosła zaciekawiony wzrok na dwie młode damy, które wkroczyły do pokoju. Obie miały na sobie suknie z dobrej jakości materiału, ale wprawne oko jej lordowskiej mości natychmiast dostrzegło, że kreacje zostały uszyte przez prowincjonalne szwaczki, które starały się skopiować najmodniejsze fasony. Takie stroje zdecydowanie nie nadawały się dla damy, która miała zostać żoną Carltona. Stanowczo powinna osobiście zająć się garderobą Cassandry.

Ale która z nich jest panną Thornton? Lady Longbourne nie pamiętała wyglądu dziewczynki, bo ta wolała bawić się w ogrodzie, niż siedzieć przy herbacie z nią i lady Thornton.

- Cassandro, moja droga! - zwróciła się do Sarah, młodszej i nieco mniej eleganckiej od towarzyszki. - Panno Walker...

- Wybacz, mamó - przerwał Vincent. - Sądzę, że to ta młoda dama jest Cassandrą. - W jego szarych oczach błysnęło lekkie rozbawienie. - Minęło już kilka lat od naszego spotkania, ale nastąpiło ono w takich okolicznościach, że rysy pani twarzy wryły mi się w pamięć. Mam rację, to pani jest panną Thornton?

- Tak, niestety, to ja, sir. - Cassie ze śmiechem podała mu rękę, a jej policzki nieco się zarumieniły, choć wytrzymała jego kpiące spojrzenie. - Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan nie przypominać mi tego incydentu. Obawiam się, że był pan wówczas na mnie wściekły, choć udało się panu tego nie okazać.

Vincent uniósł jej dłoń do ust i ucałował.

- Przyznaję, poczułem się trochę głupio, mam jednak nadzieję, że nie okazałem się na tyle grubiański, by ujawnić gniew. - Potem zwrócił się do Sarah, ucałował również jej

dłoń i powitał ją w Carlton House. - Wszyscy przyjaciele panny Thornton będą tu zawsze mile widziani, prawda, mamo?

Vincent był przyjemnie zaskoczony. On również zauważył prowincjonalny krój sukni, jednak Cassandra okazała się bezpośrednia i świeża, jakby spędzała dużo czasu na powietrzu. Obawiał się, że nieszczęścia mogły ją zmienić, przekonał się z zadowoleniem, że okrutny los jej nie załamał.

Lady Longbourne podeszła do nich z uśmiechem.

- Jesteście tu obie chętnie widziane, moje drogie - powiedziała i pocałowała obie w policzek. - Nie macie pojęcia, jak nudne może być życie wdowy na wsi, szczególnie kiedy zdrowie nie dopisuje. Tak miłe towarzystwo to dla mnie prawdziwa przyjemność.

Mówiła szczerze, bo nagle uświadomiła sobie, że obecność dwóch młodych dziewcząt może podziałać na nią ożywczo. Tym bardziej że postanowiła osobiście zająć się garderobą Cassandry. Nagle uderzyła ją dość przerażająca myśl, że będzie musiała towarzyszyć dziewczynie do Londynu, ale zaraz wprowadzenie narzeczonej Carltona do towarzystwa uznała za swój święty obowiązek. Naturalnie postanowiła zrobić wszystko, co niezbędne, choć mogło to okazać się wysoce kłopotliwe, a nawet narazić ją na niewygody.

Cassandra od razu zauważyła apatię pani domu, jej opuszczone usta i bladość, które, jak sądziła, były skutkiem braku ruchu i świeżego powietrza.

- Przykro mi słyszeć, że pani niedomaga - powiedziała. - Okazała pani wielką uprzejmość, zapraszając nas tutaj, i mam nadzieję, że nie sprawimy kłopotów.

- Nie, na pewno nie. Zawsze chciałam mieć córkę i dzięki wam będę mogła przez pewien czas udawać, że mam nie jedną, a dwie!

- Ładnie powiedziane, mamó - stwierdził Vincent z lekkim uśmiechem. - Zapewniam panią, panno Thornton, że oczekiwaliśmy tu pani z wielką niecierpliwością...

- Proszę nam wybaczyć spóźnienie - powiedziała Cassie. - Miałyśmy ponad godzinną przerwę w podróży, prawda, Sarah?

- To było okropne! - zawołała Sarah, która pod wpływem silnych emocji zapomniała o onieśmieleniu. - Napotkaliśmy przy drodze bandę włóczęgów i jedna z ich kobiet zasłała. Cassie uparła się zatrzymać powóz i zabrać ją z sobą...

- Zabrałyście z sobą Cyganek? - Lady Longbourne spojrzała na Cassandrę z przerażeniem. - Ależ ona mogła mieć wszy albo jakąś chorobę zakaźną... mogła mieć wszystko!

- Proszę się nie niepokoić - odparła Cassie. - Była w zaawansowanej ciąży, tuż przed rozwiązaniem. Próbowwała dogonić tabor, gdzie mądre kobiety mogłyby się nią zaopiekować i...

Lady Longbourne sapnęła. Gdyby nie oczywisty obowiązek poinstruowania tej panny, z którą jej syn postanowił się ożenić, niewątpliwie natychmiast by zasłała i poszła się położyć.

- Cassandro - powiedziała głosem, świadczącym o tym, że naprawdę ogarnęło ją przerażenie. - Nie powinnaś... absolutnie nie wolno ci tak bez osłonek mówić o takich sprawach. Szczególnie w obecności panów. Mogłabyś zostać uznana za kobietę lekkich obyczajów... albo jeszcze gorzej.

- Ojej, naprawdę? Tak mi przykro, że panią zdenerwowałam. Proszę usiąść. Czy pani nie słabo? Proszę wybaczyć moje okropne maniery. Niestety, nie jestem przyzwyczajona do przestrzegania norm obowiązujących w wielkim świecie. Myślałam tylko o tym, że nie mogę zostawić tej biednej kobiety...

skulonej na ziemi i... - Urwała i zarumieniła się, bo zauważyła, że lord Carlton, bynajmniej niezaszokowany, bacznie się jej przygląda. - Bardzo źle postąpiłam. Zapewniam, że to nie była żadna choroba zakaźna i że nie doznałyśmy w czasie tej przygody najmniejszego uszczerbku. Po prostu nie byłam w stanie jej zostawić.

- To byłoby rzeczywiście nad wyraz nieuprzejme - zauważył Vincent z kamienną twarzą, choć o mało nie ryknął śmiechem. - Nie mogła pani pozostawić bliźniego w takiej sytuacji. I pomimo wiążącej się z tym niewygody dla pani, już nie mówiąc o pani towarzyszkach, z pewnością odczuwa pani satysfakcję ze spełnienia dobrego uczynku.

- Vincencie! - Lady Longbourne rzuciła synowi karcące spojrzenie. - Proszę o wybaczenie, panno Thornton. Mogła pani tego nie zauważyć, nie znając dość dziwaczного poczucia humoru mojego syna, i nie byłoby w tym nic niezwykłego, bo chyba nikt inny nie uznałby takich uwag za zabawne, ale zapewniam panią, że on się tylko z panią droczył.

Cassie obrzuciła uważnym spojrzeniem twarz Carltona. Ani przez chwilę nie wątpiła, że bawił się jej kosztem, i na widok pobłażliwego spojrzenia, jakim obrzucił matkę, o mało nie roześmiała się na głos. Miał dość kąśliwe poczucie humoru, podobnie jak ona i Jack.

- Jestem pani bardzo zobowiązana za wyjaśnienia – odparła sztucznie obojętnym tonem. - Lord Carlton słusznie wspominał mi, że naraziłam na niewygodę biedną Sarah, i podejrzewam, że moja przyjaciółka nie może się już doczekać, by doprowadzić się do porządku, na wypadek gdyby tamta nieszczęśnica rzeczywiście miała wszy.

Tego już Vincent nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem tak głębokim i zaraźliwym, że Cassandra musiała się przyłączyć.

Lady Longbourne była jednak wyraźnie zgorszona rozbawieniem syna. Odwróciła się do niego tyłem i zapewniła Sarah, że znajdzie w swoim pokoju tyle czystej wody, ile tylko zapagnie.

- Zadzwońię po panią Midge, żeby niezwłocznie zaprowadziła panią na górę - powiedziała. - Ponieważ sama nie chciałabym doświadczyć czegoś podobnego, więc doskonale rozumiem, jak się pani czuje. Na pani miejscu, drogie dziecko, kazałabym pokojówce porządnie wytrzepać suknię. Od razu poczuje się pani lepiej. Kiedy będziecie gotowe, zejście na dół, na herbatę. Pewnie jesteście głodne, bo nie jadłyście lunchu.

- O, byłyśmy przygotowane do podróży - odparła pogodnie Cassie. - Janet nie rusza w drogę bez koszyka z jedzeniem, bo, jak twierdzi, nigdy nie wiadomo, *co nas spotka*.

- Ośmielam się zauważyć, że zapewne podróżowała już kiedyś w pani towarzystwie, panno Thornton?

Żart lorda Carltona nie zasługiwał na odpowiedź i Cassie rozsądnie zignorowała jego słowa. Mówiła dalej.

- Choć większość zapasów oddaliśmy towarzyszom tamtej nieszczęsnej kobiety, to jednak zjadliśmy po kawałku ciasta i po biszkopciku, prawda, Sarah?

- Tak, ale... muszę przyznać, że jestem trochę głodna.

W tym momencie nadeszła gospodyni i lady Longbourne poprosiła ją, by wskazała młodym damom ich pokoje.

Cassie zatrzymała się na moment przy drzwiach i obejrzała za siebie.

Lord Carlton jest bardzo przystojny! O wiele przystojniejszy niż w jej wspomnieniach. Przemknęło jej przez myśl, że ta wizyta może okazać się jeszcze bardziej owocna, niż przypuszczała. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że Vincent

bawił akurat u matki; przecież mógł przebywać w Londynie, z przyjaciółmi. A dżentelmen o pozycji lorda Carltona miał niewątpliwie wielu przyjaciół. Jeżeli publicznie okaże jej aprobatę, Cassie będzie zapraszana do wszystkich domów. Gdyby tylko udało jej się pojechać do Londynu przed zakończeniem sezonu!

Podczas gdy lokaj serwował drugie danie, Vincent bawił się kieliszkiem do wina. Tego wieczoru podano bardzo przyzwoity obiad jak na wiejskie standardy: gołąbki w czerwonym winie, pieczone kurczaki i udziec wieprzowy oraz półmisek pasztetu z podrobów, zielony groszek, szparagi polane masłem, delikatnie obsmażane ziemniaki, a także kalafior i placuszki krabowe. Potrawy nie całkiem odpowiadały klasą arcydziełom sztuki kulinarnej francuskiego szefa kuchni, którego zatrudniał w Londynie, ale nie było się czego wstydzić. Vincent nie miał jednak apetytu.

Zauważył, że Cassandra zjadła odrobinę kurczaka z dodatkami, ale nawet nie tknęła wieprzowiny ani gołąbków. Kiedy jednak obnoszono półmiski ze słodyczami, oddała sprawiedliwość różnym galaretkom i drobnym ciasteczkom. Niewątpliwie była zdrową dziewczyną, żywą i inteligentną. Doskonale nadawała się na matkę dzieci, które musiał spłodzić, żeby zachować ciągłość rodu.

Zastanawiał się, czy zdoła spełnić daną Jackowi obietnicę, ale teraz, przyglądając się Cassie spod długich, ciemnych rzęs, doszedł do wniosku, że, być może, zadanie wcale nie okaże się tak trudne, jak sądził. Nie była ładna - w tym matka miała rację - ale niebrzydka i obdarzona pewnym wdziękiem.

Wiedział, że wśród żonatych mężczyzn z jego sfery panowała moda na utrzymywanie metres, może Cassie nawet by to

odpowiadało, bo stwierdziła otwarcie, że nie myśli o małżeństwie z miłości. A jednak Vincent nie tego pragnął.

Więc czego? Na jego ustach pojawił się krzywy uśmiezek. Czy naprawdę jest idiotą, który wierzy w prawdziwą miłość? Trzeba być wyjątkowym szczęściarzem, aby ją znaleźć...

Cassie była w pełni świadoma, że lord Carlton obserwował ją podczas obiadu; nie interesował się jedzeniem. Zauważyła też posępny wyraz jego oczu, jednak kiedy po obiedzie dołączył do pań w salonie, był już znowu sobą, wyjątkowo czarującym dżentelmenem.

- Czy ma pani ochotę obejrzyć dom, panno Thornton? - zapytał. - Nie jest szczególnie stary, nie mogę więc pani zapewnić żadnych atrakcji w postaci duchów. Ale mamy tu dużą bibliotekę ze wspaniałym sufitem.

- Cassandra na pewno nie ma ochoty jej oglądać - wtrąciła lady Longbourne. - Powinieneś pokazać jej oranżerię, to znacznie bardziej stosowne miejsce.

- Bardzo chciałabym obejrzyć dom, sir - odpowiedziała Cassie.

- A pani, panno Walker? - Vincent spojrział z uśmiechem na Sarah, która poprosiła o zwolnienie jej ze zwiedzania, jako że lady Longbourne właśnie ją prosiła, by zagrała na pianoforte.

Cassie wstała i ruszyła za gospodarzem do holu, z którego przeszli do ogromnego otwartego salonu. Pod ścianami stało tu tylko kilka twardych i na oko niezbyt wygodnych sof, innych mebli nie było.

- Tutaj organizujemy czasem niewielkie bale – poinformował Vincent. - Na wielkie nie ma, oczywiście, miejsca. Myślałem o dobudowaniu dużej sali, ale dom mojego dziadka

w Surrey jest znacznie przestronniejszy. Sądzę, że kiedy dojrzeję do ustabilizowanego życia na wsi, to właśnie tam urządzę swą rezydencję.

- Ośmielę się zauważyć, że chyba niezbyt panu zależało na wydawaniu tu dużych balów - zauważyła uprzejmie Cassie. - Jestem pewna, że pomieściłoby się tutaj co najmniej dwadzieścia par.

- Może i tak. - Wargi Vincenta wygięły się w leniwym uśmiechu. - Jak pani słusznie zauważyła, nie czułem potrzeby wydawania balów, choć w przyszłości może to się zmienić.

- Pańska przyszła małżonka może mieć ochotę częściej przyjmować gości - domyśliła się Cassie natychmiast.

- Właśnie. Kiedy się ożenię, wszystko niewątpliwie ulegnie zmianie.

- Mogę to sobie wyobrazić. - Cassie szczerze spojrzała mu w oczy. - Pewnie przywykł pan przychodzić i wychodzić bez opowiadania się komukolwiek. Szczerze zazdroszczę mężczyznom takiej swobody. Choć przypuszczam, że muszą istnieć również pewne zalety bycia kobietą.

Jej głos zdradzał jednak duże wątpliwości w tej materii, co przykuło uwagę Vincenta.

- Pewnie tak. - W jego oczach zabłysło rozbawienie. - Jakież to mogą być zalety? Proszę mi zdradzić, panno Thornton, bo przyznaję, że nic nie przychodzi mi do głowy. Ośmielam się zaproponować, by zastanowiła się pani trochę nad tym tematem.

- Jedną z zalet bycia kobietą jest możliwość odwoływania się do poczucia godności i odmawianie odpowiedzi, kiedy dżentelmen zachowuje się prowokacyjnie. Jestem gotowa obejrzeć sufit pańskiej biblioteki, sir. Czy mogę?

- Proszę tędy - zaprosił Vincent. - Został zaprojektowany

i wykonany przez mało znanego, ale utalentowanego włoskiego artystę, którego przywiózł tutaj mój ojciec. Mam nadzieję, że będzie się pani podobał.

Cassie weszła za nim do imponującej sali. Wzdłuż ścian stały gustowne, proste regały ze wspaniałego, ciemnego mahoni intarsjowanego jaśniejszym drewnem. Na środku dominowały dwa wielkie stoły i trzy obite skórą kanapy, które robiły wrażenie szalenie wygodnych, a stały tak, by jak najlepiej wykorzystać światło, wpadające przez wysokie okna.

A jednak to sufit natychmiast przyciągał uwagę każdego, kto wchodził do tego pomieszczenia. Po obu stronach znajdowały się wielkie półkola, utrzymane w delikatnym błękicie. Na tym tle rysowały się sylwetki półnagich, okrytych tylko zwiewnymi draperiami nimf i satyra. Pozostała część sufitu została ozdobiona malowidłami, przedstawiającymi kiście winogron, liście winorośli i cherubinki.

- Och! - zawołała Cassie zaskoczona lubieżnym spojrzeniem oczu satyra. - To bardzo niezwykle. Piękne, oczywiście, ale inne, niż można się spodziewać.

- Tego właśnie można się było spodziewać po moim ojcu - oznajmił Vincent i zachichotał na widok jej miny. - Mama, oczywiście, nie cierpi tego fresku. Najchętniej kazałaby go zamalować, ale to jednak dzieło sztuki. Zaprzeczy pani?

- Nie - odparła Cassie bez wahania. - Nie sądzę, by należało go zamalować. Jak się komuś nie podoba, to niech nie patrzy.

- Właśnie. - Vincent spojrzał na nią z uznaniem. - Niech nie patrzy.

Cassie oglądała bibliotekę jeszcze przez chwilę, brała do ręki drobne rzeźby i zwróciła uwagę, że motyw z sufitu znajdował się

również na marmurach i porcelanie. Zauważyła drzwi w przeciwległej ścianie i ruszyła w ich kierunku.

- A co tam jest, sir? Można zajrzeć?

- To sala bilardowa. Chyba niezbyt interesująca dla dam?

- Ta akurat dama bardzo chciałaby rzucić na nią okiem - powiedziała. - Mogę?

- Proszę bardzo - zaprosił Vincent z leniwym uśmiechem, który już wcześniej widziała na jego ustach.

Wprowadził Cassie do środka i spod gęstych czarnych rzęs obserwował, jak z lubością przeciągnęła dłonią po aksamitnej powierzchni ogromnego stołu, który dominował w pomieszczeniu. Zawahała się, po czym z równą czułością wybrała kij bilardowy ze stojaka, posmarowała kredą koniec i uważnie przyjrzała się kulom, beztrosko pozostawionym na stole.

- Mogę? - zapytała.

Skinął głową i przyglądał się z uznaniem, jak ustawiała kule i z godną podziwu precyzją umieściła trzy z nich - jedną po drugiej - w łuzie. Nagroził Cassie oklaskami, co wywołało rumieniec na jej policzkach. Odłożyła kij na miejsce, czując, że lord Carlton nie odrywa od niej wzroku.

- Pewnie Jack panią nauczył?

- Ćwiczyliśmy strzały godzinami - odparła Cassie, nieco onieśmielona. - To pewnie dość nietypowa rozrywka dla kobiety, ale zawsze chciałam być z Jackiem, jeśli to tylko było możliwe. Mama karmiła mnie, oczywiście, obawiam się jednak, że bywałam czasem samowolna i nie zawsze słuchałam jej tak, jak powinnam.

- Tak, rozumiem. To ciężkie przewinienie, panno Thornton. Niewątpliwie w niektórych domach pani przyznanie się do tak straszliwego grzechu wywołałoby zgorszenie, ale ja obiecuję milczeć na ten temat jak grób.

- Och, ani mi się śni mówić o tym w mieszanym towarzystwie - odparła Cassie. - Byłam przeświadczona, że pan nie byłby w stanie zawieść zaufania damy.

Vincent skłonił się lekko.

- Punkt dla pani. Teraz to dla mnie kwestia honoru, by ani słowo o naszej rozmowie nie padło z moich ust.

Cassie roześmiała się głębokim, niskim śmiechem, który miał magiczne działanie na Vincenta.

- Myślę, że to jedna z tych zalet, o których rozmawialiśmy wcześniej. Co pan na to, sir?

Celny cios. Vincent przyjął go z uśmiechem i bez komentarza.

- Chyba powinniśmy wrócić do reszty towarzystwa, panno Thornton, chociaż cieszyło mnie nasze małe tete-a-tete. Było niezwykle pouczające.

Cassie zarumieniła się pod jego spojrzeniem. Czyżby powiedziała za wiele? Poczucie humoru Vincenta sprawiło, że odniosła wrażenie, iż może być z nim szczerą. Teraz zaczęła się obawiać, czy nie uznał jej za nazbyt swobodną.

Miała nadzieję, że nie. Zależało jej na tym, co pomyślą sobie o niej lord Carlton i jego matka, bo mogli jej pomóc wejść w kręgi londyńskiej socjety.

W godzinę później Cassie rozczesywała swe długie włosy przed lustrem toaletki w sypialni. W świetle świec przybrały kasztanową barwę, a blask ognia odbijał się w nich czerwonymi refleksami. Posłała Janet do łóżka, ale sama nie miała jeszcze ochoty iść spać.

To był interesujący wieczór. Lady Longbourne okazała się ujmującą gospodynią, a jej urokowi trudno było się oprzeć. Co prawda, uważała się niemal za inwalidkę, choć

cieszyła się nie najgorszym zdrowiem, ale kiedy chciała, potrafiła być ożywiona. W rezultacie Cassie od lat nie bawiła się tak dobrze.

Lord Carlton znacznie trudniej poddawał się ocenom. Zorientowała się, że starannie ukrywał uczucia pod maską uprzejmości. Czy to możliwe, by naprawdę był tak miły, jakim się jej wydał?

Cassie zdmuchnęła świecę, podeszła do okna i odsunęła zasłony. Na dworze było ciemno; chmury zasłoniły księżyc i nic nie widziała. Westchnęła, czuła się niespokojna i pożałowała, że nie poprosiła lorda Carltona o wypożyczenie książki, zanim udała się do zajmowanego przez siebie pokoju.

Uśmiechnęła się leciutko na wspomnienie jego pełnej oczekiwania miny, kiedy miała pierwszy raz zobaczyć sufit. Czyżby sądził, że zarumieni się i pospiesznie odwróci wzrok z zażenowaniem? Spojrzał potem na nią z aprobatą i Cassie wydawało się, że właśnie zdała jakiś egzamin.

Nie miała tylko pojęcia, dlaczego lord Carlton miałaby odczuwać zadowolenie, że nie okazała się głupiutką panienczką. Może pozwalała sobie na bujanie w obłokach, co jej dawniej często zarzucano.

„Układasz sobie wszystko w głowie tak, jakbyś chciała, żeby wyglądało” - powiedział kiedyś Jack. „Tymczasem życie takie nie jest. Jeśli nie będziesz ostrożna, moja mała siostrzyczko, pewnego dnia zostaniesz skrzywdzona. A tego bym nie chciał. Bardzo bym tego nie chciał”.

Cassie uśmiechnęła się na to wspomnienie. Dzięki bratu wiedziała, jak się czuje osoba szczerze kochana. Głupotą byłoby oczekiwać, że jeszcze raz w życiu zetknie się z tak głębokim uczuciem.

Vincent stał samotnie w ogrodzie i patrzył w okno pokoju, w którym zamieszkała Cassie. Przypuszczał, że smacznie śpi po wrazeniach całego dnia. Uśmiechnął się na myśl o niej i o tym, jak celnie skontrowała jego żarty. Była wyjątkową kobietą, jak podkreślał Jack.

Vincent wrócił myślami do bolesnego wspomnienia, do chwili, gdy po raz ostatni widział przyjaciela przy życiu. Do licha! Czy nigdy nie uwolni się od udreki?

- Zrobiłem to, co uważałem za słuszne - powiedział do siebie. - Nie chciałem, żebyś zginął, Jack. Wybacz mi... Nie chciałem, żebyś umarł...

Dopiero teraz miał okazję zrozumieć, jak bardzo Cassie kochała brata. Tym bardziej poczuł się winny. Czy kiedykolwiek będzie mógł powiedzieć jej prawdę? A jeśli tak, to czy ona mu wybaczy?

Rozdział trzeci

- Gdzie jest Carlton? - zwróciła się do sir Harry'ego Longbourne'a La Valentina. - Nie widziałam go przez cały miniony tydzień - dodała z pretensją.

La Valentina była śpiewaczką operową, podziwianą zarówno ze względu na swą mroczną, egzotyczną urodę, jak i wspaniały głos. Wielu dżentelmenów ogromnie pragnęło jej towarzystwa, ale tylko najbogatsi mogli sprostać jej kosztownym zachciankom. Powiadano, że jej żądza posiadania wszystkiego, co najlepsze, dorównywała tylko jej - zaiste niespotykanemu - temperamentowi. Jednak niekiedy bywała wspaniałomyślna.

Już od sześciu miesięcy była metresą lorda Carltona i ostatnio zaczęła krążyć rozpowszechniana przez zawiedzionych dżentelmenów pogłoska, że być może wkrótce zabiją im weselne dzwony. Nikt w to, oczywiście, nie wierzył - Carlton i śpiewaczka operowa?! Nonsens! Vincent znał przecież swoje obowiązki wobec rodziny, zresztą nie pozwoliłaby mu na to duma. A jednak jakże przyjemnie było snuć spekulacje na tak skandaliczny temat. Nic więc dziwnego, że plotkarze nie mogli sobie tego odmówić.

- Zatem? - La Valentina wbiła spojrzenie w Harry'ego. -

Doczekam się wreszcie jakiejś odpowiedzi, sir, czy będzie pan milczał w nieskończoność?

- Rzecz w tym... - Harry się zawahał. Nie należał do licznego grona wielbicieli diwy, a ponieważ doszły go słuchy o rozchodzących się po Londynie skandalicznych plotkach, postanowił je zdławić w zarodku. - Rzecz w tym, że Vinnie wyjechał na wieś. Dziewczyna, z którą pragnie się ożenić, przyjeżdża z wizytą do mamy i... - Urwał, widząc, jak piękne rysy śpiewaczki wykrzywia grymas złości.

- Carlton zamierza się żenić?! - Gniew La Valentyny świadczył niezbitnie o tym, że miała jednak cień nadziei, iż pogłoski o ich bliskich zaręczynach nie były bezpodstawne. Zakłopotany Harry postanowił odważnie obstawać przy swoim.

- Na Boga, tak! - odparł, niedbale cedząc słowa. - To było zrozumiałe samo przez się, kiedy Cassandra była jeszcze w kołysce. Oczywiście planowany związek nie został podany do wiadomości publicznej, ale obie rodziny były w pełni co do tego zgodne.

- Doprawdy!?! - La Valentina straciła rezon. Skinęła Harry'emu głową i odeszła dumnie wyprostowana. Wmieszała się w tłum księżnych, książąt i hrabiów, zmierzając w stronę przybyłego właśnie regenta, który należał do jej najgorętszych wielbicieli.

Harry poczuł lekką obawę na myśl o tym, jak zareaguje jego przyrodni brat, kiedy dotrą do niego wieści o tym, co właśnie podał do publicznej wiadomości. A musiały dotrzeć, oczywiście. Vinnie rozkwasi mu nos, i słusznie. Sam nie potrafił zrozumieć, co go do tego popchnęło.

Jednak w miarę upływu czasu i wskutek kojącego działania podanego przez lorda Rochestera doskonałego szampana coraz bardziej nabierał pewności, że dobrze się stało i że

warto nawet za to oberwać od brata. Lepiej, by wszyscy uwierzyli w od dawna zaplanowane małżeństwo, niż gdyby mieli poznać prawdę. Właśnie to Harry postanowił wyjaśnić bratu, kiedy już Vinnie wymierzy mu jakże zasłużoną karę. Doszedł do wniosku, że bardzo mądrze to wymyślił i gdy przyjaciele zaczęli do niego przychodzić z gratulacjami i prosić o przekazanie bratu powinszowań, był już w stanie odpowiadać im z uśmiechem.

Vinnie kiedyś mu za to podziękuje. Poza tym, zanim wróci do miasta, pewnie wszystko zostanie ustalone. Cassandra z wdzięcznością przyjmie oświadczenia Carltona, zostaną ogłoszone ich zaręczyny, a wówczas plotki stracą rację bytu.

Harry opuścił Rochester House na lekkim rauszu i bardzo z siebie zadowolony ruszył spacerkiem do domu. Niewątpliwie bardzo sprytny z niego jegomość!

Następnego ranka Vincent wybierał wierzchowce dla gości, szczęśliwie nieświadomy wmieszania się przyrodniego brata w jego prywatne sprawy.

- Słyszałem, że jest pani znakomitą amazonką - zwrócił się do Cassandry. - Jack wielokrotnie z podziwem mówił o pani stylu skoków przez płoty. - Bez zastanowienia wspominał o przyjacielu, ale gdy dostrzegł cień żalu na twarzy Cassie, skłął się w duchu za głupotę. - Proszę o wybaczenie, nie chciałem pani zasmucać.

- Wcale mnie pan nie zasmucił - zapewniła Cassie. - Przez długi czas nie mogłam nawet pomyśleć o Jacku, bo ogarniało mnie przygniatające poczucie straty, ale... - Zawahała się, niepewna, w jaki sposób wyrazić swe odczucia. - Nie wiem, jak to się stało, ale ostatnio mam wrażenie, że Jack do mnie wrócił. Odszedł, a jednak wydaje mi się, że jest przy mnie

blisko. - Zarumieniła się, kiedy Vincent obrzucił ją baczny spojrzeniem. - Pewnie pan sądzi, że pomieszało mi się w głowie z rozpaczy?

- Nic podobnego. Byliście sobie bardzo bliscy. Początkowo ból był niemal nie do zniesienia, ale teraz zaczyna pani przypominać sobie szczęśliwsze czasy.

Cassie skinęła głową. Miał rację, oczywiście, ale to nie było wszystko. Zdawała sobie sprawę, że nikt rozsądny nie dałby jej wiary, czuła jednak wyraźnie, że brat próbuje się z nią skontaktować myślami. W dzieciństwie wielokrotnie zdarzało się, że wiedziała, czego brat od niej chciał, choć nie powiedział tego na głos... To wskazywałoby, że pozostał przy życiu!

Vincent zrozumiał, że Cassie nie chce więcej na ten temat rozmawiać i zwrócił się do Sarah, która szła w milczeniu z jego drugiej strony.

- A pani, panno Walker, jeździ konno równie dobrze jak panna Thornton?

- Och nie! - wykrzyknęła Sarah. - Cassie ma podejście do koni. W porównaniu z nią jestem nowicjuską. Rzadko mam okazję dosiadać konia, chyba że Cassie pożycza mi swoją klacz.

- W takim razie wybierzemy dla pani łagodnego wierzchowca - obiecał Vincent z uśmiechem. - Kupiłem taką klacz z myślą o mamie, ale ona nie ma ostatnio ochoty na konne przejażdżki.

- Jaka szkoda - włączyła się do rozmowy Cassie. - Zdrowie jej nie pozwala?

Vincent zawahał się, po czym odparł:

- Nie ma żadnego rzeczywistego powodu, by mama żyła jak inwalidka. Po prostu nie ma ochoty wychodzić z domu. Bardzo chorowała po śmierci sir Bertrama, ale teraz...

- Straciła siły jak moja ciocia - orzekła Sarah.

- A może to nuda? - zastanawiała się na głos Cassie. - Czy często była sama, kiedy zarówno pan, jak i sir Harry wyjeżdżaliście?

Vincent spochmurniał i Cassie przez chwilę wydawało się, że go obraziła, potem jednak skinął głową, jakby się z nią zgadzał.

- Wydaje mi się, że mama mogłaby jeszcze znaleźć szczęście, gdyby udało się ją namówić, by częściej spotykała się z ludźmi, a nie ograniczała życia towarzyskiego do pastora i kilku starych przyjaciół.

- Czy dlatego skłonił pan lady Longbourne, żeby mnie tu zaprosiła?

Vincent nie wiedział, co odpowiedzieć. Cassie okazała się inteligentną kobietą, odważną i bardziej niezależną, niż się spodziewał. Kiedy on, Harry, Richard Cross, Freddie Bracknell i major Saunders ciągnęli słomki, by los wskazał, który z nich ma dotrzymać złożonej przez wszystkich obietnicy, Vincent dopilnował, żeby to on wyciągnął krótką słomkę. Los Jacka ciążył mu na sumieniu, uznał więc zaopiekowanie się Cassandrą za swój obowiązek. I choć później pojawiły się wątpliwości, które spowodowały opóźnienie oświadczeń, to nadal uważał za punkt honoru, żeby przynajmniej poprosić ją o rękę.

- Częściowo - odparł. - Wiedziałem, że znalazła się pani w trudnej sytuacji i pragnąłem zaoferować pomoc. Dostała pani mój list? - Kiwnęła głową. - Nie skorzystała pani z usług moich prawników.

- Nie - przyznała Cassie i się zawahała. Z niewiadomych przyczyn wzdragała się przed poinformowaniem Carltona, że dostała znaczny spadek. - Przez pewien czas rzeczywiście

miałam kłopoty, ale to już przeszłość. Siostra mamy zapisała mi trochę pieniędzy...

- Nie wiedziałem, że miała pani jakichś krewnych poza kuzynem sir Edwarda. - Vincent uniósł brwi. - Rozumiem, że to raczej dość nieprzyjemny typ? Jack absolutnie na niego nie liczył. - W rzeczywistości błagał Vincenta, żeby uchronił siostrę przed wpadnięciem w łapy Kendala.

- Jest wyjątkowo obrzydliwy! - zawołała Cassie. - Nie cierpię go. Obraził mnie, proponując mi małżeństwo z niewłaściwie pojętego poczucia obowiązku. Jak mogłabym wyjść za mąż z takiego powodu? Może nie jestem piękną, ale nie jestem też beznadziejnie brzydka.

- Nie, beznadziejnie na pewno nie! - Zażartował z uśmiechem Vincent.

- Wybieram się do Londynu, jeśli się da, albo do Brighton - ciągnęła Cassie, całkowicie nieświadoma, że komplikuje plany lorda Carltona. - Pani Simmons obiecała, że pod koniec przyszłego miesiąca zostanie moją przyzwoitką. Muszę tylko zaopatrzyć się w kilka modnych sukien i zostać przedstawioną odpowiednim ludziom, a nie będę bez szans na znalezienie dżentelmena, z którym zdołam ułożyć sobie wygodne życie. A jak pan sądzi?

- Czy wygoda to pani podstawowe wymaganie odnośnie małżeństwa? - Vincent z zainteresowaniem obserwował profil Cassie. Był zafascynowany okazanym mu przez nią zaufaniem. Czyżby skreśliła go z listy ewentualnych kandydatów, a może to tylko zręczna sztuczka, mająca obudzić w nim instynkty łowieckie? Nie, nie przypuszczał, by była tak wyrachowana. Pewnie uznała, że jest dla niej za stary, możliwe zresztą, że słusznie, bo dzieliła ich spora różnica wieku - jedenaście lat.

- Uważam wygodę, czyli możliwość bycia sobą u boku

wybranego partnera, za czynnik najważniejszy. - Zwróciła na niego niewinne, choć równocześnie nieco figlarne spojrzenie. - A jak pan sądzi, sir?

Vincent był rozbawiony jej wizją małżeństwa, ale starał się tego nie okazać. Bezpośredniość Cassandry świadczyła o tym, że jest kobietą z charakterem, i doskonale czuł się w jej towarzystwie.

Pewnie powinien się tego spodziewać, bo Jack często opowiadał wesołe historyjki o wyczynach swojej siostry, ale Vincent uważał je za dziecinne psoty - jak ten incydent z kotką na drzewie - i nie podejrzewał takiej dojrzałości u młodej kobiety.

Początkowo zamierzał poczekać kilka dni, zanim złoży jej propozycję małżeństwa, a potem zostawić ją pod opieką matki i wyjechać do Londynu aż do dnia ślubu, teraz jednak doszedł do wniosku, że więcej zyska, odkładając oświadczyzny na później.

- To fundament - oświadczył, odpowiadając na jej pytanie. - To nie do pomyślenia, żeby przez całe życie kłócić się z towarzyszem czy towarzyszką życia. Ale cóż to za czarująca idea, panno Thornton. Opis małżeństwa jak z powieści. Partnerstwo. Tak, rzeczywiście. Podoba mi się ten pomysł.

- Nie sądzi pan, że małżeństwo powinno przynosić obustronne korzyści zarówno mężowi, jak i żonie?

- Tak, niewątpliwie.

Vincent przebiegł w pamięci intercyzy swoich przyjaciół i znajomych. Większość małżeństw została zaaranżowana jako kontrakt, mający na celu ochronę ziemi i fortuny. Tylko kilka to były związki zawarte z miłości, ale nawet i w tych jedna ze stron miała przewagę: ta, która była mniej otumaniona, zwykle trzymała wodze, aczkolwiek delikatnie.

- Czy sądzi pani, że taki ideał da się osiągnąć? - zapytał.

- Jeśli chce pan wiedzieć, czy spodziewam się idealnego szczęścia, to odpowiedź brzmi: nie - odparła Cassie poważnie. - Wierzę jednak, że możliwe jest życie w harmonii, jeśli człowiek jest gotów zarówno dawać, jak i brać.

- Ach tak, rozumiem. - Jego usta zadrżały, ale powstrzymał chęć do śmiechu. - Czy brała pani pod uwagę miłość, panno Thornton?

- Miłość? - Cassie zawahała się, po czym potrząsnęła głową. - Nie, sądzę, że miłość jest uczuciem wykluczającym wygodne życie. Nie dopuszczę, by takie doznania zaciemniły jasność mojego osądu.

- Nie dopuści pani? - zapytał Vincent miękko. - Doprawdy, bardzo z pani rozsądna młoda dama. - Obrzucił ją baczny spojrzeniem, gdy doszli do stajni. - Widzę, że koniuszy przygotował już dla nas konie. Chyba będziemy musieli dokończyć naszą dyskusję kiedy indziej...

- Augusta Simmons! - Twarz lady Longbourne wyrażała obrzydzenie. - Nie, Carltonie, nie mogę do tego dopuścić. Ta kobieta jest głupia. To nie jest właściwa osoba, żeby wprowadzić twoją przyszłą żonę do towarzystwa. Nie, absolutnie! Nigdy jej nie lubiłam: jest nadęta i zarozumiała. Dziwię się, że o niej pomyślałeś.

- Wybacz, mamó - spokojnie sprostował Vincent. - To nie mój pomysł, a samej panny Thornton. Wygląda na to, że odziedziczyła trochę pieniędzy i zamierza przeznaczyć je na sezon, żeby zaprezentować się w salonach londyńskiej socjety.

- To moja rola! - zawołała lady Longbourne i energicznie zerwała się na równe nogi. - Właśnie podjęłam decyzję. Zapro-

ponuję Cassandrze, żebyśmy wszyscy wybrali się do Londynu. W następnym tygodniu odbędzie się proszony obiad, jak tylko zdołamy uzupełnić garderobę i rozesłać zaproszenia.

- Jesteś całkiem pewna, że to nie przekracza twoich sił, droga mamo?

- Jeszcze całkiem nie zdziecinniałam! - oburzyła się lady Longbourne. - Od dwóch dni czuję się nieco lepiej. A poza tym nic, absolutnie nic, nie jest w stanie powstrzymać mnie od spełnienia obowiązku. Twojej żonie należy się pełna uwaga z racji jej pozycji społecznej - oświadczyła. - Moje zdrowie nie ma tu nic do rzeczy. Wiesz, że zawsze stawiałam dobro moich synów na pierwszym miejscu, Carltonie.

- Jeśli jesteś pewna, że to nie przekracza twoich możliwości, to należałoby przedstawić ten projekt pani Thornton, by mogła napisać do pani Simmons. I, mamo, dziękuję za twoją dobroć, ale nie zapominaj, że Cassandra nie zgodziła się jeszcze zostać moją żoną.

- Czy chcesz się jej oświadczyć przed wyjazdem do miasta, czy później?

- Myślę, że należy dać jej czas, żeby nas trochę poznała, nie sądzisz?

- Jak wolisz. Wiesz, że nie chciałam tego związku, Vincencie, ale kiedy Cassandra znalazła się tutaj, wśród nas, ponownie wszystko przemyślałam. Niekiedy nazbyt otwarcie wyraża myśli, ale poza tym ma doskonałe maniery i nienagane pochodzenie ze strony matki. Sprawdziłam. Doszłam do wniosku, że to miła dziewczyna. Nie jest piękną, oczywiście, ale to całkiem przystojna i myśląca panna. Uważam, że doskonale się dla ciebie nadaje, Carltonie. Chyba nie mógłbyś trafić lepiej.

- Naprawdę, mamo? - Vincent uśmiechnął się kącikiem

ust. - Jeśli o mnie chodzi, to nie mam nic przeciwko jej otwartemu sposobowi wyrażania myśli, uważam to za czarujące. Natomiast o tym, czy do siebie pasujemy, czy też nie, zdecydujemy w odpowiednim czasie.

- Sądziłam, że traktujesz to jako kwestię honoru?

- Ja też tak sądziłem - odparł Vincent, uśmiechnął się do matki tajemniczo i pocałował ją w rękę. - Okazało się jednak, że nie w tym rzecz.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Lady Longbourne zmierzyła go wzrokiem. - Zamierzasz oświadczyć się tej dziewczynie czy nie?

Lord Carlton wyszedł na taras i dalej, do ogrodu, zostawiając matkę samą.

- Dobrze! - krzyknęła za nim. - Jesteś najbardziej męczącym...

Naprawdę zachował się prowokacyjnie. Tylko poczucie obowiązku mogło ją skłonić do rezygnacji z tego dobrowolnego wygnania na wsi, a teraz... Przez chwilę dała się ponieść poczuciu słusznego oburzenia, stopniowo jednak docierało do niej, że wcale nie chce rezygnować ze swoich planów związanych z Cassandrą. Rzeczywiście poczuła przypływ wigoru, odkąd pod jej dachem zamieszkały dwie młode panny, i nie mogła się już doczekać, kiedy weźmie je obie pod swoje skrzydła.

Choć Sarah się tego nie spodziewała, lady Longbourne nie miałyby nic przeciwko znalezieniu i dla niej odpowiedniej partii. A jeśli chodzi o Cassandrę, cóż, jeśli Vincent się nie zdecyduje, znajdą się inni gotowi ją poślubić. Szczególnie jeśli ma trochę pieniędzy.

Trzeba będzie dowiedzieć się, jakim majątkiem Cassandra dysponuje. Oczywiście to nie może być zbyt wiele, ale nawet

tysiąc czy dwa tysiące ułatwią znalezienie męża. Jednak lady Longbourne najchętniej widziałaby tę dziewczynę w roli swojej synowej.

- Chce pani zabrać nas obie do Londynu w przyszłym tygodniu?! - Oczy Cassie rozbłysły radością. - Najdroższa lady Longbourne, jaka pani dobra! Czy jest pani pewna, że taka wyprawa nie będzie dla pani zbyt męcząca?

Spojrzała na swą gospodynię z niepokojem. Musiała zadać to pytanie, choć miała nadzieję, że nic nie stanie na przeszkodzie ich wyjazdowi do Londynu.

- To żaden problem, moje drogie dziecko. Twoja matka była moją najlepszą przyjaciółką. Gdyby nie słabe zdrowie, już dawno wzięłabym cię pod swoje skrzydła, ostatnio poczułam się jednak lepiej i postanowiłam przestać się z sobą cackać. Niezależnie od konsekwencji, nie dopuszczę do tego, żeby ta wstrętna Augusta Simmons przedstawiła cię światu. Ja to uczynię z największą przyjemnością.

- Nie wiem, jak pani dziękować - odparła Cassie, przepelniona wdzięcznością. Była w pełni świadoma, że zjawiając się w Londynie pod opieką płatnej przyzwoitki, nie zyskałaby nawet czwartej części tego kredytu zaufania, na jaki mogła liczyć dzięki protekcji damy o takiej pozycji w świecie, jak lady Longbourne.

- Chodź, usiądź przy mnie na chwilę. - Lady Longbourne z przyjaznym uśmiechem poklepała miejsce na kanapie tuż przy sobie. - Musimy porozmawiać o wyjątkowo naglącej kwestii twoich strojów, ponieważ te, które teraz nosisz, są bardzo ładne, ale nie nadają się do wielkiego miasta, kochanie.

- Tak, wiem.

- Będziesz potrzebowała eleganckiej garderoby.

'J - Sarah również - podkreśliła Cassie. - Obiecałam jej kupić trochę nowych rzeczy w podziękowaniu za dobroć okazaną mi przez jej rodzinę. I wiem, że jej ojciec liczy na to, iż uda się jej znaleźć męża.

- Czy pochodzi z dobrej rodziny?

- Tak, choć, oczywiście, całkiem bez pieniędzy.

- Cóż, jest bardzo ładna. Trudno powiedzieć, co będzie. Czy jesteś pewna, że będzie cię stać na kupno odpowiedniej garderoby dla was obu? Bo jeśli nie, z przyjemnością ci pomogę.

- Jest pani bardzo dobra, ale moje fundusze wystarczą.

Coraz bardziej zaciekawiona lady Longbourne kiwnęła głową.

- Kim była twoja ciocia, kochanie? - spytała.

- Starszą siostrą mamy. Ciocia Gwendoline. Wyszła za dżentelmena z Truro i o ile pamiętam, to odwiedziłyśmy ją tylko raz.

- Kim był jej mąż?

- Pan Belham - odparła Cassie. - Nigdy go nie spotkałam. Nie mieli dzieci.

- Pewnie bardzo nad tym boleli?

- Tak przypuszczam. Prawie jej nie znałam.

- To zresztą nieważne. - Lady Longbourne pogłaskała jej dłoń. - Przynajmniej pomyślała o tobie, moja droga. Trochę pieniędzy zawsze się przyda.

Cassie poczuła wyrzuty sumienia, że ukrywa prawdę przed swą wspaniałomyślną gospodynią.

- To całkiem sporo pieniędzy. Nie znam dokładnej kwoty, ale myślę, że dzięki temu spadkowi łatwiej mi będzie zawrzeć małżeństwo.

- Tak... - Lady Longbourne pokiwała głową w zamyśleniu.

- Nawet kilka tysięcy może stanowić poważny atut.

- Chyba raczej... Mówiono mi, że... - Cassie zarumieniła się i odwróciła wzrok. - Podobno mogę się uważać za poważną dziedziczkę.

- Dziedziczkę? - Lady Longbourne była wyraźnie zaskoczona. - W takim razie dobrze, że los oddał cię w moje ręce. Gdybyś wpadła w szpony tej obrzydliwej kreatury Augusty Simmons, pewnie skończyłabyś jako ofiara łowcy posagów czy bezlitosnego hazardzisty.

Cassie uśmiechnęła się z ulgą, że prawda została wreszcie powiedziana.

- Nie chciałam wcześniej nic mówić, ale jestem pewna, że pani będzie kierować się wyłącznie moim dobrem.

- O tak - odparła jej lordowska mość, uśmiechając się do siebie. - To zmienia sytuację, droga Cassie. Miałam nadzieję na umiarkowany sukces, ale teraz postanowiłam, że staniesz się gwiazdą sezonu. O tak, to wszystko zmienia...

Rozdział czwarty

Już od ponad godziny Cassie spacerowała po starannie utrzymanych ogrodach, otaczających dwór. W cieniu drzew szukała chłodu w ten bardzo ciepły dzień. Rozmyślała o tym, jak wypadnie wyprawa do Londynu i co zmieni w jej życiu. Nagle z zadumy wyrwał ją dobiegający z pewnej odległości jęk. Cassie postanowiła sprawdzić, co zakłóca błogą ciszę. Skierowała się w prawo, ale w tym momencie pełen boleści jęk się powtórzył i Cassie weszła na wąską, znikającą w zaroślach ścieżkę.

Nagle ujrzała leżącą na ziemi dziewczynkę. Na widok nieznaney kobiety dziewczynka, najwyraźniej przestraszona, usiłowała wstać, lecz ponownie upadła, jęcząc z bólu.

- Moje biedne dziecko! Co się stało?

Dziewczynka nie odpowiedziała, patrząc na Cassie z lękiem.

- Nie bój się, chcę ci jedynie pomóc - zapewniła Cassie, podchodząc bliżej. Zauważyła, że dziewczynka jest starsza, niż to się jej początkowo wydawało. - Czy złamałaś sobie coś?

- Nie - odparła dziewczynka, nie przestając obserwować Cassie z wyraźną obawą. - Uciekałam i stopa zaplątała mi się w korzenie drzewa.

Cassie delikatnie dotknęła nogi dziewczynki.

- Nie wygląda na złamaną, zapewne skrzyłaś kostkę. To też jest bardzo bolesne.

- To nic. Przejdzie. Bardzo się boję, że on mnie złapie i znowu każe mi pracować. Są też inne sprawy...

- Inne sprawy? - powtórzyła zdziwiona Cassie.

- No takie tam... Mam prawie trzynaście lat. Powiedział, że da mi parę gwinei, jak się zgodzę, ale ja nie chcę. Boję się tego wstrętnego Morgana.

- Czy Morgan to imię twojego... twojego pracodawcy?

- Cassie nie udało się znaleźć lepszego określenia. Prawie całe życie była chroniona, trzymana pod kloszem, była więc zszokowana, że dziewczynka może być narażona na taką podłość.

-Nie, Morgan to ten, któremu stary Carter chce mnie sprzedać. Ale ja mu na to nie pozwolę. Chciałam pójść do Londynu, żeby zdobyć majątek, ale teraz, kiedy skrzyłam nogę, to on mnie znajdzie i zabierze z powrotem.

- Nie, nie zrobi tego - oświadczyła Cassie. - Wrócisz ze mną i... - Urwała, ponieważ uświadomiła sobie nagle, że przecież nie mieszka we własnym domu, tylko pozostaje w gościnie u lady Longbourne. Mimo to dokończyła: - I ja ci pomogę. Zabandażuję twoją kostkę i dam ci pieniądze na dyliżans do Londynu. Tam znajdziesz pracę u dobrego pana, który będzie ci płacił, nie będzie cię bił i w żadnym wypadku nie będzie żądał, żebyś robiła... to.

- Dlaczego pani chce pomagać takiej jak ja? - Dziewczynka znowu popatrzyła podejrzliwie na Cassie. - Pani jest damą, a to prawda, co Carter gadał o mojej mamie, że jest dziwką.

- Mam na imię Cassandra, ale przyjaciele nazywają mnie Cassie. Nie musisz się mnie bać. Chętnie się tobą zaopiekuję.

Wierzysz mi? - Dziewczynka skinęła głową. - Powiesz mi teraz, jak ci na imię?

- Tara - odrzekła, spoglądając na Cassie z podziwem. - Naprawdę zapłaci pani za dyliżans?

- Tak, oczywiście - zapewniła Cassie z uśmiechem. - Najpierw jednak muszę zabrać cię do domu i wykurować. Pomogę ci wstać, oprzesz się o mnie i spróbujesz skakać na jednej nodze, dobrze? Jeśli nie dasz rady, będę musiała na razie cię tutaj zostawić i sprowadzić pomoc.

- Niech pani nie odchodzi! - Tara obejrzała się z przerażeniem za siebie. - Stary Carter mnie tu znajdzie i zabierze.

- Wątpię, żeby cię tutaj szukał - stwierdziła Cassie z lekkim uśmiechem. - To ziemie lorda Carltona i gdyby Carter wtargnął na cudzy teren, mógłby zostać aresztowany.

To najwyraźniej nie uspokoiło Tary.

- Zostanę wsadzona do więzienia, panienko? - zapytała z lękiem. - Nie wiedziałam, że ten las jest własnością prywatną. Niektórzy przyjaciele starego Cartera przychodzą tu kłusować; przynoszą czasem do gospody gołębie i takie tam.

- Naprawdę? Myślę, że lord Carlton powinien się tym zainteresować.

- Powie mu panienka? Będzie na mnie zły, że tu weszłam?

- Lord Carlton to mój przyjaciel - uspokoiła ją Cassie. - To bardzo dobry człowiek i nawet mu przez myśl nie przejdzie, żeby cię skrzywdzić. Przypuszczam natomiast, że całkiem inaczej obejdzie się z twoim panem, szczególnie kiedy mu powiemy, co ci zrobił. A teraz pomogę ci wstać i spróbujesz iść.

Po kilku minutach Tara nauczyła się utrzymywać równowagę. Cassie podtrzymywała ją, a wsparta na jej ramieniu dziewczynka podskakiwała na jednej nodze, zatrzymując się co chwila, żeby odpocząć. Poruszały się z koniecz-

ności bardzo wolno, a zbliżała się już pora herbaty. Lady Longbourne będzie zaniepokojona, jeśli Cassie się spóźni, ale nie było na to rady. Nie mogła i nie chciała zostawić dziewczynki, skazując ją na los gorszy, w jej mniemaniu, od śmierci. Mogły tylko mieć nadzieję, że ktoś ze służby lorda Carltona zauważy je i pospieszy z pomocą.

Pomoc w osobie lorda Carltona nadeszła w trzy kwadransy czy godzinę później, kiedy znalazły się już w zasięgu wzroku. Zaniepokojona lady Longbourne wysłała Vincenta do ogrodów na poszukiwanie zaginionej wędrowniczki.

- Nigdy nie wiadomo, czy jakiś awanturnik bez skrupułów nie zechce jej zabrać spod naszej opieki - powiedziała synowi.

- Dziedziczka pozbawiona rodziny, która mogłaby ją chronić, jest bezbronna, Carltonie. Naszym obowiązkiem jest baczenie jej strzec.

- Wątpię, by ktokolwiek zdążył się już dowiedzieć o jej spadku - odparł z uśmiechem na myśl o tym, że jakiś łowca posagów mógłby zacząć się na terenie jego majątku, by porwać gościa. - Nawet nas panna Thornton niechętnie poinformowała o spadku - dodał. - Jak sądzisz, mam, dlaczego?

- Jest dobrze wychowaną młodą damą i nie chełpi się swoją fortuną. Nie trać czasu na niepotrzebne pytania, Carltonie. Idź i znajdź ją!

- Jesteś pewna, że nie ma jej w domu?

- Całkowicie.

Vincent wstał posłusznie, by zadowolić zaniepokojoną matkę, a nie z obawy, że Cassie mogła spotkać jakakolwiek krzywdę. Kiedy ją dostrzegł, pospieszył zaoferować jej pomoc.

- Martwiliśmy się o panią - powiedział. - Co się stało?

- Tara upadła i skreśliła kostkę - wyjaśniła Cassie, zatrzymując się dla złapania tchu. Dziewczynka nie była ciężka, ale

miały za sobą długą, wyczerpującą drogę. - Nie mogłam jej zostawić, więc...

- Nie, oczywiście. Pozwoli pani, panno Thornton. Taro, wezmę cię na ręce. Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy.

- To pan, prawda? - stęknęła Tara, patrząc na niego z podziwem. - Pan jest lordem, co ma te ziemie? Panna Cassie powiedziała, że jest pan dobry. Że z przyjemnością wsadzi pan starego Cartera do więzienia albo rozkwasi mu nos.

Vincent zdołał pohamować się od śmiechu.

- Naprawdę tak powiedziała? Jestem jej bardzo zobowiązany, choć mam niejake wątpliwości. Czy mógłbym wiedzieć, kim jest stary Carter?

Bezpieczna w lordowskich ramionach Tara powtórzyła swoją historię, uzupełniając o dodatkowe szczegóły, których oszczędziła Cassie. Gdy Vincent usłyszał o biciu i groźbach zmuszenia dziewczynki do uległości, natychmiast spoważniał.

- Ale chyba nie jest pan zły, prawda? - zapytała Tara, która wyczuła narastającą w nim furję. - To był pomysł panny Cassie, żeby mnie tu zabrać.

- Bardzo dobry pomysł! - Spojrzał z góry na dziewczynkę. - Jestem bardzo zły, ale nie na ciebie ani na pannę Cassie. Jestem ci bardzo zobowiązany, Taro, że mi o tym powiedziałaś. Pan Carter jest moim dzierzawcą. Oberża „Pod Zającem i Ogarem” należy do mnie i zapewniam cię, że już tam nie wrócisz. Zresztą pan Carter również tam zbyt długo nie zostanie.

Znaleźli się przed frontowym wejściem do dworu. Cassie zawahała się i spojrzała pytająco na lorda Carltona.

- Zastanawiałam się... dokąd zabrać Tarę?

Vincent uśmiechnął się, jakby czytał w jej myślach.

- Niewątpliwie nie do salonu mamy. Powinna pani pójść do niej natychmiast i uśmierzyć jej niepokój. Obawiała się, że mogła pani zostać porwana przez jakiegoś łajdaka. A jeśli chodzi o Tarę, to może pani spokojnie powierzyć ją mojej opiece, oczywiście jeśli ona się zgodzi.

- Najlepiej niech mnie pan weźmie do kuchni - zaproponowała Tara z nadzieją w głosie. - Może będą mieli coś do jedzenia.

- Janet opatrzy jej kostkę i poszuka dla niej czystego ubrania - rzuciła Cassie. - Zawsze to robiła, kiedy... - Umilkła pod jego rozbawionym spojrzeniem. - Chciałam powiedzieć: w domu.

- Ach tak. Zaniosę Tarę do kuchni i natychmiast poślę po Janet.

Cassie zatrzymała się w holu przed jednym z wysokich stojących luster, żeby doprowadzić się do porządku. Włosy były lekko potargane, a rąbek sukni zabrudził się, gdy uklękła na ziemi. Strzepnęła z siebie paprochy i weszła do salonu. Po zastanowieniu doszła do wniosku, że lepiej w ogóle nie wspominać o incydencie.

- A, jesteś wreszcie! - zawołała lady Longbourne na widok Cassie. Wstała i wyszła jej na powitanie. - Już prawie czas przebierać się do obiadu. Przeoczyłaś porę herbaty, ale jeśli chcesz, to zaraz każę przynieść tacę. - Cassie pokręciła głową. - Gdzie byłaś, kochanie? Przez ostatnią godzinę wyobrażałam sobie, że cię porwano.

- Przepraszam, to moja wina - wyznała Cassie ze skruchą. - Nie zdawałam sobie sprawy, że droga powrotna do domu... zajmie mi tyle czasu.

- Nie przepraszaj, najważniejsze, że jesteś cała i zdrowa. Teraz martwię się już tylko, czy nie za bardzo się zmęczyłaś. Nie

zapominaj, że jutro wyjeżdżamy do Londynu. Podróże są takie nużące, prawda?

- Nigdy tak nie uważałam - wyznała Cassie. - W drodze mam tyle do oglądania, a w dodatku jestem podekscytowana tym, co mnie czeka przy końcu podróży. Nie mogę się doczekać tego wyjazdu, Sarah też. Dopisało nam szczęście, że trafiłyśmy pod pani skrzydła. Pani ma styl, tak sztywnie się pani ubiera. Z radością zastosuję się do pani wskazówek dotyczących naszej garderoby. Tylko czy nie przysparzam pani przypadkiem zbyt wielu kłopotów?

Bardzo zadowolona z autentycznej troski Cassie i jej doskonałych manier jej lordowska mość zapewniła, że to dla niej żaden kłopot.

- Kiedy Carlton zasugerował, bym cię tutaj zaprosiła, początkowo miałam wątpliwości, czy zdrowie mi na to pozwoli, ale jeśli mam być szczerą, kochanie, to twój przyjazd dobrze mi zrobił. Miło jest znowu usłyszeć w tym domu młode głosy. Z niecierpliwością czekam na możliwość wprowadzenia cię do towarzystwa, w jakim będziemy się obracać w mieście.

Cassie zapewniła, że cudownie spędziła czas w domu lady Longbourne, pogawędziła z nią jeszcze przez chwilę i dopiero dwadzieścia minut później dotarła do swojego pokoju.

Janet już na nią czekała, zmarszczka na czole świadczyła o irytacji.

- Och, nie besztaj mnie - poprosiła Cassie, która doskonale znała ten wyraz twarzy starej pokojówki. - Wiem, że nie powinnam obarczać problemami Tary lorda Carltona i lady Longbourne, chociaż ona o niczym nie wie. Lord Carlton uznał, że lepiej nic jej nie mówić. To biedne dziecko znalazło się w rozpaczliwej sytuacji. Przecież nie mogłam jej tam zostawić na pastwę okrutnego pana, prawda?

- Nie, panno Cassandro, z pewnością. Jego lordowska mość również okazał zrozumienie. Nie przystoi, by gość sprowadzał do domu gospodarzy podejrzaną dziewczynę kuchenną. Masz tylko słowo Tary, że nie uciekła przed wymiarem sprawiedliwości. Może być złodziejką albo jeszcze gorzej.

Cassie zastanawiała się ze zmarszczonym czołem.

- Nie, to niemożliwe, Janet. Biedna Tara to jeszcze dziecko.

- Podobnie jak ten brudny, mały włóczęga, którego w Wielkanoc znalazłaś zapłakanego przed bramą i przyprowadziłaś do kuchni, żeby się solidnie najadł. Ukradł ciasto i butelkę najlepszej brandy kamerdynera, po czym wymknął się w środku nocy.

- Paskudnie się zachował - przyznała Cassie. - Mógł jednak ukraść coś znacznie bardziej wartościowego, więc chyba nie był całkiem zły.

Janet spojrzała z dezaprobatą na swoją panią i potrząsnęła głową.

- Pewnego dnia przyjdzie ci za to zapłacić, moje dziecko. A ja nie omieszkać ci o tym powiedzieć!

- Jestem tego pewna, moja droga Janet - odparła Cassie ze złośliwym uśmiechem. - Czy mogłabyś zapiąć mi ten haczyk z tyłu? Nie mogę pozwolić, by wszyscy na mnie czekali z obiadem, to byłoby naprawdę niestosowne.

Janet, nie przestając gderać, zapinała na plecach piękną, jedwabną suknię, a Cassie oddała się rozmyśleniom. Lord Carlton rzeczywiście z podziwu godnym opanowaniem rozwiązał kryzysową sytuację, przejmując od niej opiekę nad Tarą. Była mu głęboko wdzięczna za zrozumienie. Janet miała rację: sytuacja mogła okazać się trudna.

Nie zapomniała incydentu z kotem, ale wtedy lord Carlton był młodszy i nie panował nad sobą tak doskonale jak dzisiaj,

nie wiedziała więc, czego spodziewać się po nim jako człowieku dojrzałym. W ciągu ostatnich kilku dni zaobserwowała, że jest dobry i wspaniałomyślny, a w dodatku obdarzony takim samym poczuciem humoru, jak ona. Takiego właśnie dżentelmena pragnęła spotkać. Każda kobieta czułaby się przy nim bezpiecznie. Krótko mówiąc, był bliski jej ideału kandydata na męża. Niestety, nic nie świadczyło o tym, by żywił do Cassie jakiegokolwiek inne uczucie niż przyjacielską sympatię.

Odrzuciła więc nader przyjemną myśl, która zdążyła już zakiełkować w jej głowie, i przestawiła się na temat zbliżającej się wyprawy do miasta. W Londynie na pewno zdoła znaleźć innych dżentelmenów, który uznają jej majątek za wart zainteresowania lub jej osobę za godną zachodu.

Kiedy lady Longbourne wyruszała w drogę, niczego nie robiła połowicznie. Poza jej własnym, bardzo komfortowym powozem, jechał jeszcze drugi, mniejszy, dla jej osobistej służącej, Margaret, garderobianej Anne, Janet oraz, choć jeszcze o tym nie wiedziała, Tary; za nimi podążał wóz bagażowy wypełniony po brzegi niezbędnymi drobiazgami jej lordowskiej mości, zapakowanymi do tyłu kufków i pudeł, że część bagaży młodych dam trzeba było umieścić na drugim wozie.

Lord Carlton zdumiał się na ten widok, ale nie pozwolił sobie na ujawnienie najmniejszych oznak rozbawienia. On sam miał we wszystkich domach dobrze zaopatrzone garderoby, bo wolał podróżować z małym bagażem. Sarah zaproponowała, by usiadł przy niej w powozie, ale odparł z uśmiechem, że woli pojechać konno przodem. Obiecał jednak trzymać się blisko, w zasięgu głosu.

- Co nie znaczy, bym przewidywał jakieś kłopoty - zapewnił matkę, która spojrzała na niego z niepokojem. - Od mie-

sięcy nie było doniesień o rozbójnikach na drogach w tej części kraju. Poza tym będę w pobliżu, więc nie patrz na mnie z takim lękiem, mamó. Zapewniam, że jesteście całkowicie bezpieczne.

- Mam nadzieję - oświadczyła lady Longbourne. - Zresztą możemy na wszelki wypadek zabrać z sobą jeszcze jednego czy dwóch służących, Carltonie.

W każdym powozie obok woźnicy siedział już jeden służący, a z tyłu drugi, Vincent nie widział więc powodu, by wprowadzać zmiany w ostatniej chwili. Uśmiechnął się więc tylko do matki, uchylił kapelusza przed młodymi damami i dosiadł wierzchowca. Był to wyjątkowo piękny czarny ogier, zniecierpliwiony przedłużającym się oczekiwaniem; kiedy tylko poczuł na grzbiecie ciężar swego pana, chciał się zerwać do biegu.

- Spokojnie, Hermes. Wiem, że chciałbyś puścić się z wiatrem w zawody, ale dziś musimy myśleć o innych. Nie, nie popisuj się.

Wreszcie kawalkada ruszyła, najpierw długą aleją wyjazdową, potem wiejską drogą, która prowadziła do głównego gościńca.

- Jak dotąd jest całkiem wygodnie - orzekła lady Longbourne. - Ojej! Czyżbym zapomniała soli trzeźwiących? - Zaczęła szukać wokół siebie i w woreczku na podręczne drobiazgi, a tymczasem Cassie znalazła poszukiwany flakonik na siedzeniu pod swoją spódnicą. - Dziękuję ci, kochanie. Nie chciałabym tak od razu prosić stangreta, żeby się zatrzymał.

- Naturalnie - powiedziała Cassie z uśmiechem. - Lord Carlton pewnie też by nie chciał. Dżentelmeni nie zawsze potrafią zrozumieć, że kobieta nie może obyć się bez pewnych drobiazgów, prawda?

- Masz absolutną rację - przyznała lady Longbourne, spoglądając na nią z uznaniem. - Vincent nigdy nie okazał zniecierpliwienia. Jego ojciec miał bardzo trudny charakter. Często odmawiał podróżowania ze mną... - Wyrwało jej się westchnienie. - Mój drogi Bertie był całkiem inny. Nic nie wydawało mu się nazbyt kłopotliwe. Nie sądzę, bym miała jeszcze spotkać w życiu kogoś takiego.

- Czy dlatego nie myśli pani o powtórnym zamążpójściu? - zapytała Cassie bez zastanowienia i zarumieniła się, gdy lady Longbourne na nią spojrzała. - Proszę mi wybaczyć impertynencję, ale wydaje mi się, że jest pani jeszcze na tyle młoda, by cieszyć się towarzystwem dżentelmena.

- Chyba tak - stwierdziła lady Longbourne po zastanowieniu. - Carlton ma trzydzieści jeden lat, ale wyszłam za jego ojca nieomal jako dziecko, miałam zaledwie siedemnaście lat. Nie jestem jeszcze taka stara, by uważać się za czcigodną matronę.

- Oczywiście, że nie! - zawołały Sarah i Cassie zgodnym chórem.

- Chodzi o moje zdrowie - wyjaśniła lady Longbourne. - Po śmierci Bertiego... nie chciałam dłużej żyć. Tak bardzo się kochaliśmy. - Zarumieniła się jak młoda dziewczyna. - Kiedy byłam panienką, powtarzano mi w kółko, że miłość nie ma znaczenia i że jeden mężczyzna nie różni się zbyt od drugiego. Muszę wam powiedzieć, moje drogie, że to bzdura. Jeśli możecie wybierać, to wybierzcie mężczyznę, z którym będziecie szczęśliwe. Bogactwo czy pozycja w świecie to nic w porównaniu z miłością. - Roześmiała się. - Popełniłam niedyskrecję! Nie usłyszycie takich rad od innych, mogę was o tym zapewnić. Nie chciałabym jednak, by którakolwiek z was unieszczęśliwiła się nieodpowiednim związkiem.

Cassie pochyliła się i pocałowała ją w policzek.

- Mamy prawdziwe szczęście, że panią spotkałyśmy - powiedziała. - Sama nie wiem, jak to się stało, ale bardzo się do pani przywiązałam.

Sarah zgodziła się z jej opinią, po czym zaczęły z zadowoleniem omawiać czekające je w mieście przyjemności. Nagle wszystkie trzy drgnęły na odgłos wystrzału z pistoletu, któremu zawtórowały dwa następne.

- Litości! - zawołała lady Longbourne i położyła rękę na sercu. - Co to było?

Powóz zatrzymał się raptownie. Cassie otworzyła okno i wysunęła głowę na zewnątrz. Dostrzegła zbliżającego się szybko lorda Carltona. Ściągnął wodze, kiedy znalazł się przy powozie, i Cassie dostrzegła jego chmurną twarz.

- Co się stało, sir? Chyba słyszałyśmy strzały?

- Nie ma się czym przejmować - oświadczył Vincent. - Wypłoszyłem tego łajdaka. Myślał, że zdoła mnie zaskoczyć, ale już od pewnego czasu zauważyłem, że skradał się w krzakach. - Zsiadł z konia i otworzył drzwi powozu. Z niepokojem spojrzął na lady Longbourne, która wachlowała się i wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć. - Wybacz, mamó. Nie chciałem cię przerazić, uznałem jednak, że lepiej wypłoszyć go strzałem z pistoletu, nie czekając, aż podejmie wrogie działania przeciwko nam.

-Moje... sole trzeźwiące - wyszeptała lady Longbourne słabym głosem. Jęknęła, kiedy Sarah podsunęła jej pod nos małe srebrne puzderko, ale sole szybko przywróciły jej przytomność. - Zapewniałeś, Carltonie, że na tej drodze nie grasują rozbójnicy, prawda? - Pełen wyrzutu ton świadczył, że czyniła syna w pełni odpowiedzialnym za to wydarzenie.

- Wybacz mi, mamó. Rzeczywiście nie słyszałem nic o napadach. Nie jestem nawet pewien, czy ten łajdak rzeczywiście

zamierzał wyrządzić nam krzywdę, ale skoro zorientowałem się, że jesteśmy śledzeni, uznałem, że lepiej go odstraszyć.

- Przez ciebie źle się poczułam - oświadczyła matka gniewnie. Siedziała już prosto i odzyskała kolory, więc Vincent nie był zbyt zaniepokojony. - Twój ojciec również nie zważał nigdy na moje uczucia.

Przez twarz Vincenta przeniknął cień rozgoryczenia. Cassie miała o to trochę żalu do lady Longbourne. Zareagował szybko, nie bacząc na własne bezpieczeństwo, bo gdyby tamten łajdak żywił wobec nich złe zamiary, mógłby odpowiedzieć ogniem. Nie wiedziała, dlaczego na samą myśl o tym, że lord Carlton mógłby teraz leżeć na drodze ranny - lub, co gorsza, zabity - głośno wciągnęła powietrze z przerażenia. Zarumieniła się, bo w tym momencie Vincent na nią przeniósł wzrok

- Jakież ja byłem bezmyślny - przeprosił natychmiast. - Zachowałem się nazbyt impulsywnie i obawiam się, że zdenerwowałem panią, panno Thornton. A także pannę Walker.

- Wcale nie! - odparła z mocą Cassie, która natychmiast wzięła się w garść. - Byłam tylko nieco zaskoczona, to wszystko. Zresztą na pewno kierowały panem jak najlepsze intencje. Prawdziwy szok przeżyłybyśmy, gdyby ta wstrętna kreatura strzeliła panu w plecy i zaatakowała nasz powóz, szczególnie że pozostałe wozy zostały daleko w tyle. Znalazłybyśmy się na jego łasce i niełasce... kimkolwiek był. Wydaje mi się, że winne jesteśmy panu wdzięczność za natychmiastową reakcję.

- Jeśli o to chodzi... - Vincent zmarszczył czoło. - Nie jestem pewien, czy miał złe zamiary, bo kiedy strzeliłem, natychmiast odjechał galopem.

- Rzeczywiście - przyznała lady Longbourne, odzyskując rezon. - No dobrze, wybaczam ci, Carltonie, bo chyba naprawdę nie chciałeś przyprowadzić mnie o palpitację serca.

- Za kilka mil zatrzymamy się w przydrożnej karczmie na posiłek - poinformował Vincent, przykładając dłoń do runda kapelusza. - Jeszcze raz przepraszam za zdenerwowanie, na jakie panie naraziłem.

Cassie wychyliła się z okna i odprowadziła wzrokiem odjeżdżającego lorda Carltona. Miał wspaniałą postawę. Pomyślała, że przez cały czas wydawał się całkowicie opanowany, i zacięła się nagle, czy kiedykolwiek dał się komuś wyprowadzić z równowagi. Może nie należał do ludzi, którzy wszystko głęboko przeżywali? Jednak jego oczy mówiły czasem coś całkiem innego.

Gdyby Cassie widziała, jak poprzedniego wieczoru rozwścieczony lord Carlton wyrzucił nikczemnego pana Cartera z oberży „Pod Zajacem i Ogarem”, nie wątpiłaby, że lord Carlton jest zdolny do gwałtownych uczuć, a w dodatku obdarzony godnymi uwagi uzdolnieniami boksterskimi. Jednak, ponieważ lord Carlton był dżentelmenem w każdym calu i żywił staroświeckie przekonanie, że w miarę możliwości należy chronić damy przed wszelkimi przykrościami, miała się nigdy nie dowiedzieć, że brutal, który tak haniebnie traktował Tarę, poniósł karę za swoje grzechy.

Należało zapisać Vincentowi na plus również i to, że nawet wyraźnie prowokowany przez matkę, nigdy nie zachował się wobec niej niewłaściwie. Cassie uświadomiła sobie nagle z drżeniem serca, że naprawdę bardzo polubiła jego lordowską mość.

Dobrze by było trochę lepiej go poznać, uznała.

- Mam nadzieję, że zapomniała już pani o tym incydencie, panno Thornton? - zapytał lord Carlton, kiedy zmierzali w stronę gospody. Lady Longbourne szła tuż przed nimi,

wsparta na ramieniu Sarah, i wyglądało na to, że nie poniosła większego uszczerbku na zdrowiu. Vincent spojrział na Cassie z niepokojem, bo pamiętał o niefortunnych okolicznościach samobójstwa jej ojca. - Przykro mi, że musiałem wypalić z pistoletów.

- To prawda, że nie lubię broni - przyznała Cassie i na jej twarzy pojawił się na moment wyraz głębokiego smutku, bo nasuwały jej się wspomnienia tamtego popołudnia, które za wszelką cenę chciała wymazać z pamięci. - Przestraszyłam się tylko w pierwszym momencie. Kiedy wyjrzałam przez okno i zobaczyłam pana, wiedziałam już, że nie ma powodu do obaw.

Vincent był jej wdzięczny za ten komplement, bo został powiedziany tak szczerze i bez zastanowienia, że niewątpliwie płynął prosto z serca.

- Proszę mi wierzyć, że gdyby to leżało w moich możliwościach, nie dopuściłbym, by spotkała panią jakakolwiek krzywda.

- Wiem, sir, i jestem pewna, że lady Longbourne musi również zdawać sobie z tego sprawę. Była tak wstrząśnięta, że mówiła bez zastanowienia.

- Nie musi się pani mną przejmować, panno Thornton - powiedział delikatnie. - Mama ma zwyczaj obarczania mnie odpowiedzialnością za wszelkie swoje złe nastroje i samopoczucia. Nie bronię się, bo mam poczucie, iż jestem po części odpowiedzialny za jej nieszczęście.

- Dlaczego? - Cassie popatrzyła na niego zdumiona.

- Sir Bertram wybrał się ze mną na ryby i wtedy właśnie nabawił się przeziębienia, które później przerodziło się w złośliwą gorączkę - wyjaśnił Vincent. - Wyszliśmy bardzo wcześnie, przekonani, że nie będzie padać. Niespodziewanie zerwała się burza. Obaj przemokliśmy do suchej nitki. Mnie nic się nie stało, natomiast on zachorował i wkrótce zmarł.

- To przecież nie pana wina!
- Nie - przyznał - ale to ja zaproponowałem mu wyprawę na ryby. Namówiłem go na tę wycieczkę, bo wydawało mi się, że za dużo czasu spędza w domu. Mama mnie uprzedzała, że *nie jest silny, ale jej nie* wierzyłem. *Byłem pewien, że świeże* powietrze dobrze mu zrobi. Niestety, myliłem się. Nigdy nie przestanę tego żałować.
- Przecież miał pan dobre intencje - podkreśliła Cassie. - Nie widzę tu pańskiej winy.
- Rozgrzeszyłaby mnie pani z wszelkich występków, pan-no Thornton. - Vincent popatrzył z wdzięcznością na Cassie.
- Jestem pani wielce zobowiązany.
- Akurat. Mnie pan nie oszuka, sir. Potrafię w lot przejrzeć wszelkie gierki.
- Tak, zdaję sobie z tego sprawę.
- Cassie wybuchnęła śmiechem.
- Dlaczego zabrał pan z nami Tarę? Dałam jej pieniądze na dyliżans i jeszcze trochę na początek, zanim znajdzie sobie pracę. Podejrzewam, że lady Longbourne nie byłaby zachwycona, gdyby dowiedziała się, że jej gospodarstwo domowe powiększyło się o jeszcze jedną osobę.
- Też tak sędzę - odparł Vincent. - Tara powiedziała mi o tych pieniądzach i zaoferowała się je zwrócić. Trudno mi jednak uwierzyć, że wyrwawszy ją ze szponów jednego nikczemnika, gotowa była pani oddać ją w łapy następnego.
- Uśmiechnął się, kiedy Cassie pokręciła głową. - Właśnie. Była zdecydowana jechać do Londynu, więc zaproponowałem, że zatrudnię ją u siebie w kuchni. Najwyraźniej lubi gotować, zatem postanowiłem zrobić z niej pomocnicę monsieur Marcela.
- To pański kucharz? - zapytała Cassie.

Vincent wyobraził sobie reakcję monsieur Marcela, gdyby usłyszał, że nazwano go kucharzem.

- Nie ośmieliłbym się tak go określić - odrzekł. - Widzi pani, to Francuz o nieco zbyt wybuchowym temperamencie. Przywykł, że nazywa się go artystą albo geniuszem kulinarnym.

- A tak! Jack wspominał, że ma pan znakomitego szefa kuchni.

- Czasami zastanawiam się, czy życie nie byłoby prostsze i spokojniejsze, gdybym zatrudnił zwykłego kucharza.

- Szkoda, że nie spróbował pan mlecznych puddingów pani Horton - stwierdziła Cassie ze złośliwym błyskiem w oku.

- Albo tego, co ona, jakże niesłusznie, nazywa owsianką, co każdy mistrz na budowie uznałby za kłajster!

- Udało mi się uniknąć tego doświadczenia. Rozumiem, że pani Horton była waszą kucharką?

- Przekazałam ją Kendalowi razem z najlepszymi życzeniami.

Vincent pokiwał głową.

-I dobrze mu tak, prawda? Za to, że w swej arogancji ośmielił się nad panią litować. Cassie się zarumieniła.

- Może przesadnie uwypukliłam tę sprawę, lordzie Carlton. Niewykluczone, że Kendal miał dobre intencje. Ale oświadczył mi się z takim poczuciem wyższości! Był święcie przekonany, że nie mam wyboru - podkreśliła z oburzeniem Cassie.

- A w dodatku Jack jeszcze nie ostygł w grobie.

- To było zarówno nietaktowne, jak i niefortunne – ocenił Vincent.

-I bardzo przykre - dodała Cassie. Zamrugnęła szybko powiekami, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy, po

czym postanowiła zmienić temat rozmowy. - Proszę mi powiedzieć, czy monsieur Marcel będzie zadowolony z takiej pomocnicy jak Tara?

- Mam nadzieję - skłamał Vincent. - Należy przyjąć, że nie jest całkiem bez serca. Zresztą, ona nie będzie jedyną jego podkomendną.

- Gdyby się okazało, że Tara nie nadaje się do pomocy w kuchni, może pan dać jej inną robotę - stwierdziła Cassie. - Na przykład pokojówki albo garderobianej.

- Rzeczywiście. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałem?

Lady Longbourne odwróciła się i spojrzała na nich przez ramię.

- Carltonie! Dlaczego tak się ociągacie? Jesteśmy z Sarah bardzo głodne.

- Musimy do nich dołączyć - powiedział Vincent do Cassie. - Oczywiście dam pani znać, jak Tara sobie radzi, panno Thornton.

- Będzie mi bardzo miło - odparła trochę niepewnie. - Jak pan sądzi, czy kiedy jesteśmy sami, mógłby pan zwracać się do mnie po imieniu?

- Myślę, że tak. Pod warunkiem jednak, że zrewanżujesz mi się tym samym. Przyjaciele mówią do mnie Vinnie.

- Wiem. Jack zawsze tak o tobie pisał. Był bardzo dumny z twojej przyjaźni. - Odetchnęła głęboko. - Jeszcze nie podziękowałam ci za list. Poczułam ulgę na wieść, że byłeś u boku Jacka tuż przed jego śmiercią...

- Jestem ci wdzięczny za te słowa.

Czyżby w jego oczach dostrzegła ból, a może poczucie winy? Cassie nie była pewna. Nie ulegało wątpliwości, że jej stwierdzenie poruszyło Vincenta, ale nie mieli teraz czasu na przeciąganie rozmowy, choćby jej na tym zależało.

Lord Carlton zrównał się z matką i podając jej ramię, wraz z nią przekroczył próg gospody. Cassie podążyła za nimi, rozglądając się dokoła z zainteresowaniem. To był porządny, czysty zajazd, podwórze zostało starannie zamiecione, a wewnątrz ładnie pachniało. Karczmarz, który najwyraźniej ich oczekiwał, gnąc się w ukłonach, zaprowadził towarzystwo do prywatnego saloniku, umeblowanego wypolerowanymi do połysku dębowymi sprzętami. Z szacunkiem, ale i z lekką obawą zapewniał lorda Carltona, że wszystko zostało przygotowane.

Cassie zrozumiała, że lord Carlton dołożył wszelkich starań, by zapewnić im wygodę. Lady Longbourne ciągle znajdowała powody do narzekań, ale taki już był jej sposób bycia i syn najwyraźniej nie zwracał na to uwagi. Opiekował się towarzyszącymi mu paniami i zabiegał o ich wygodę i bezpieczeństwo. Jednak Cassie, której nie brakowało spostrzegawczości, dostrzegła, że pod uprzejmością i pozorną bez troską lord Carlton ukrywa jakąś bolesną tajemnicę.

Budziło to w niej pragnienie, by go objąć i pocieszyć. Doskonale rozumiała poczucie osamotnienia, kiedy nie ma się z kim podzielić zmartwieniem.

Cassie nie chciała przyznać nawet przed sobą, że trochę za bardzo polubiła lorda Carltona. Przecież był jedynie serdecznym przyjacielem jej nieżyjącego brata. To prawda, bardzo wobec niej opiekuńczym i życzliwym, ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

Nie powinna się łudzić, że znaczy dla niego więcej niż jakakolwiek inna dziewczyna, którą jego matka mogła zaprosić pod swój dach. Niewykluczone, że kiedy ta wizyta dobiegnie końca, więcej go nie zobaczy.

Cassie była przekonana, że gdyby pozwoliła sobie zakochać

się w lordzie Carltonie, zapłaciłaby za to cierpieniem. Przecież on nie obdarzyłby jej miłością, nie zaproponowałby jej małżeństwa. Straciła już najbliższe ukochane osoby i nie chciała ponownie narażać się na bolesne przeżycia. Miała teraz szansę ułożyć sobie życie i postanowiła ją wykorzystać.

Rozdział piąty

Londyńska rezydencja lorda Carltona okazała się przestronnym budynkiem położonym w ładnym, zadbanym ogrodzie. Cassie weszła do domu, w którym oczekiwała na nich gospodyni, pani Dorkins, i natychmiast rzuciła jej się w oczy elegancja wnętrza. Umeblowanie według najświeższej mody zdradzało wpływy francuskie: śliczne, empirowe krzesła i etażerki z hebanu ze złoceniami przyciągały jej wzrok, kiedy zmierzała za przewodniczką do przeznaczonego dla niej apartamentu.

- Mam nadzieję, że będzie tu pani wygodnie - powiedziała gospodyni. - Jego lordowska mość specjalnie odnowił te pokoje po powrocie z Francji - dodała z naciskiem pani Dorkins.

Cassie poczuła zaskoczenie; odniosła wrażenie, że gospodyni chciała dać jej Coś do zrozumienia, ale nie odważyła się ubrać myśli w słowa. Odparła więc tylko:

- Bardzo tu elegancko. Różne odcienie koloru różowego i kremowa barwa to urocze połączenie. Chyba najbardziej podobają mi się hafty na zasłonach. To chyba stokrotki, prawda?

- Tak, panienko. Apartament jego lordowskiej mości został zaaranżowany w tym samym okresie, natomiast jest utrzymany w odcieniach purpury i złota.

- Naprawdę? Bardzo stosownie.

- Pomyślałam, że chciałaby pani wiedzieć...

- Dziękuję - ucięła Cassie. - Na pewno będzie mi tu dobrze, pani Dorkins.

Po wyjściu gospodyni Cassie rozejrzała się wokół. Apartament, poza śliczną sypialnią, składał się z utrzymanej w odcieniach zieleni i żółci bawialni. Drzwi, które - jak Cassie podejrzewała - mogły prowadzić do garderoby, były zamknięte na klucz, co sprawdziła, naciskając klamkę. Następnie podeszła do okna i wyjrzała na niewielki, ale bardzo starannie utrzymany, tonący w kwiatkach ogród. Nagle usłyszała pukanie, potem kliknięcie, a kiedy obejrzała się za siebie, ze zdumieniem zobaczyła lorda Carltona. Wszedł przez drzwi, które przed chwilą były zamknięte. Zmarszczyła czoło.

- Wybacz, że cię przestraszyłem - powiedział. - Zauważyłem jednak, że klucz do garderoby został omyłkowo pozostawiony po mojej stronie. Przepraszam, że cię niepokoiłem. Nie obawiaj się, że mógłbym ponownie wejść tą drogą do twoich pokoi; zrobiłem to jedynie po to, żeby ci to dać - podkreślił, po czym położył kluczyk na komodzie i odwrócił się do wyjścia.

- Czy mam przez to rozumieć, że te pokoje zostały zaprojektowane z myślą o lady Carlton?

- Gdybym był żonaty, to tak. Proszę o wybaczenie, panno Thornton. Moje polecenia zostały źle zrozumiane. Kazałem przygotować najlepsze pokoje gościnne i... - Wzruszył ramionami, najwyraźniej zakłopotany. - Jak widzisz, pani Dorkins uznała, że miałem na myśli te pokoje. Jeśli czujesz się zaniepokojona, że jestem tak blisko...

- Ani trochę - zapewniła Cassie, choć się zarumieniła. -
Dałeś mi klucz. Poza tym wiem, że jesteś dżentelmenem.

- Mogę polecić, by niezwłocznie przygotowano inne pomieszczenia.

- Nie ma potrzeby. To piękne pokoje i czuję się wyróżniona, mogąc w nich mieszkać.

- W takim razie zostawiam cię, żebyś się mogła rozgościć. Zamknij za mną drzwi na klucz i schowaj go gdzieś w bezpiecznym miejscu.

Vincent wydawał się zakłopotany nieporozumieniem i wycofał się pośpiesznie. Cassie zamknęła drzwi na klucz, który położyła na komodzie, bardzo ładnym, intarsjowanym meblu.

W tym momencie zapukała pokojówka. Usłyszała zaproszenie i weszła z pytaniem, czy może rozpakować rzeczy panny Thornton. Cassie, naturalnie, wyraziła zgodę, po czym przebrała się w inną suknię i zeszła na dół na herbatę. Do tego czasu zdążyła już zapomnieć o zakłopotaniu, w jaki wprowadził ją fakt, że ulokowano ją w apartamencie, sąsiadującym z pokojami lorda Carltona.

To dziwne, że gospodyni popełniła taką pomyłkę, bo młode, niezamężne kobiety zawsze umieszczano w pokojach najbardziej oddalonych od tych, które zajmowali mężczyźni. Lord Carlton zachował się dokładnie tak, jak należało, kiedy odkrył, że klucz znajduje się po niewłaściwej stronie drzwi. Drzwi zostały dokładnie zamknięte. I tak już pozostanie.

W ciągu następnych kilku dni Cassie ani razu nie żałowała, że została w tym pięknym apartamencie. Nie słyszała lorda Carltona, nie próbował też wejść do jej pokoju.

Teraz, kiedy przyjechali do Londynu, Vincent rzadko by-

wał w domu. W pierwszym tygodniu tylko dwa razy jadł z nimi obiad, a zaraz potem wychodził do jednego z londyńskich klubów, w których bywali dżentelmeni. Mimo że codziennie starał się zamienić z Cassie kilka słów, nie zapominając zapytać, czy jej tu wygodnie i czy ma wszystko, czego potrzebuje, i chociaż okazywał jej wyjątkową uprzejmość, wydawał się bardziej daleki niż dawniej. Było jej trochę przykro z tego powodu, bo w czasie podróży odniosła wrażenie, że się z sobą zaprzyjaźnili.

Chyba nie czuł się już niezręcznie z powodu pomyłki z pokojami? Cassie bez namysłu zaakceptowała sytuację. Mogła nalegać na przeniesienie, ale po co wywoływać plotki wśród służby? Zresztą takie żądanie uważałaby za uwłaczające dla niesłychanie uczynnego lorda Carltona. Ani trochę nie czuła się zagrożona. Nie wchodziło w rachubę, by Vincent wdarł się do jej pokoju w środku nocy i ją uwiódł.

Lady Longbourne rozgościła się w pokojach przeznaczonych pierwotnie dla Cassie i nie miała ochoty na przenosiny. Gdyby jednak ktoś ze służby dostrzegł coś niewłaściwego w raczej nietypowym rozlokowaniu gości, zostałby natychmiast przywołany do porządku przez panią Dorkins, która spostrzegła leżący na komodzie klucz i uniżenie przeprosiła Cassie za pomyłkę.

- Nie wiem, jak mogłam opacznie zrozumieć polecenia jego lordowskiej mości - powiedziała ze skruchą.

- To bez znaczenia - zapewniła ją Cassie. - Zresztą, nie musi mnie pani przeproszać, pani Dorkins, bo to najpiękniejsze pokoje w całym domu.

Zmartwiona dystansem, z jakim traktował ją Vincent, Cassie myślała o nim coraz więcej. To przecież niemożliwe, by z powodu pomyłki w przydzieleniu pokoi patrzył na nią

czasami takim dziwnym wzrokiem? Nie, na pewno musiała istnieć inna przyczyna jego dziwnego zachowania. Może problemy osobiste?

Gdyby Cassie mogła być świadkiem gwałtownej wymiany zdań pomiędzy lordem Carltonem a jego bratem, sir Harrym, zrozumiałaby w jednej chwili. Pozostawała jednak w błogiej nieświadomości.

- A niech cię szlag trafi! - Vincent nie ukrywał złości, gdy natknął się na brata w klubie White'a. Przybył tu niedawno, a już piąta osoba pogratulowała mu zbliżających się zaślubin.
- O co ci, do diabła, chodziło?

Wywołane szampanem błogie wizje uśmiechniętego, przepełnionego wdzięcznością Vinniego rozwiały się jak letnia mgła. Harry stał w milczeniu, wyraźnie zawstydzony. Wolałby już, aby brat się z nim bił, niż patrzył na niego z taką pretensją.

- Chlapnąłem to bez zastanowienia. Ogromnie cię przepraszam. Kiedy zaręczyny zostaną ogłoszone, plotki stracą sens, prawda?

- A skąd pewność, że dojdzie do zaręczyn? Cassandra może nie mieć ochoty wyjść za mnie ani za żadnego z przyjaciół Jacka. Jest teraz posażną dziedziczką i przyjechała do Londynu, żeby znaleźć odpowiedniego kandydata na męża. Twoje kłamstwo już na starcie odebrało jej jakiekolwiek szanse, bo wszyscy są przekonani, że wkrótce zostanie moją żoną. Jeśli teraz odrzuci moje oświadczenia, będą gadali, że dała mi kosa. A jak sądzisz, co powiedzą o mnie, jeśli nie poproszę jej o rękę? Zostanę uznany za łajdaka. Jeśli zaś poproszę, to za łowcę posagów.

Harry najchętniej skryłby się w mysią dziurę, ale, jak już bywało w takich sytuacjach, nie udało się uniknąć

odpowiedzialności za beztroskie rozminięcie się z prawdą. Musiał stawić czoło wściekłemu bratu. Jeszcze nigdy nie widział go tak rozjuszonego.

- To przez La Valentine. Zapytała, gdzie jesteś... a ludzie opowiadali brednie o tym, że niewykluczone, iż się z nią ożenisz. Jakbyś mógł uczynić śpiewaczkę lady Carlton! Postanowiłem położyć kres tym pogłoskom.

- Rozpuszczając następne! - podkreślił Vincent, ale już nie co ochłonął z gniewu. Zauważył, że w innych okolicznościach sytuacja mogłaby nawet być zabawna. - Jesteś idiotą, Harry. Postawiłeś mnie w bardzo kłopotliwej sytuacji.

Harry nie mógł się domyślić, w jak bardzo niezręcznym położeniu znalazł się Vincent, ponieważ nie wiedział o wielu sprawach. Vincent miał w głowie gonitwę myśli. Był rozdarty między otwartym wyznaniem wszystkiego Cassie a podjęciem ryzyka wywołania skandalu. Za nic w świecie nie chciał sprawić bólu siostrze Jacka, a do tego by doszło, gdyby prawda wyszła na jaw.

Nieświadoma nadciągających kłopotów, Cassie cieszyła się wizytami u krawcowych, modystek, rękawiczników oraz w sklepach, oferujących przeróżne drobiazgi, bez których kobieta nie może odnieść sukcesu towarzyskiego.

- Nigdy do tej pory tak dobrze się nie bawiłam - stwierdziła Cassie, obracając się przed lustrem w jednej z nowych sukien, które zostały dostarczone tego popołudnia. - Jaka to piękna, elegancka wieczorowa kreacja! Niestety, nie zmieniłam się w piękność, ale chyba nie jest najgorzej.

- Wyglądasz lepiej, niż sądzisz - oświadczyła lady Longbourne, przyglądając jej się w zamyśleniu. W ciągu ostatnich kilku dni jeszcze bardziej polubiła Cassie. To prawda, że

nie jest piękną. I nigdy nie będzie. Miała jednak w sobie coś szczególnego, wewnętrzne piękno, które może nie przez wszystkich zostanie zauważone, dostrzegą je wyłącznie ci, którzy szukają w kobiecie czegoś więcej. - Jesteś przystojną dziewczyną, Cassie. Każdy rozsądny dżentelmen to zauważy. Nie boję się, że będziesz podpierać ściany, kochanie.

- Mam nadzieję, że nie będę! - zawołała Cassie i wykrzywiła się do swego odbicia w lustrze. - Zamierzam odnieść duży sukces.

- Z pewnością na to zasługujesz - odparła jej patronka z uśmiechem.

Tego wieczoru miało się odbyć pierwsze zetknięcie Cassie z krytycznie nastawioną londyńską socjetą, bardzo różniącą się od grona wiejskich przyjaciół, których poznała na obiedzie w Carlton House.

Cassie spotkała już kilkoro przyjaciół lady Longbourne, którzy ucieszyli się na wieść, że dama przyjechała wreszcie do miasta, i pospieszyli złożyć bilety wizytowe, napić się z nią herbaty czy doręczyć zaproszenie. Większość pań przypro-wadziła swoje córki, żeby poznały Cassie; wszystkie były zadziwiająco miłe i przyjacielskie, choć jak dotąd żadnej z nich nie towarzyszył mężczyzna. Co było dość dziwne, stwierdziła Cassie po zastanowieniu. Może jednak wieści o jej majątku jeszcze się nie rozeszły. Była trochę rozczarowana, bo wolała-by poznać kilku panów, zanim weźmie udział w pierwszym balu, ale zaznajomiła się przynajmniej z kilkoma ustosunko-wanymi paniami.

- Jak mówiłam... - Pukanie do drzwi przerwało tyradę lady Longbourne. - Proszę wejść!

Pojawiła się pani Dorkins.

- Lord Carlton pyta, czy panna Thornton uczyni mu

ten zaszczyt i zechce porozmawiać z nim w jego gabinecie, milady.

- Już schodzę - odparła Cassie i podziękowała gospodyni.

- Ciekawe, czego Carlton chce? - zapytała lady Longbourne po wyjściu pani Dorkins, marszcząc brwi. - Najlepiej zejź już na dół, Cassie. Pewnie nie zabierze ci to więcej niż kilka minut. To nie najlepszy moment. Jeszcze nie wybrałyśmy sukni na wieczór.

- Ja już chyba zdecydowałam, lecz jeśli lord Carlton chce mnie widzieć, nie mogę mu kazać czekać.

Wybiegła z pokoju z uśmiechem na ustach. W ciągu ostatnich kilku dni rzadko widywała lorda Carltona i zdążyła już się za nim stęsknić. To śmieszne, ale na samą wzmiankę, że Vincent chce ją widzieć, ogarnęła ją radość.

Zatrzymała się pod drzwiami gabinetu, nagle niepewna. Dlaczego po nią posłał? Chyba niczym go nie zdenerwowała? A może Tara wpadła w tarapaty?

Zapukała, usłyszała zaproszenie i weszła, ale zerknęła niepewnie na drzwi.

- Chciał mnie pan widzieć, sir?

- Tak, Cassie. Proszę, wejź. - Uśmiechnął się, więc odpowiedziała mu uśmiechem. - "Dziękuję, że przysłaś tak szybko.

Zdziwiła się, że zwrócił się do niej po imieniu, bo choć podczas podróży do Londynu umówili się, że nie będą się tytułować i będą mówić do siebie po imieniu, dotychczas nie powiedział do niej: Cassie. Rezerwa, z jaką ją traktował w Londynie, sprawiła, że i ona nie odważyła się dotychczas wymówić jego imienia, bo a nuż uznałby to za arogancję.

Powoli weszła głębiej do pokoju, w którym stały meble z jasnego dębu, a na ścianach wisiały obrazy, przedstawiają-

ce psy i konie. Zobaczyła wielkie biurko z blatem obciągniętym skórą, na którym walało się mnóstwo papierów i różnych drobiazgów, dwie bliźniacze szafy biblioteczne, kilka kanap i krzeseł. W tym typowo męskim pokoju było mnóstwo przestrzeni i powietrza, więc natychmiast spodobał się Cassie.

- Czy coś się stało, sir?

- Obiecałaś, że również będziesz mówić mi po imieniu - przypomniał. - Vincent lub Vinnie, jeśli wolisz.

Policzki Cassie lekko się zaróżowiły.

- Tak, oczywiście, ale myślałam, że mogłeś zmienić zdanie.

- Bo przez te ostatnie dni trzymałem się z dala od ciebie?

Taka bezpośredniość zaskoczyła Cassie.

- Właśnie. Zastanawiałam się, czy przypadkiem czymś cię nie obraziłam.

- Ty? Jakim cudem?

Vincent stał przy kominku, w którym leżały ułożone szczapy, ale ogień nie płonął, bo panowała wystarczająco ciepła pogoda. Dlaczego patrzył na nią z taką powagą? Serce biło jej coraz szybciej, zabrakło jej tchu. Dlaczego czasami czuła się przy nim tak dziwnie?

- Muszę wyznać, że walczyłem z własnym sumieniem - oświadczył tonem człowieka, który podjął nieodwołalną decyzję. - Biłem się z myślami, czy poprosić cię, byś została moją żoną, Cassie. - Usłyszał, że gwałtownie wciągnęła powietrze, zaskoczona i zadziwiona, ale mimo to kontynuował:

- W ostatnich dniach zachowywałem pewien dystans, bo uznałem, że to nie fair prosić cię o to, zanim weźmiesz udział w wymarzonych balach, przyjęciach i spotkaniach towarzyskich. Okazało się jednak, że nie mogę już dłużej czekać.

Dla Cassie nie ulegało wątpliwości, że Vincent zmaga się z ciężkim brzemieniem. Jego zazwyczaj pogodną twarz na-

znaczyła udreka. Głos mu drżał. Unikał patrzenia jej prosto w oczy.

Czyżby aż tak ją kochał, że nie mógł znieść myśli, iż ktoś mu ją odbierze, jeśli już teraz z nią nie porozmawia? Cassie była poruszona do głębi widokiem uczuciowego mężczyzny, którego istnienia mogła się dotychczas tylko domyślać pod gładką maską światowca.

- Czy mam rozumieć, że składasz mi propozycję małżeństwa? - zapytała, siląc się na spokój.

- Tak, naturalnie. Czyżbym nie wyraził się jasno? Cóż ze mnie za głupiec. - Uśmiechnął się jakoś dziwnie, ujął jej dłoń i ukląkł na jedno kolano. - Bardzo wysoko cię cenię, Cassie, i jeśli zgodzisz się spełnić moją prośbę, będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

- Tak, wyjdę za ciebie. - Słowa spłynęły same z ust Cassie, zanim jeszcze zdążyła się porządnie zastanowić. - Nie spodziewałam się znaleźć wielkiego uczucia. Nie jestem piękna. Nie, nie zaprzeczaj. Jeśli naprawdę poczułeś do mnie sympatię, milordzie, to nie dzięki mojej urodzie. Nie zamierzam jednak kwestionować twoich uczuć, ponieważ ja sama... bardzo cię polubiłam. Sądzę, że jako twoja żona mogę wygodnie ułożyć sobie życie, a przecież właśnie to miałam na względzie, gdy postanowiłam uczestniczyć w sezonie.

Vincent pocałował ją w rękę i wstał.

- Myślę, że będziemy do siebie pasować - orzekł. - Jestem ci wielce zobowiązany, Cassie, że spojrziałaś na mnie łaskawym okiem, i mam nadzieję, że zawsze będziesz zadowolona ze swego wyboru. - Wyjął z kieszonki kamizelki pierścioneł w kształcie stokrotki z pięknymi brylantami w miejsce płatków. - To tylko dla przypiecztowania naszego porozumienia. Natychmiast pošlę po klejnoty rodzinne

Carltonów i wybierzesz sobie to, co ci się naprawdę będzie podobało.

- Ten mi w zupełności wystarczy. - Cassie wsunęła pierścionek na palec. Pasował jak ulał, a jego prostota odpowiadała jej gustom. - Jest jak dla mnie stworzony.

Rzeczywiście został zamówiony z myślą o niej już kilka miesięcy temu, ale Vincent o tym nie wspomniał. Miał nadzieję, że pewnego dnia będzie mógł wyznać żonie prawdę, gdyby jednak zrobił to teraz, wzmocniłby tylko jej wątpliwości, czego wolał uniknąć. Pocałował ją delikatnie w policzek.

- Ślicznie wyglądasz w tej sukni - zauważył. - W tym odcieniu żółtego jest ci bardzo do twarzy. Chcesz w niej wystąpić dziś wieczorem?

- Tak - odparła i roześmiała się zadowolona. Oświadczenia Vincenta zaskoczyły ją, ale w pełni zaakceptowała fakt, że zostanie jego żoną. Nie wiedziała dlaczego, ale wydawało się to jak najbardziej właściwe, jakby wszystko trafiło na swoje miejsce. - Cieszę się, że aprobujesz ten wybór, milordzie... to znaczy... Vincencie.

- Wszystko w tobie aprobuję - zapewnił. - A właśnie, przyszło mi teraz do głowy, że miałem powiedzieć ci coś o Tarze...

- Ojej, czy monsieur Marcel był bardzo zły?

- Tylko kiedy dopuściła, by kilka placków z owocami się przypaliło, bo nie zostały na czas wyjęte z pieca - odparł Vincent. - Wiem z wiarygodnego źródła, że oświadczył, iż nie będzie jego winą, jeśli ona pójdzie wprost do piekła... - Urwał, bo uświadomił sobie, że rozmawia z damą.

Cassie roześmiała się dźwięcznie. Vincent ze zdumieniem patrzył, jak ta sympatyczna, lecz niezbyt urodziwa młoda kobieta nagle rozkwita niczym egzotyczny kwiat. Zdumienie szybko ustąpiło miejsca podziwowi. Cassie wydała mu się tak

olśniewająca, że poczuł narastające pożądanie, zapragnął porwać ją w ramiona i całować do utraty tchu.

- Kiedy się pobierzemy? - zapytał głosem ochryplym od tłumionej namiętności. - Wybacz za to ponaglanie, ale nie mogę się doczekać, by mieć cię wyłącznie dla siebie.

Cassie zarumieniła się po korzonki włosów.

- Dziś wieczór możemy ogłosić nasze zaręczyny, a ślub, kiedy tylko zdołasz wszystko przygotować - odrzekła.

- Dziękuję. - Vincent pocałował ją w policzek. - Przekażę mamie tę radosną wiadomość i uczymy ją szampanem wypitym w rodzinnym gronie. Tak, koniecznie musimy sobie urządzić święto. Zdecydowanie mamy co świętować.

Uśmiechnęła się i zostawiła go samego. Wchodziła po schodach z lekka oszołomiona. To się zdarzyło tak szybko. Jeszcze dwa tygodnie temu lord Carlton był zaledwie zamglonym wspomnieniem z dzieciństwa. A teraz mieli się pobrać! Cassie ogarnęła szalona radość.

Nie miała nawet cienia wątpliwości, że oświadczyzny Vincenta płynęły z głębi serca. Był tak poruszony, wyznając, że nie mógł już dłużej czekać z propozycją małżeństwa, iż nie miała powodu wątpić w jego uczucie, choć trudno jej było w nie uwierzyć. Mógł sobie znaleźć o wiele ładniejszą kandydatkę na żonę. W dodatku jej majątek nie był mu do niczego potrzebny.

Natomiast jeśli chodzi o nią, to polubiła go już podczas pierwszego spotkania. Nie, podczas drugiego. Podczas pierwszego uznała go za bohatera. Przez kilka dni uważała nawet, że jest do szaleństwa w nim zakochana, choć było to, oczywiście, chwilowe dziewczęce zadurzenie.

Obecnie jej uczucia do Carltona były dość skomplikowane. Miała świadomość, że brakuje jej doświadczenia w kontak-

tach z dżentelmenami, nie wiedziała więc, jak rozumieć to, co się wokół niej działo. Cassie nigdy nie przeżyła miłości, nawet krótkotrwałego flirtu. Jako dziewczynka, była zapatrzona w brata.

Nie oczekiwała od małżeństwa miłości, raczej przyjaźni i wygody. Dopiero teraz zaczynała domyślać się, jaki może być związek oparty na uczuciu. Pamiętała wyraz oczu Carltona, gdy pytał, jak szybko mogą się pobrać, i własne nieprzyzwoite myśli. Nic nie mogła jednak poradzić na to, że wyobrażała sobie, jak to jest znaleźć się w ramionach narzeczonego i całkiem się zapomnieć. Pod wpływem tych myśli drżała na całym ciele.

Czy to możliwe, że się w nim zakochała? Rzeczywiście, zawsze czuła się szczęśliwsza, kiedy Carlton znajdował się w pobliżu, a jego pocałunek wzbudził w niej podniecenie. Ale czy to jest miłość?

Przecież nie planowała, że będzie kochać męża. Uznała, że po stracie bliskich, a szczególnie Jacka, nie potrafi nikogo pokochać. Obawiała się kolejnej straty, a to zbyt bolesne. Teraz nie była już jednak taka pewna, czy będzie w stanie i czy będzie chciała dotrzymać postanowienia.

Jeżeli jest kochana z wzajemnością, to czyż kobietę może spotkać większe szczęście? A przecież Vincent z pewnością ją kocha. Nagle poczuła się tak, jakby u ramion wyrosły jej skrzydła. Pobiegła na górę po schodach, żeby się zwierzyć Sarah. Przyjaciółka będzie zdumiona!

Sarah objęła Cassie i zapewniła, że, jej zdaniem, to cudowne, choć bynajmniej niezaskakujące wydarzenie.

- Byłam całkiem pewna, że lord Carlton poprosi cię o rękę - powiedziała, wypuszczając przyjaciółkę z uścisków. - Widzia-

łam, jak na ciebie patrzył. Masz szczęście, Cassie. Lubię lorda Carltona i jestem pewna, że będzie ci z nim dobrze. Jest bardzo przyzwoity, wspaniałomyślny i ma doskonale maniery.

- Tak, to prawda - przyznała Cassie, lecz pomyślała, że Vincent sprawia wrażenie, jakby ukrywał jakąś tajemnicę. To ją intrygowało. Chciała lepiej poznać mężczyznę, którego obiecała poślubić. - Tak, chyba tak. Wydaje się, że jest taki, jak powinien. Czy jednak mężczyzna może być w rzeczywistości tak doskonały, jakim się wydaje?

- Dziwne rzeczy mówisz. - Sarah patrzyła na nią ze zdziwieniem. - Chyba chcesz za niego wyjść, prawda?

- Tak - odparła Cassie. - Po prostu głośno myślałam. - Musiała przyznać przed sobą, że nie jest pewna własnych uczuć. Małżeństwo z rozsądku to jedno, a namiętny związek z miłości to całkiem co innego. Jednak nie potrafiła podzielić się wątpliwościami z przyjaciółką. - Teraz, kiedy ja się zaręczyłam, musimy znaleźć dla ciebie odpowiedniego męża.

- Obawiam się, że to nie będzie takie łatwe.

- Jesteś taka śliczna. - Cassie objęła przyjaciółkę. - Na pewno ktoś się w tobie zakocha.

- Może. - Sarah zarumieniła się, unikając wzroku Cassie. - Przypuszczam, że w tej sytuacji zrezygnujesz z wyjazdu do Brighton?

- Myślę, że zostaniemy w Londynie przez kilka tygodni. Nie wiem, gdzie odbędzie się ślub. Proszę, obiecaj, że zostaniesz ze mną do tego czasu. Chcę, żebyś była pierwszą druhną. Do tego czasu na pewno znajdziemy kogoś, kto ci się spodoba.

Sarah uśmiechnęła się w milczeniu. Zdawała sobie sprawę, że jej sytuacja życiowa różni się zasadniczo od położenia przyjaciółki. Podśluchiwała krótką rozmowę pani Dorkins z lokajem, i to, co usłyszała, zaniepokoiło Sarah. Była jednak rozsądną

dziewczyną, a poza tym darzyła lorda Carltona szacunkiem i sympatią. Zresztą plotki służby często nie miały nic wspólnego z rzeczywistością, lepiej więc zapomnieć o uwagach, które mogły wyrządzić wiele złego. Nie zamierzała budzić w Cassie wątpliwości, bo ogromnie ją lubiła i chciała dla niej wszystkiego, co najlepsze. Musiała się przestyszeć! Przecież pani Dor-kins nie mogła powiedzieć, że dała Cassie pokoje, łączące się z apartamentami jego lordowskiej mości, bo wiedziała, że od lat byli potajemnie zaręczeni.

Cassie, zaabsorbowana swoimi sprawami, nie zauważyła niepokoju przyjaciółki. Życie stało się nagle bardzo ekscytujące. Lady Longbourne przyjęła wiadomość o zaręczynach z niekłamanym entuzjazmem.

- Jak tylko cię zobaczyłam, od razu wiedziałam, jak to się skończy! - wykrzyknęła. - Byłaś okropnie ubrana, ale zauważyłam, że masz w sobie coś niezwykłego, kochanie. Carlton potrzebuje właśnie takiej żony jak ty: nie jakiejś rozpieszczonej, zepsutej ślicznotki, a damy, która z wdziękiem i godnością poprowadzi mu dom. Septimus przestanie wreszcie marudzić, a jego paskudny bachor nie odziedziczy tytułu i posiadłości Carltonów. Felicity będzie szalała z wściekłości i rozczarowania, ale ja jestem ogromnie szczęśliwa. Cieszę się, że będziesz moją córką, kochanie.

Po dwóch tygodniach pobytu pod dachem lady Longbourne Cassie nie mogła nie zauważyć jej niechęci do szwagra i jego rodziny. I choć nie spotkała jeszcze ani „nikczemnego” Septimusa, ani jego „obrzydliwego” syna, jak ich określała matka lorda Carltona, to wszystko, co o nich słyszała, w pełni uzasadniało tę opinię.

Lady Longbourne weszła do apartamentu Cassie wtedy,

gdy przebierała się ona na wieczór. Ofiarowała jej kilka wysadzanych brylantami i perłami bransoletek.

- Oczywiście należą ci się rodzinne klejnoty Carltonów i niewątpliwie Vincent ofiaruje ci je po ślubie.

Tymczasem lord Carlton przysłał prezent już w kilka minut później. Był to naszyjnik z dużych, kremowych pereł z brylantowym wisiorkiem w kształcie stokrotki. Bardzo stosowny dla młodej damy, a zarazem elegancki i najwyższej jakości.

Cassie otworzyła pudełko i aż krzyknęła z radości, choć zastanowiło ją, jakim cudem zdołał w tak krótkim czasie znaleźć naszyjnik pasujący do pierścionka. I skąd wiedział, że lubiła stokrotki? W dzieciństwie godzinami wiała z nich wianki zarówno dla siebie, jak i dla Jacka.

- Kiedyś kupię ci naszyjnik z brylantów, podobny do tych wianuszków ze stokrotek - obiecał jej brat pewnego razu. - Jak odziedziczę majątek, będziesz miała wszystko, czego za pragniesz.

- Jak dorośniesz, to się ożenisz - droczyła się z nim Cassie.
- A wtedy o mnie zapomnisz.

- Może się ożenię. Pewnie tak. Kiedyś - odrzekł z uśmiechem Jack. - Jesteś moją małą siostrzyczką, Cassie, i nigdy cię nie opuszczę. Zawsze będę się tobą opiekował. Nawet kiedy wyjdiesz za mąż, będę pilnował, żeby mąż traktował cię jak należy.

- A co zrobisz, jak mnie będzie bił?

- Zamorduję go!

Byli dziećmi, bawili się w króla i królową, ale Cassie nigdy nie zapomniała słów brata, ani dreszczu, który przebiegł jej wtedy po plecach. Teraz nagle te słowa wróciły do niej niespodziewanie w chwili radosnego podniecenia...

Jack był tak blisko niej, wydawało się, że tuż obok, na wyciągnięcie ręki. Coś ją przyciągnęło do okna. Wyjrzała na

pograżający się w mroku ogród, jako że słońce chyliło się już ku zachodowi. Cudowny letni wieczór, przypominający te, które spędziła na zabawach z Jackiem.

- Tak bym chciała, żebyś przy mnie był i wprowadził mnie do towarzystwa - szepnęła i rzuciła jeszcze ostatnie spojrzenie na swe odbicie w lustrze. - Czuję, że byłbyś ze mnie zadowolony, braciszku, a także z naszego małżeństwa. Vincent to twój najlepszy przyjaciel. Często o nim pisałeś.

Listy Jacka były pełne pochwał pod adresem lorda Carltona. Wszystkie oczy w regimencie były zwrócone na Vincenta, stał zawsze przy swoich żołnierzach, wspierał ich, pomagał w doskonaleniu się w wojennym rzemiośle. Cassie przypomniała sobie ostatni list brata, wysłany na kilka dni przed rozpoczęciem wojny z Francją. Wyjęła go i przeczytała jeszcze raz. Jack pisał:

„Czasami lękam się o swoje życie, Cassie. W dodatku nachodzą mnie obawy, czy zachowam się honorowo. Mogę powiedzieć o tym tylko tobie, moja najdroższa, bo wiem, że ty jedna zrozumiesz. Nie chcę umierać. Chcę wrócić do domu, do ciebie i wszystkiego, co mi drogie. Gdybym jednak opuścił przyjaciół teraz albo w ogniu walki, nigdy bym sobie tego nie wybaczył. Gdyby nie Vinnie, pewnie nie zniósłbym oczekiwania. Lęk przed tym, co ma nastąpić, jest chyba gorszy od samej walki. Bóg mi świadkiem, że nie zaliczam się do tchórzy, Cassie, ale życie jest takie piękne... Dopóki jednak będę miał Vinniego u boku, zdołam chyba spojrzeć w twarz nawet śmierci. Z jego pomocą mam nadzieję wypełnić swój obowiązek i nie splamić honoru rodziny”.

Biedny, kochany Jack! Serce Cassie ścisnęło się z bólu na myśl, jak straszliwie musiał cierpieć, skoro napisał do niej taki list. Nie był tchórzem, to bezdyskusyjne, ale myśl o gwałtownej śmierci i o rozlanej krwi przyjaciół napełniała go zgrozą, jak pewnie każdego wrażliwego człowieka.

Zamrugła oczami, żeby powstrzymać łzy, i schowała list do sekretnej szufladki szkatułki. Nikomu nie pokazała tego listu. I nie pokaże. Jack zginął w dwa dni po wysłaniu listu. Został pochowany gdzieś we Francji. Nie zdołała się dowiedzieć gdzie dokładnie. Pewnego dnia zapyta o to Carltona. Może ją tam zawiezie.

Cassie postanowiła wziąć się w garść. Przecież to jej szczęśliwy wieczór! Za chwilę zadebiutuje w londyńskich salonach, spotka najświetniejszych przedstawicieli socjety, a już jest zaręczona z mężczyzną powszechnie uważanym za najlepszą partię w mieście. Wbrew przeciwnościom losu odniosła sukces. Już nikt nie spojrzy na nią z góry, nie odniesie się do niej z lekceważeniem!

Dziewczyna taka jak Cassie nie mogła nie cieszyć się tym wieczorem. Ludzie odnosili się do niej z zadziwiającą uprzejmością. Zastanawiała się, czy nie zabraknie jej partnerów do tańca, bo jako osoba zaręczona powinna przebywać głównie w towarzystwie narzeczonego. Jednak po odtańczeniu jednego tańca z Carltonem, a drugiego z jego bratem Harrym, uroczym i przystojnym, okazało się, że jest wręcz oblegana przez mężczyzn.

Wielu panów było przyjaciółmi jej narzeczonego. Kilku znało Jacka i wypowiadało się o nim jako o znakomitym żołnierzu. Wszyscy byli życzliwi, pełni względów i dokładali wszelkich starań, by czuła się jak najlepiej w towarzystwie.

Wielokrotnie przyjmowała gratulacje z okazji zaręczyn, wszyscy zdawali się wiedzieć, że miała wyjść za lorda Carltona.

- Byli z Jackiem najlepszymi przyjaciółmi - oświadczył niejaki Freddie Bracknell. - Mogliśmy się spodziewać, że Vinnie sprzątnie nam panią sprzed nosa. Zawsze miał piekielne szczęście!

Cassie nie do końca zrozumiała jego słowa, ale uznała je za komplement.

- Znamy się od lat - powiedziała. Nie wspomniała o incydencie z kotem, ale wyraz jej oczu i uśmiech, gdy wróciła pamięcią do tamtych chwil, przekonały Freddiego, że historia o wieloletnich zaręczynach, w którą miał powody wątpić, musiała jednak być prawdziwa.

Dziwne tylko, że Jack zmusił wszystkich pięciu do złożenia obietnicy, iż w razie jego śmierci jeden z nich ożeni się z Cassandrą. Freddie Bracknell smętnie pomyślał o długiej słomce, którą wyciągnął. Gdyby miał dość przytomności umysłu, żeby złapać najkrótszą, znalazłby się na miejscu Carltona. Co za pech! Przydałaby mu się fortuna, którą panna Thornton odziedziczyła po ciotce. Oczywiście wtedy nie podejrzewał nawet istnienia bogatej ciotki, podobnie zresztą jak pozostali. Choć trzeba przyznać, że Carlton był zawsze bardzo dobrze poinformowany. Jako najlepszy przyjaciel Jacka, mógł coś wiedzieć o spadku.

Freddiego dręczyła ta myśl. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że został wystrychnięty na dudka. Gdy taniec dobiegł końca, poszedł napić się z Harrym, żeby wspólnie ubolewać nad szczęściem, które przeszło im koło nosa.

- Po co była ta farsa ze słomkami? - spytał. - Po cholere, skoro Vinnie przez cały czas chciał się z nią żenić?

-To... właściwie nie było do końca ustalone, choć... rozumiało się samo przez się - wykręcał się niezbyt zgrabnie Harry. - Oboje mogli przez ten czas zmienić zdanie. I rzeczywiście, aż do dzisiejszego popołudnia Vinnie nie był niczego pewien.

- Chcesz powiedzieć, że dopiero dziś się jej oświadczył? - Freddie Bracknell zmarszczył brwi. Od śmierci Jacka minęło kilka miesięcy. Dlaczego Carlton tak się ociągał? - Myślałem, że zrobił to już dawno. Tajemnicza sprawa, prawda?

- Wcale nie! - zaprzeczył Harry, po raz kolejny uświadamiając sobie, jakiego narobił zamieszania. - Chciał tylko mieć pewność, że będą do siebie pasowali.

- Mógł dać szansę pozostałym z nas - wymamrotał Bracknell. - Jakie to typowe dla tego szczęściarza Vinnie-go; wyciąga krótką słomkę, a zaraz potem okazuje się, że dziewczyna jest posażną dziedziczką. Piekielne szczęście, nie ma co mówić!

Harry zeszywniał.

- Jeśli sugerujesz, że miała miejsce jakaś machlojka...

Bracknell cofnął się na widok groźnej miny Harryego. Nie mógł on pochwalić się takimi umiejętnościami bokserskimi jak jego przyrodni brat, ale też potrafił niezle przyłożyć.

- Nie, nie, tak tylko pomyślałem - wyjąkał. - Tak czy owak, panna Thornton pewnie od lat spodziewała się oświadczyn. Domyślam się, że byli przyjaciółmi, kiedy jeszcze uczęszczała na pensję.

Nawet jeśli tak było, to Harry nie miał o tym pojęcia, ale kiwnął lekko głową, pozwalając kompanowi snuć domysły. Vincent najwyraźniej postanowił potwierdzić szerzące się pogłoski, a Harry obiecał sobie, że już więcej nie pomiesza bratu szyków!

Wszyscy zainteresowani doszli do takich samych wniosków jak Freddie Bracknell. I, jak to zwykle się dzieje, plotka zrodziła plotkę.

- Słyszałam, że to małżeństwo zostało zaaranżowane, gdy oboje byli dziećmi - poinformowała jedna szacowna matrona drugą, obserwując tańczącą młodzież. - Byli wtedy o wiele za młodzi, by myśleć o ślubie, a potem okoliczności ich rozdzieliły. Jednak Carlton postanowił wypełnić zobowiązanie podjęte w dzieciństwie i pojąć ją za żonę.

- To kwestia honoru, Rosalind - odparła przyjaciółka. - Ni mniej, ni więcej. Nie powiesz chyba, że dziewczyna jest piękną.

- Nie, nie jest piękna, ale coś w sobie ma.

- Majątek. Podobno dziesięć tysięcy rocznie.

- Aż tyle?! Słyszałam, że mniej. Nic dziwnego, że Carlton tak szybko się zdecydował.

Nieświadoma plotek i spekulacji, Cassie nie schodziła z parkietu, tańcząc w stanie uniesienia muzyką i blaskiem klejnotów, w których odbijało się światło mnóstwa świateł. To była magiczna noc, w której nie było miejsca na smutek. Marzyła, by ta noc nie miała końca.

Sarah również tańczyła bez przerwy. Po raz trzeci tego wieczoru z Harrym Longbourne'em. Cassie zwróciła na to uwagę i uznała za trochę nierozważne, ale zapomniała o wszystkim, bo właśnie podszedł Carlton i poprosił ją o jeszcze jeden tańiec przed kolacją.

Ciepłymi, pełnymi zachwytu oczami spojrzał na jej rozpromienioną twarz.

- Dobrze się bawisz, Cassie?

- Wspaniale! - Popatrzyła na niego roziskrzonym wzrokiem. - Mogłabym tak tańczyć bez końca.

- Poczulałabyś się wreszcie zmęczona, ośmielam się zauważyć.

- Może. Jednak nie dzisiejszej nocy. Zatańczyłam z tyłoma twoimi przyjaciółmi. - Wymieniła kilka nazwisk, ale urwała na widok wyrazu twarzy Vincenta. - Czy coś się stało?

- Absolutnie nic. Czy możemy udać się na kolację?

Cassie oparła dłoń na jego ramieniu. Uznała, że wygląda wspaniale w niebieskim, idealnie skrojonym surducie, podkreślającym jego smukłą, ale silną sylwetkę. Cassie wyczuła subtelny zmianę w zachowaniu narzeczonego, gdy wymieniła kapitana Bracknella. Musieli być razem we Francji, w tym samym regimencie, co Jack, skąd więc ta czujność we wzroku Vincenta? Może powinna coś wiedzieć?

- Nie lubisz kapitana Bracknella? - zapytała, przerywając milczenie.

- Ależ skąd! - zaprotestował Vincent, ale spojrzał na Cassie niepewnie. Obawiał się, że narzeczonego zaczynała go rozszyfrowywać. - Freddie to przyzwoity gość. Był jednym z nas, ale nie bliskim przyjacielem.

- Nie tak jak Jack?

- Nie, absolutnie nie.

Cassie była ciekawa, co oznacza to nieobecne, dalekie spojrzenie Vincenta, ale uznała, że to nie czas i miejsce, by o to pytać. Zrobię to w najbliższym czasie, lecz nie teraz, postanowiła. Po ślubie porozmawiają o naprawdę ważnych sprawach.

Cassie wyczuła, że ktoś im się przygląda. Lekko odwróciła głowę i zobaczyła kobietę o uderzającej, mrocznej urodzie i niezwykle wyrazistych ciemnych oczach.

- Kto to? - zapytała Cassie, zaciskając lekko palce na ramieniu Vincenta. - Tamta piękna, trochę pulchna dama. Dość natarczywie nam się przygląda. Znasz ją?

La Valentina nie byłaby zachwycona określeniem „pulchna” i tylko głupiec albo człowiek wyjątkowo odważny mógłby go użyć w zasięgu jej słuchu. Zwykle określano jej figurę słowem „posągowa”.

Vincent zawahał się na moment, ale skłonił głowę przed piękną kobietą.

- Jest znana jako La Valentina. To śpiewaczka operowa. Jej głos przewyższa wszystko, co dotychczas słyszałaś.

- Ach tak. - Cassie ogarnęło przeświadczenie, że Vincent pragnął coś przed nią ukryć. Czekala, by je sobie przedstawił, ale on tylko ponownie skłonił głowę przed artystką, kiedy mijali ją w drodze do zatłoczonego pokoju, w którym podano kolację. - Chciałabym ją poznać.

- Kiedy indziej. Ma śpiewać po kolacji, a przed występem zawsze oszczędza głos.

- Tak, rozumiem - powiedziała, choć czuła, że celowo unikała spotkania. - Musi dbać o głos.

- Zapomnijmy o niej - rzekł stanowczo Vincent, a jego ostry ton zaalarmował Cassie. - O pewnych sprawach lepiej nie mówić. Ona się nie liczy.

Cassie zamilkła. Nie była głupia. Doskonale wiedziała, że panowie, szczególnie nieżonaci, miewają metresy. Mało prawdopodobne, by mężczyzna w wieku Vincenta i o jego pozycji żył jak mnich. Wyczuła, że łączył go z La Valentyną intymny związek i to w niezbyt odległym czasie. Powiedziała sobie w duchu, że to nieważne, że to należy już do przeszłości. A jednak zrobiło jej się przykro. Co z niej za idiotka!

Nie wolno okazać Vincentowi czy komukolwiek innemu, że zdenerwowało ją to przypadkowe spotkanie. Rozejrzała się po sali i pomachała ręką do Sarah, która jadła kolację w towarzystwie Harry'ego i lady Longbourne.

- Możemy dosiąść się do twojej matki i Sarah? - zapytała z promiennym uśmiechem.

- Tak, oczywiście. Jeśli masz ochotę.

Vincent zdążył się przekonać, że Cassie to bardzo spostrzegawcza młoda kobieta. Natychmiast odebrała fluidy płynące od La Valentyny, a on odezwał się znacznie ostrzejszym tonem, niż zamierzał. Od razu wyczuł, że wycofała się, zraniona zarówno jego tonem, jak i tym, co się za nim kryło. Było mu przykro, że zdenerwowało ją to spotkanie, choć było przelotne i na dłuższą metę nie do uniknięcia. Pewnego dnia musiała dowiedzieć się o La Valentinie; plotkarze na pewno by o to zadbali. Cassie była obdarzona bystrym umysłem. Na pewno zrozumie, że jego związek z La Valentiną był tylko rozrywką i został zakończony, zanim zaproponował jej małżeństwo.

Do Vincenta dotarły krążące wśród towarzystwa plotki. Ludzie szeptali, że jego małżeństwo było kwestią honoru, że po latach ociągania się wypełnił wreszcie dawne zobowiązanie. To sprawka Harryego, oczywiście. Cholerny idiota! Gdyby jednak wyszła na jaw prawda, sprawiłaby Cassie znacznie więcej bólu. Jeszcze zanim odziedziczyła majątek, który zapewnił jej niezależność finansową, uniosła się gniewem z powodu nietaktownego przeświadczenia kuzyna, że z radością przyjmie jego oświadczenia jako wybawienie z trudnego życiowego położenia. Vincent wolał nawet nie myśleć, jak zareagowałaby na wiadomość, że jej brat wymusił na przyjaciółkach obietnicę, iż w razie jego śmierci jeden z nich ją poślubi. I że, co gorsza, ciągnęli słomki, by los wskazał, który pierwszy ma się jej oświadczyć.

Byłaby zraniona i wściekła. Zrozumiał to niemal natychmiast po spotkaniu z Cassie i dlatego właśnie początkowo nie spieszył się z małżeńską ofertą. Pozwolił wydarzeniem

rozwijać się powoli, zamierzał obserwować ją podczas sezonu i poprosić ją o rękę dopiero wtedy, gdyby nie znalazła odpowiedniego kandydata na męża. Gafa Harry'ego zmusiła go do natychmiastowych oświadczeń. Nie zdołał wymyślić innego sposobu, aby ochronić Cassie przed znacznie bardziej groźnymi plotkami, gdyby nie została wprowadzona w świat jako jego narzeczona.

Za nic w świecie nie chciał jej skrzywdzić! Vincent przyglądał się, jak roześmiana rozmawiała z przyjaciółką i jego rodziną. Odprężyła się już. Pogodziła się z myślą, że dawniej miał metrese. Wiedział, że się z tym pogodzi. Spojrzała mu prosto w oczy, trochę onieśmielona, ale gotowa uwierzyć w niego, uwierzyć, że naprawdę mu na niej zależy, że nigdy celowo jej nie zhańbi ani nie skrzywdzi.

Zrobiło mu się ciężko na sercu. To, co rozpoczął wyłącznie z poczucia obowiązku, dla uciszenia wyrzutów sumienia i by pozbyć się koszmarów, które niekiedy odbierały mu sen, stało się czymś więcej niż spełnieniem obietnicy złożonej serdecznemu przyjacielowi.

Cassie okazała się znacznie wspanialsza, niż przypuszczał. Dawniej była dla niego małą siostrzyczką jego najlepszego przyjaciela - odważną dziewczynką, którą kiedyś uratował przed upadkiem z drzewa. A teraz stała się kobietą, którą szczerze podziwiał, i istniała obawa, że zakocha się w niej po uszy. Jeszcze walczył rozpaczliwie o utrzymanie emocji pod kontrolą, ale czuł, że słabnie i lada chwila namiętność zwycięży.

Wiedział, że bardzo go polubiła. Ufała mu, widziała w nim dżentelmena i przyjaciela Jacka. Otwarte, ciepłe, pełne zrozumienia spojrzenia, jakie mu czasem rzucała, dawały mu przedsmak życia, jakiego nigdy nie doświadczył. Nie mógł już się doczekać, by sprawdzić, jak to jest.

A co będzie, jeśli Cassie dowie się kiedyś prawdy? Nie o tym durnym losowaniu, który z nich ma dotrzymać danej Jackowi obietnicy, ale tej straszliwej prawdy, która kładła się cieniem na jego życiu i prawie przez rok kazała mu się trzymać z dala *od siostry* Jacka. Tej przekłetej, *wstrząsającej prawdy*, która dręczyła go po nocach, nie pozwalając zasnąć, i przygniatała brzemieniem winy, od której chyba nigdy nie zdoła się uwolnić!

Jak poczuje się kobieta, którą nauczył się szanować, gdy dowie się, że ponosił odpowiedzialność za śmierć jej ukochanego brata? Przestanie uśmiechać się do niego z taką ufnością? Odwróci się od niego z goryczą? Jak zdołałby to znieść?

Rozdział szósty

Ostatnie dziesięć dni było jedną wielką przyjemnością. Rano jeździły konno lub spacerowały po parku, odwiedzały bibliotekę albo robiły zakupy; popołudniami składały wizyty albo zwiedzały ciekawe miejsca. Wszystkie te zajęcia sprzyjały nawiązywaniu nowych znajomości i przyjaźni i sprawiały przyjemność zarówno Cassie, jak i Sarah.

Dość często popołudniami towarzyszył im Vincent, czasami zabierał samą Cassie na przejażdżkę powozem. Powiedziała kiedyś, że chciałaby nauczyć się powozić i obiecał jej, że będzie o tym pamiętał. Cassie znów miała poczucie, że ich przyjaźń się zacieśnia.

Wspomnienie lekceważącego spojrzenia La Valentyny, wyrażającego dobitnie, co operowa diwa sądzi o brzydkiej dziewczynie, którą Carlton postanowił poślubić, nie chciało opuścić Cassie, snuło się za nią jak przykry zapach. Pomimo wysiłków Cassie nie potrafiła pozbyć się wątpliwości, uwierały ją jak kamyk w bucie. La Valentina była oszałamiająco piękna i Cassie nie potrafiła zrozumieć, że Vincent mógłby woleć ją, Cassie, od takiej kobiety. Gdyby lord Carlton miał poważne kłopoty finansowe i przyznał jej

się do tego uczciwie, zrozumiałyby i chyba jednak przyjęłyby jego oświadczenia, ale on należał do najbogatszych ludzi w Londynie. Dlaczego więc chciał ją poślubić? Przecież na dobrą sprawę niczym się nie wyróżniała.

Cassie najbardziej ze wszystkiego nienawidziła fałszu. Ona sama zawsze postępowała uczciwie i nie tolerowała kłamstw u innych.

Narzeczony dał jej jasno do zrozumienia, że piękna śpiewaczka nic dla niego nie znaczy, Cassie starała się więc ze wszystkich sił nie być zazdrosna o ich dawny romans.

- Nie wolno ci za wiele oczekiwać - powiedziała sobie bardzo poważnie pewnego wieczoru, obejmując krytycznym wzrokiem własne odbicie w lustrze. - Dlaczego miałby kochać się w tobie bez pamięci, Cassie Thornton? Wystarczy, że cię lubi. Nie musi cię kochać.

Zresztą wszyscy uważali jej małżeństwo z Carltonem za przesądzone. Ostatnio zorientowała się, że wiele osób podejrzewało, iż łączyło ich wieloletnie narzeczeństwo. Zaciekawiała się, skąd się wzięły te plotki. Pewnie to rezultat powszechnie znanej przyjaźni pomiędzy Jackiem a Vincentem, uznała, i fakt, że latami mieszkali po sąsiedzku.

- To zabawne - powiedziała do Sarah, kiedy spacerowały rano po parku. - Ludzie muszą ciągle plotkować i wymyślać jakieś bujdy!

-I nie obchodzi cię, że wygadują takie rzeczy? - zapytała Sarah po chwili milczenia.

- Wielkie nieba, nie! - Cassie roześmiała się tak głośno, że kilkoro spacerowiczów odwróciło głowy. - Dlaczego miałabym się nimi przejmować? Ja znam prawdę. Spotkaliśmy się niedawno, jeśli nie liczyć uratowania przez Carltona mojego

kotka. A wtedy zamieniliśmy zaledwie kilka słów, bo szybko odjechał, żeby zmienić spodnie.

- Bardzo mądrze, że nie przejmujesz się plotkami - oświadczyła Sarah. - To oczywiste, że lord Carlton cię kocha. Inaczej nie oświadczyłaby ci się tak szybko.

- Tak. Sądzę... - Cassie urwała, głośno wciągnęła powietrze i złapała przyjaciółkę za ramię. - O nie! Jak uniknąć spotkania z nim? Zauważył nas i jedzie w tę stronę. Co za pech...

- Kto? - Sarah patrzyła na Cassie, zaniepokojona jej zachowaniem. - Masz na myśli tego mężczyznę w źle skrojonym brązowym surducie i szarych bryczesach?

- Któż inny mógłby paradować po londyńskim parku w takim stroju? - zadała retoryczne pytanie Cassie. - To Kendal Thornton, kuzyn taty.

Była wyprowadzona z równowagi i gotowa natychmiast się przed nim schronić.

- Nie możesz uciekać, nawet jeśli brakuje mu poloru - powiedziała Sarah, odgadując zamiary przyjaciółki. - W końcu to twój jedyny krewny. Musisz przynajmniej się z nim przywitać, kochanie.

- Brakuje mu nie tylko wyczucia stylu - odrzekła zirytowana Cassie. Miała ochotę powiedzieć znacznie więcej, ale sir Kendal był już blisko.

- Dzień dobry, panno Thornton. - Ściągnął gęste brwi i Cassie doszła do wniosku, że jeszcze nigdy tak bardzo nie przypominał buldoga. - Czy to naprawdę pani? Muszę przyznać, że zaskoczył mnie pani widok tutaj.

Przesunął po niej wzrokiem, zauważył modną suknię i dobrane do niej dodatki. Wyglądała na elegancką damę,

- Doprawdy? - odparła Cassie. - Nie rozumiem, dlaczego jakiegokolwiek moje czyny mogłyby pana dziwić czy choćby

interesować. O ile pamiętam, to rozstaliśmy się ostatnio, nie mając już sobie nic więcej do powiedzenia.

- No, no, Cassandro - powiedział, uśmiechając się z poczuciem wyższości, co niezmiernie Cassie drażniło. - Nie ma powodu tak się gorączkować. Zrozumiałem, że głupio postąpiłem, występując z propozycją małżeństwa tak wcześnie. Chodziło mi tylko o to, żeby uwolnić panią od troski o przyszłe źródło utrzymania, nie wziąłem jednak pod uwagę pani całkowicie zrozumiałej żałoby. Zdenerwowałem panią, i to wyłącznie moja wina. Nie powinienem obracać pani nieprze-myślanych, wypowiedzianych pod wpływem emocji słów przeciwko pani. Jestem gotów ponowić moją propozycję tu i teraz, jeśli tylko sobie pani tego życzy.

- Postąpiłby pan nierozsądnie, sir - odparła Cassie z błyskiem w oku. - Proszę wybaczyć brutalną szczerłość, ale pragnę, aby to było jasne: nie chcę za pana wyjść, nie chcę nawet pana więcej widzieć. Ewentualnie tylko jako dalekiego krewnego, z którym wymieniamy ukłony.

- Jest pani wyjątkowo uparta, Cassandro. Nie wiem, skąd wzięła pani pieniądze na podróż do Londynu, ale...

- To nie pańska sprawa! - zawołała bardzo już rozgniewana Cassie. - Nie ruszyłam niczego, co według prawa należy do pana. Goszczę u najlepszej przyjaciółki mamy. Lady Longbourne zaprosiła mnie do siebie listownie...

Zmierzył ją wzrokiem, najwyraźniej zirytowany tą nowiną.

- Nie powinna pani jednak przedkładać zwykłej znajomości nad pokrewieństwo. Należało zapytać mnie o zgodę na tę wizytę. Jako pani jedyny żyjący krewny, Cassandro, mam coś do powiedzenia w sprawie prowadzenia się pani.

- Nie, nie ma pan! - wykrzyknęła Cassie, tracąc cierpliwość, po czym opanowała się i zniżyła głos. - Mój ojciec nigdy pana

nie lubił. Nie powierzyłby mnie pańskiej opiece. A jeśli ma pan w tej kwestii jeszcze coś do dodania, proszę o tym porozmawiać z moim narzeczoną, lordem Vincentem Carltonem. Jeśli zada pan sobie trochę trudu, żeby zebrać informacje, to dowie się pan, że nasze narzeczeństwo trwa od wielu lat, a zostało zaaranżowane jeszcze przez mojego ojca. Lord Carlton z pewnością uspokoi pana co do mojej przyszłości, jeżeli żywi pan jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości.

Sir Kendal oniemiał. Cassie zauważyła, że jej cios nie chybił celu i chwilowo całkowicie go obezwładnił, więc ujęła Sarah pod rękę i razem odeszły. A kuzyn stał jeszcze przez kilka minut jak wrośnięty w ziemię i bezradnie odprowadzał je wzrokiem. Nawet nie drgnął, żeby ruszyć ich śladem.

Nieco uspokojona, Cassie zaczęła rozprawiać o wzniesieniu się w niebo balonu, które miały obserwować w Hampstead Heath za kilka godzin.

- Carlton twierdzi, że to widok zapierający dech w piersiach - mówiła tonem towarzyskiej pogawędki. - Wyobrażam sobie, jak podekscytowany musi być człowiek, siedzący w gondoli balonu.

- To nie dla mnie - odparła słabo Sarah, patrząc z podziwem na przyjaciółkę. - Ja umarłabym ze strachu.

- Co za obrzydliwiec! - wybuchnęła Cassie, nie mogąc już dłużej trzymać emocji na wodzy. - Przez chwilę nie mogłam o nim mówić, żeby nie obrazić twoich uszu słowami, których nie należy wypowiadać w obecności damy. Znam je, bo Jackowi zdarzało się czasem zakląć. - Zarumieniła się z lekka. - Jak on śmiał?! Och, szkoda, że nie jestem mężczyzną. Pożałowałby, że w tak arogancki sposób próbował narzucić mi swoje atencje, choć całkowicie jasno dałam mu do zrozumienia, że nie są one mile widziane.

- Ależ, kochana - zauważyła rozsądnie Sarah. - Gdybyś była mężczyzną, nie czyniłby ci takich propozycji.

Cassie patrzyła na nią przez chwilę, po czym zaczęła się dusić ze śmiechu, a cały jej gniew wyparował.

- Och, ależ ze mnie idiotka. Oczywiście, że nie. I to ja odziedziczyłabym tytuł i majątek, prawda? - Westchnęła. - Dlaczego on chce się ze mną ożenić? Może dowiedział się o moim spadku, choć udaje, że nic o tym nie słyszał? Nie widzę innej przyczyny jego uporu, a ty? Gdyby tylko Jack nie zginął! Tak mi go brakuje! Powinien tu być, dzielić z nami radość. Byłby taki szczęśliwy z powodu mojego małżeństwa.

- Tak, kochana. Ja także chciałabym, żeby tu był, ze względu na ciebie.

Cassie się uśmiechnęła. Dziwne, ale w tym momencie odniosła wrażenie, że Jack znajduje się gdzieś w pobliżu. Wydawało jej się, że lada moment nadjedzie galopem, zeskoczy z siodła i jak zawsze zakreśli się z nią w ramionach. Mrowienie w karku stało się tak intensywne, że odwróciła się, by go zobaczyć.

Oczywiście nie spostrzegła nikogo podobnego do brata. Wielu dżentelmenów spacerowało bądź jechało konno parkowymi alejkami, czasem w niewielkich grupkach, z paniami lub bez nich, ale żaden z nich w najmniejszym stopniu nie przypominał Jacka. Kątem oka dostrzegła kuśtykającego w jej stronę żebraka o kulach i przemknęło jej przez myśl, że trzeba znaleźć dla niego szylinga, ale w tym momencie ktoś zawołał jej imię. Odwróciła się i zobaczyła zbliżającego się ku niej lorda Carltona. Pomachała mu ręką, a kiedy znowu spojrzała na żebraka, dostrzegła, że oddala się on w przeciwnym kierunku.

- Cassie! - zawołał Vincent i podszedł do nich pospiesznie.

- Mama powiedziała, że cię tu znajdę. Start balonu został przyspieszony o godzinę, więc jeśli nie chcesz, by cię ominął, musisz zaraz wracać do domu, by się przebrać.

-I tak zamierzałyśmy już wracać - przyznała Cassie, kiedy Vincent zaofiarował ramię każdej z nich. - Za nic w świecie nie chciałybyśmy stracić takiego widowiska.

- To prawda - poświadczyła Sarah. - Przed chwilą o tym rozmawiałyśmy.

- W takim razie nie ma chwili do stracenia - oznajmił Vincent z uśmiechem.

Liczna grupa modnych dam i eleganckich dżentelmenów przybyła w otwartych powozach, by obserwować ekscytujące widowisko. Wiele osób przywiozło kosze z jedzeniem, żeby urządzić sobie potem piknik. Niektórzy zamierzali podążać za balonem powozem lub konno tak daleko, jak się tylko da.

- Czyż to nie poruszające? - zapytała Cassie, kiedy razem z Sarah, Vincentem i Harrym rozsiedli się na porośniętym trawą zboczu, żeby obserwować przygotowania. Kilku mężczyzn rozkładało balon na ziemi. - Jak zamierzają wznieść w powietrze tak wielki obiekt? To chyba niemożliwe.

- Co teraz robią? - zainteresowała się Sarah. - Proszę, niech mi ktoś powie, po co im ta pompa?

Lord Carlton wyjaśnił, że podgrzany gaz staje się lżejszy od powietrza i unosi balon do góry.

- Pierwsze balony zostały skonstruowane przez braci Montgolfier w tysiąc siedemset osiemdziesiątym drugim roku i wzniosły się w powietrze w Annonay koło Lyonu. Były napełnione gorącym powietrzem, ale wkrótce potem z powodzeniem wypróbowano wodór. Kiedy balon wypełnia się gazem, musi być przywiązany do ziemi, żeby nie uciekł. Po to

są sznury. Trzeba bardzo uważać, żeby nie zerwał się z uwięzi, co już się zdarzało amatorom. Nasz dzisiejszy lotnik jest podobno ekspertem.

Cassie kiwnęła głową, nie odrywając zafascynowanego wzroku od ogromnego kolorowego worka, który właśnie zaczynał się napełniać. Kilku ludzi uwiesiło się na linach, ciągnąc je w dół i pokrzykując do siebie, kiedy balon próbował im się wyrwać.

- Rozumiem, w jaki sposób się wznoszą, ale co robią, żeby wrócić na ziemię? - spytała Sarah.

Cassie zostawiła Vincenta, który starał się zaspokoić ciekawość Sarah, i podeszła w pobliże balonu. Panował tam hałas i zamęt. Zatrzymała się przy grupce podekscytowanych dzieciaków, zdając sobie sprawę, że nie powinna się bardziej zbliżać, aby nie zostać uderzoną końcem liny, gdyby wyrwała się komuś z rąk.

- Cassie... - Cichy szept wstrząsnął nią. - Cassie, jesteś mi potrzebna... musisz mi pomóc.

- Jack! - odwróciła się gwałtownie, wypatrując w tłumie brata. To był jego głos! Nie miała wątpliwości. Ale gdzie Jack? Nie mogła go dostrzec. Wokół niej kłębili się ludzie, przepychając się, by zająć najlepsze miejsca, bo lotnik ogłosił, że jest już niemal gotów do startu. - Jack, gdzie jesteś?

Nagle jedna z lin zerwała się i ogromny balon zatoczył się jak pijany na jedną stronę, zmuszając do ucieczki tych, którzy podeszli zbyt blisko. Kilka kobiet zaczęło krzyczeć, a jakiś mężczyzna popchnął Cassie z tyłu, omal jej nie przewracając. Zanim jednak zdążyła upaść, ktoś podtrzymał ją mocno za ramię i spokojnie wyprowadził z tłumu.

- Nie wolno nigdy stać tak blisko - powiedział Vincent, patrząc na nią z przejęciem. - To nie sam balon może oka-

zać się niebezpieczny, Cassie. Kiedy ludzie wpadną w panikę, mogą stanowić zagrożenie. Nie chciałbym, byś została stratowana.

- Ja też. Przepraszam, głupio się zachowałam.

Cassie mówiła cichym głosem, była bardzo blada. Prawie nie zwróciła uwagi na panikę spowodowaną przez zerwaną linę, która została już zresztą na powrót bezpiecznie umocowana. Czy aby na pewno słyszała głos Jacka? Nie mogła się mylić. Brat był przy niej. Czuła to w głębi serca. Ale to przecież niemożliwe. Jack zginął.

- Jesteś zdenerwowana - zauważył Vincent. - Chcesz wrócić do domu? Źle się czujesz?

Cassie potrząsnęła głową i zmusiła się do uśmiechu.

- Nie, czuję się całkiem dobrze, dziękuję. Przestraszyłam się...

Ta za słabo powiedziane, pomyślała. Była zaszokowana tym, że usłyszała głos Jacka zza grobu. Już od kilku miesięcy wyczuwała jego obecność w pobliżu, ale po raz pierwszy próbował się do niej odezwać. Dlaczego tu? Dlaczego teraz? Dlaczego nie wtedy, gdy leżała samotnie w łóżku i mogła go spokojnie wysłuchać?

- Dzięki Bogu, że byłem blisko - powiedział Vincent, sprowadzając ją znowu na ziemię. - Nie jest ci słabo?

Chyba musiał ją uważać za jakąś rozhisteryzowaną pannę, skoro robił tyle zamieszania. Cassie wzięła się w garść. Nie mogła zdradzić narzeczonemu prawdziwego powodu zdenerwowania, bo mógłby dojść do wniosku, że zaczęła szwankować na umyśle, a tego nie chciała.

- Ani trochę! - zawołała ze śmiechem. - To wszystko jest szalenie ekscytujące. Spójrz, Vinnie! Zaraz polec!

Pociągnęła go za rękę i spojrzała na niego takim wzrokiem,

że pochylił się i bardzo delikatnie pocałował ją w usta. Cassie zarumieniła się i uśmiechnęła.

- Nie mogłem się oprzeć - tłumaczył się. - Wyglądałaś zupełnie jak podekscytowane dziecko.

Cassie nie była pewna, czy powinna cieszyć się z takiego określenia, ale nic nie powiedziała. Spojrzała w niebo i zobaczyła wznoszący się majestatycznie wspaniały balon wraz z koszem, w którym znajdowało się dwóch pasażerów.

Cassie osłoniła oczy, by śledzić lot balonu, który zaczął powoli się oddalać, niesiony prądem powietrza. Był coraz dalej i dalej.

- Już go prawie nie widać... - szepnęła z żalem.

- Chciałabyś polecieć?

- Nie, chyba że Sarah i Harry będą mieli ochotę.

- Zapytamy ich?

Sarah uznała, że jest w pełni usatysfakcjonowana tym, co już zobaczyła, więc Vincent wyjął butelkę szampana i spełnili zdrowie wszystkich obecnych, pojadając przepyszne zakąski, przygotowane przez monsieur Marcela.

Popołudnie upływało im na błogim nieróbstwie. Mniej więcej po trzeciej niebo nagle pociemniało.

- Powinniśmy wracać - orzekł Vincent, kiedy usłyszeli daleki grzmot.

Harry i Sarah odeszli trochę dalej od powozu, zorientowali się jednak, że zanoszą się na deszcz i wrócili pośpiesznie. Nagle lunęło, ciężkie krople deszczu uderzały o ziemię z ogromną siłą i odbijały się niczym miniaturowe piłki. Wszyscy w pośpiechu pakowali kosze piknikowe i szukali schronienia. Szczęściarze, którzy przyjechali w krytych karetach, dawali sygnał do odjazdu i wąskie drogi natychmiast się zakorkowały.

Gdy mijali kępę dużych drzew, Cassie zauważyła kryją-

ca się pod nimi postać. Mężczyzna owinał się sfatygowanym płaszczem przeciwdeszczowym. Wyglądał na żołnierza, długie, splątane, siwe włosy sterczały spod bezkształtnego kapełusza, wciśniętego głęboko na czoło. Cassie odwróciła się, żeby jeszcze raz na niego spojrzeć. Wydawało się jej, że widziała już tego człowieka, i to całkiem niedawno.

Żebrak z parku, którego spotkała dziś rano? Nie, chyba nie. Ten tutaj nie miał kuli. Stał tylko skulony i mókł w deszczu. Nie mogła go znać. To tylko wybryki jej wyobraźni. Tak jak głos brata, wołający jej imię.

Cassie westchnęła. Na pewno wcale nie słyszała wołania Jacka. Jakim cudem mogłaby je słyszeć? Wiedziała przecież, że człowiek nie może wstać z grobu, choć zdarza się, że czujemy duchową obecność zmarłego - co do tego nie miała najmniejszych wątpliwości.

- Coś cię trapi? - szepnął jej do ucha zaniepokojony Vincent. - Nie byłaś dziś sobą.

- Nic mnie nie trapi - odparła Cassie, unikając jego wzroku.
- Dziękuję, że zabrałeś nas na start balonu. To było ekscytujące.

- Wiesz, że chciałbym sprawiać ci przyjemności, Cassie, jeśli to tylko będzie w mojej mocy.

- Tak, jesteś niezwykle troskliwy. Nie martw się o mnie, proszę, jestem całkowicie szczęśliwa i czuję się doskonale.

Vincent skinął głową, ale obrzucił narzeczoną badawczym spojrzeniem. Coś ją bardzo rozstroiło tego popołudnia, niemal doprowadziło do omdlenia, ale postanowiła to przed nim ukryć. Żałował, że nie miała do niego zaufania, liczył jednak, że w przyszłości to się zmieni. Może kiedy będą małżeństwem, zdoła mu zaufać... Wtedy znajdzie sposób, by wyznać jej, co leży mu na sercu.

Nie ustawały rozrywki oferowane przez Londyn: przejażdżki po Rotten Row, wizyty u Almacka, w ogrodach Vauxhall, gdzie między innymi urządzano fajerwerki, a także cały szereg lunchów, obiadów, wieczorów muzycznych i tańców. Cassie żyła w coraz większym podnieceniu, a w miarę zbliżania się terminu ślubu zapominała o wszystkim innym.

Jack chyba znowu ją opuścił, doszła więc do wniosku, że pora zakończyć okres żałoby. Czekąco ją nowe życie i w miarę upływu czasu wyglądała go coraz bardziej niecierpliwie.

Vincentowi bez wątpienia na niej zależało. Musiała koniecznie wyrzucić z pamięci pogardliwe i lekceważące spojrzenie La Valentyny. Przecież Vincent nie poprosiłby Cassie o rękę, gdyby nie żywił do niej silnego uczucia, prawda? Powinna zapomnieć, że widziała jego metresę.

A jednak nazwał ją dzieckiem tego dnia, gdy razem oglądali start balonu. Chciała, by widział w niej kobietę, z którą będzie dzielił życie, a nie kogoś, kim trzeba się opiekować.

Do ślubu mieli pojechać z domu sir Harry'ego Longbourne'a. Rozważali możliwość wyprawienia wesela w mieście, ale ją odrzucili. Cassie chciała wziąć ślub w wiejskim kościółku. Po ceremonii lord i lady Carlton mieli spędzić kilka dni w wiejskiej posiadłości Vincenta w Hampshire, następnie zaś wyjechać w podróż poślubną do Francji, a może nawet dalej, do Włoch. Po powrocie z podróży dom w Surrey powinien być już gotowy na przyjęcie nowej pani. Lady Longbourne miała osiąść znowu w Carlton House, a oni planowali dzielić czas pomiędzy dwie wiejskie rezydencje i dom w Londynie.

- Tak będzie najbardziej stosownie - oświadczyła lady Longbourne, bardzo zadowolona z ustaleń. - Carlton może pojechać na kilka dni do Surrey, kiedy już odwiezie nas bezpiecznie do Longbourne i wróci tu w przeddzień ślubu. Na pewno

będzie mógł zanoćować gdzieś w okolicy. My zamieszkamy w Longbourne. To prawie tak, jakbyś była wydawana za mąż z rodzinnego domu, kochanie.

- Nawet lepiej - stwierdziła Cassie. - Bo mój rodzinny dom przejął już w posiadanie sir Kendal.

Od tamtego poranka w parku Cassie nie spotkała kuzyna, za co była szczerze wdzięczna losowi. Miała nadzieję, że już nigdy więcej go nie zobaczy i początkowo postanowiła nie wysyłać mu nawet zaproszenia na ślub.

- Ależ musisz! - oświadczyła lady Longbourne, z lekka za szokowana nieprzejednaniem tak zwykle ustepliwej Cassie. - Rozumiem, że wolałabyś nie zapraszać go na wesele, ale nie możesz tego zrobić. Z całego serca nie cierpię Septimusa i jego rodziny, ale ich goszczę.

Cassie bardzo długo obstawała przy swoim, ustąpiła dopiero wtedy, gdy Vincent stwierdził, że w tej sprawie jego matka ma rację.

- Sir Kendal to twoja jedyna rodzina - oznajmił Vincent, mierząc ją dziwnym wzrokiem, którego nie potrafiła rozszyfrować, jako że nie była obecna podczas pewnej rozmowy na rzeczzonego z jej dalekim kuzynem. - Jeśli on działa na ciebie przygnębiająco, zostaw go mnie. Pokażę mu, gdzie jest jego miejsce.

Cassie odwróciła się pospiesznie do Sarah i zaczęła rozmowę o balu, w którym miały wziąć udział następnego dnia. Bal był wydawany przez księcia Devonshire wraz z małżonką i zapowiadał się na największe wydarzenie sezonu.

- Może pójdziemy przymierzyć nowe suknie? – zaproponowała i spojrzała na lady Longbourne. - Wybierze się pani z nami? Mogłaby nam pani doradzić, czy potrzebne są drobne poprawki.

Lady Longbourne zgodziła się natychmiast i wszystkie trzy wyszły z pokoju. Wykluczony z towarzystwa Vincent został pozostawiony sam z własnymi myślami. Cassie coś przed nim ukrywała, to pewne. Coś, co ją zaniepokoiło podczas pokazu balonu. Od tego czasu wyczuwał, że odnosi się do niego z pewnym dystansem. Coś ją dręczyło, ale co?

Wydawała się być w pełni zadowolona z przygotowań do ślubu; pochwycił jednak jej zamyślane spojrzenie w chwilach, gdy sądziła, że nikt jej nie obserwuje. Co ją trapiło? Chętnie by zapytał, ale nie śmiał. Miała prawo do własnych myśli, podobnie jak on. Nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że zbyt pośpiesznie wystąpił z oświadczeniami.

Może spotkała kogoś, kogo wołałaby od niego, gdyby była wolna? To pytanie narzucało mu się, szczególnie gdy patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby nie była pewna, dlaczego zgodziła się zostać jego żoną. A może to tylko jego wyobrażenia? Może co innego ją gnębiło?

Gdyby tylko mu się zwierzyła... Nie mógł jednak winić Cassie, skoro sam ukrywał przed nią mroczny sekret, tak straszliwy, że nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie w stanie jej go wyznać.

W sali balowej panował ścisk, co świadczyło o tym, że bal odniósł taki sukces, jakiego oczekiwano. Cassie włożyła niezwykle elegancką, szafranowo-żółtą suknię, marszczoną przy dekolcie, z białą, lamowaną koronką szarfą i krótkimi, bufiastymi rękawkami. Rąbek sukni i brzegi rękawów zdobiły girlandy wyhaftowanych białych stokrotek. Jej ciemne włosy zostały spięte na karku w gładki kok, tylko jeden lśniący pukiel opadał luźno na ramię. W uszach połyskiwały wspaniałe brylantowe kolczyki w kształcie stokrotek, a szyję okalał pasujący

do nich naszyjnik, który otrzymała od Vincenta z okazji ich zaręczyn.

- Wyglądasz czarująco, Cassie - powiedział jej Vincent przed wejściem na zatłoczoną salę balową. - Jestem bardzo dumny z narzeczonej. Proszę, zarezerwuj dla mnie ostatni taniec przed kolacją i przynajmniej jeszcze jeden inny, dobrze?

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się. - Mogę zaofiarować panu pierwszego walca, sir.

Wolał, kiedy zwracała się do niego po imieniu, ale robiła to tylko wtedy, gdy byli sami, albo przy rzadkich, wyjątkowych okazjach. Zwykle kiedy była podekscytowana, jak podczas startu balonu.

- Baw się dobrze, Cassie - odrzekł, dostrzegając zbliżającą się grupę jej przyjaciół. - Za kilka dni wyjeżdżamy na wieś i to ostatni bal, w którym uczestniczymy.

- Tak. Nie zapomniałam.

- Zostawię cię teraz - powiedział Vincent - ale wrócę upomnieć się o moje tańce.

Podniósł jej dłoń do ust i odszedł porozmawiać ze znajomymi. Wiedziała, że, podobnie jak wielu obecnych tu dżentelmenów, rozegra w trakcie balu kilka partyjek przy karcianym stoliku. Wśród jego przyjaciół hazard cieszył się dużą popularnością, uchodziłby więc za dziwaka, gdyby przez cały wieczór trwał u boku narzeczonej.

Nie oczekiwała tego od niego, oczywiście, czasami jednak myślała, że byłoby przyjemnie spędzić trochę czasu sam na sam i szczerze z sobą porozmawiać. Było to jednak niemożliwe; codziennie mieli umówione spotkania z przyjaciółmi, a wieczory były z reguły tak wypełnione wszelkiego rodzaju rozrywkami, że zmuszeni byli chodzić od jednego domu do drugiego. Ten wieczór należał do największych wydarzeń

sezonu i mieli go spędzić wyłącznie w należącej do księcia wspaniałej rezydencji w doborowym towarzystwie.

Cassie czuła się już całkiem swojsko wśród londyńskiej socjety, zawarła wiele znajomości i kilka przyjaciół, z których naprawdę się cieszyła. Kiedy więc została przedstawiona majorowi George'owi Saundersowi, który natychmiast poprosił ją o taniec, wręczyła mu swą kartę i zapomniała o nim do chwili, gdy przyszedł, by zaprowadzić ją na parkiet.

- Dopiero teraz przyjechałem do Londynu - powiedział, obrzucając ją szczerym, otwartym spojrzeniem, które natychmiast wzbudziło jej sympatię. - Od dawna chciałem się z panią skontaktować, panno Thornton, wolałem jednak osobiste spotkanie niż list. Gdyby nie zatrzymały mnie ważne sprawy rodzinne, odwiedziłbym panią w Hampshire kilka miesięcy temu. Pragnąłem powiedzieć pani, że miałem dla pani brata najwyższe uznanie. Jack służył pod moją komendą i sądzę, że miał do mnie zaufanie. Byliśmy przyjaciółmi.

- Rzeczywiście wspominał o panu w listach, sir - przyznała Cassie. Polubiła go natychmiast. - Cieszę się, że pana poznałam, majorze Saunders.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jack bardzo często o pani mówił, panno Thornton. Wiele samotnych wieczorów przy obozowym ognisku rozjaśniał nam opowieściami o siostrze. I muszę przyznać, że zdobyła pani serca nas wszystkich. Szczególnie zapadła mi w pamięć historia o ośle...

- O nie! - Cassie spojrzała na niego z figlarnym błyskiem w oku. Miała ochotę śmiać się w głos. Ten człowiek przypominał jej szczęśliwe czasy. Jak dobrze było tak otwarcie rozmawiać o bracie. - Jack naprawdę wam o tym opowiadał? Jak mógł?! Ojciec był na mnie wściekły. Miałam chyba wtedy ze trzynaście lat.

- Czy naprawdę ukradła pani tego osła druciarzowi i przemyśliła go do domu wtedy, gdy rodzice byli na proszonym obiedzie?

- Tak, ale oślica podniosła taki rwetes, kiedy zostawiłam ją samą, że zbiegła się cała służba i moja tajemnica wyszła na jaw. A rano druciarz przyszedł upomnieć się o swoją własność. Tata musiał mu wypłacić dziesięć gwinei za osła, niewartego nawet ułamka tej kwoty, bo był na wpół zagłodzony, a jego podkopy wymagały natychmiastowej interwencji kowala.

- Ale zatrzymała pani to stworzenie? - zapytał major Saunders.

- O tak! Nie mogłam dopuścić, żeby to biedactwo wróciło znów tam, gdzie było bite i głodzone. Szczególnie kiedy ojciec tyle zainwestował w poprawę jego sytuacji życiowej.

Tym razem major Saunders nie wytrzymał i ryknął takim śmiechem, że wiele głów się odwróciło i wiele par oczu zaczęło się im przyglądać.

- Ależ z pani zadziwiająca młoda dama!

- Ojciec beształ mnie za to jeszcze przez kilka dni, ale Jack przyniósł śliczną skórzaną uprząż i zabieraliśmy pannę Marchewkę Upartokopytną na spacer. - Cassie pokazała w uśmiechu urocze dołeczki w policzkach, kiedy major pytająco uniósł brwi. - Nadaliśmy jej takie imię, bo czasami stała jak wmurowana i nie sposób było ruszyć jej z miejsca, dopóki nie dostała marchewki.

- Osły to uparte stworzenia. Często przychodzi mi do głowy, że niektóre panie mają z nimi wiele wspólnego, przynajmniej moja droga mama i siostrzyczki.

Tym razem to Cassie wybuchnęła śmiechem. Przerwali nawet na chwilę taniec, dopóki nie opanowała napadu śmiechu. Spojrzała na majora z życzliwą aprobatą, bo cierpliwie czekał.

Był takim zabawnym, wyrozumiałym kompanem! Niezbyt przystojnym, oczywiście, zbyt wielkim i rubasznym, by uchodzić za eleganckiego dżentelmena, ale miłym w obejściu. To typ człowieka, na którego zawsze można liczyć w sytuacji kryzysowej, pomyślała.

Nadal się uśmiechała, kiedy się rozstali. Gdy wróciła do lady Longbourne, Vincent już na nią czekał. Zmarszczył brwi, więc domyśliła się, że był z czegoś niezadowolony.

- To już nasz walc? - zapytała. - Widziałeś, jak przed chwilą tańczyłam z majorem Saundersem? Mówił, że Jack często opowiadał przy ognisku różne historyjki o mnie. Śmieliśmy się z osła, którego ukradłam kiedyś druciarzowi... - Urwała na widok miny Vincenta. - Czy coś się stało? Jesteś na mnie zły?

- Jak mógłbym się na ciebie złościć? Wybacz, jeśli błędnie myślałem daleko stąd. Zastanawiałem się nad czymś...

Jack opowiadał im historyjkę o osle w noc poprzedzającą dzień, gdy zmusił ich pięciu do złożenia obietnicy, że jeden z nich poślubi jego siostrę. George Saunders zgodził się natychmiast i wydawał się szczerze zawiedziony, kiedy potem nie wyciągnął krótkiej słomki. Vincent zauważył rzucone w jego stronę badawcze spojrzenie. Czyżby odgadł, że wszystkie słomki były tej samej długości, a Vincent złamał swoją na pół, żeby mieć pewność, że to on jako pierwszy poprosi Cassie o rękę? Jeśli nawet, to nie zrobił na ten temat żadnej uwagi.

Ujmując dłoń narzeczonej, by poprowadzić ją na parkiet, Vincent postanowił porozmawiać jeszcze tego wieczoru z George'em. Saunders był przyzwoitym człowiekiem, ale lubił gadać bez zastanowienia, co mu leżało na wątrobie. Vincent chciał, by jego narzeczonej usłyszała opowieść o słomkach z jego własnych ust, nie od kogoś obcego.

Kiedy tańczyli, Vincent trzymał Cassie delikatnie, jakby się bał, że pogniecie jej suknię. Kiedy odezwała się do niego, spojrzął na nią z uśmiechem, ale odpowiedział tak, jakby myślami przebywał gdzie indziej.

Chyba nie zrobiła niczego, czym mogłaby go rozgniewać. Wyczuwała jednak, że jest nieobecny duchem. A może ta rezerwa to zwykła obojętność? Czy już zawsze będzie taki uprzejmy, czarujący, ale kompletnie nią niezainteresowany?

Ta myśl zabolą ją bardziej, niż mogła przypuszczać. W jego oświadczeniach było tyle namiętności! Okazuje się, że niepotrzebnie uwierzyła, że naprawdę pragnął ją mieć za żonę; teraz zrodziły się wątpliwości, chociaż Cassie wcale ich nie chciała.

- Było mi bardzo miło, dziękuję - powiedział Vincent, kiedy zamilkły ostatnie dźwięki walca. - Proszę, nie zapomnij, że ostatni taniec przed kolacją również należy do mnie.

Odprowadził ją do lady Longbourne, pocałował w rękę i odszedł. Ściagała go wzrokiem, a w jej sercu narastało poczucie straty. Cassie poczuła, że ma łzy w oczach. Szepnęła lady Longbourne, że chce poprawić suknię, ale zamiast wejść na piętro, gdzie przygotowano dla pań specjalny pokój, wyslizgnęła się do ogrodu.

Była piękna księżycowa noc; trawa, drzewa i krzewy były skąpane w srebrzystej poświacie. Noc stworzona dla kochanków i miłości.

Dlaczego wszystko zmieniło się tak nagle? Rzuciła się na ślepo w wir podniecających rozrywek, a teraz poczuła się dziwnie pusta i nieco przestraszona przyszłością. Ależ z niej idiotka! Nic się tak naprawdę nie zmieniło. Nie miała powodu do zmartwienia, najmniejszego powodu, zapewniła się w duchu.

To tylko dlatego, że Carlton miał dawniej kochankę, która

reprezentowała sobą to wszystko, czego Cassie nigdy nie miała i nigdy nie będzie miała! To głupota, przejmować się tym - a jednak się przejmowała. I to jeszcze jak! Ale nie miała racji, w żadnym wypadku.

Cassie poszukała chusteczki i energicznie wytarła oczy. Nie będzie płakać. Nie będzie taka głupia. Nie jest jakąś rozpaskudzoną panną, która wylewa łzy z powodu czegoś, na co nic nie można poradzić. Zdawała sobie sprawę z tego, że ma znikome szanse, by przeżyć prawdziwą miłość. Właściwie nawet nie chciała miłości, bała się cierpienia, jakie mogłaby z sobą nieść, lękała się ją utracić. Oczekiwała stabilizacji i wygodnego życia, teraz jednak odkryła, że to dla niej za mało.

Pragnęła być kochana. Prawdziwie, głęboko, z całego serca. Chciała, by jej mąż zapomniał o wszystkich innych kobietach, by wyrzekł się dla niej kochanki. Jak jednak mogła tego oczekiwać, skoro La Valentina jest tak piękna?

Westchnęła i zaczęła mrugać powiekami, żeby powstrzymać łzy, kiedy nagle poczuła zapach dymu z cygara.

- Źle się pani czuje, panno Thornton? Mogę pani pomóc?

Cassie odwróciła się trochę wystraszona i spojrzała w głąb ogrodu, ale gdy poznała zwalistą sylwetkę majora Saundersa, na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Dziękuję, już mi lepiej - odparła. - Ja... trochę rozboleła mnie głowa, więc wyszłam na świeże powietrze.

- Te wielkie imprezy bywają męczące - zgodził się George Saunders. - Wolę bardziej kameralne spotkania, ale jak można być w Londynie i nie wziąć udziału w balu u księcia Devonshire?

- Oczywiście - zgodziła się Cassie. - Muszę wrócić na salę i przeprosić dżentelmena, który miał być moim partnerem w tym tańcu.

- Na pewno nic nie mogę dla pani zrobić? - Wyciągnął rękę, jakby chciał jej dotknąć, ale cofnął się i ręka opadła wzdłuż jego boku. - Jestem całkowicie na pani usługi, panno Thornton. Jeśli jest pani nieszczęśliwa albo zdenerwowana...

Cassie była zaskoczona szczerością brzmiącą w głosie majora.

- Nie - odparła i zarumieniła się, zakłopotana jego troską. - Bardzo pan miły, ale ja nie czuję się nieszczęśliwa. Zapewniam, że to tylko ból głowy, który już zresztą minął.

- W takim razie proszę darować, że zwróciłem się do pani tak bezceremonialnie.

- Nie - powiedziała zarumieniona. - Nie ma mowy o bezceremonialności. Jest pan bardzo miły.

Ich spojrzenia spotkały się tylko na chwilę, ale zrozumiała, że podoba się majorowi, i nie bardzo wiedziała, jak na to zareagować. Poczowała się zakłopotana.

- Proszę mi wybaczyć, sir. Muszę wracać, bo zaczną mnie szukać.

Cassie oddaliła się pospiesznie, a George Saunders pozostał sam w półmroku ogrodu i palił cygaro. Nie zdawał sobie sprawy, że był tam ktoś jeszcze, ukryty za dużym krzakiem rozmarynu. Wreszcie major rzucił cygaro i wszedł do domu, a milczący obserwator pozostał na swoim miejscu.

Vincent wyszedł w poszukiwaniu majora, ale zastając go tete-a-tete z Cassie, zaczął się w mroku i obserwował.

Niewątpliwie oboje byli głęboko poruszeni tym, co sobie powiedzieli. Cassie robiła wrażenie zdenerwowanej i zakłopotanej, a major Saunders wyglądał jak rażony piorunem, jak mężczyzna, który wie, że najbardziej pożądana przez niego kobieta na świecie jest dla niego stracona.

A może to było przypadkowe spotkanie? Saunders wyszedł

na dwór zapalić cygaro, a Gassie zapragnęła odetchnąć świeżym powietrzem. To nie musiała być schadzka. Ale jeśli tak, to dlaczego jego narzeczona była taka zestresowana?

Wiedział, że dobrze się bawiła w Londynie. Wszystko wskazywało na to, że była zadowolona z losu, choć nigdy nie zdradziła słowem czy spojrzeniem, że jest w nim zakochana. Mówiła o sympatii, ale o niczym więcej. Może nagle zdała sobie sprawę, o ile wspanialsze byłoby małżeństwo dwojga ludzi, którzy się kochają?

Miłość od pierwszego wejrzenia zdarzała się naprawdę, Vincent wiedział o tym aż za dobrze. Nie wiedział tylko, czy z nią właśnie ma w tym wypadku do czynienia. Jeśli tak, to zniszczył życie kobiety, której miał nadzieję dać szczęście.

Rozdział siódmy

Cassie czuła ogromne zmęczenie, kiedy, wraz z lady Longbourne i Sarah, opuściła nad ranem towarzystwo. Vincent odwiózł je do domu, w holu szorstko życzył im dobrej nocy i zamknął się w gabinecie. W powozie nie odezwał się do nich ani słowem.

- Przysięgam, że nie mam pojęcia, co się dzieje z Carltonem - stwierdziła jego matka, starając się bez powodzenia powstrzymać ziewanie. Zatrzymała się na chwilę na górnym podeście schodów wraz z Cassie i Sarah. - Rzadko widuję go w tak paskudnym nastroju. Po kolacji mało nie urwał głowy biednemu Harry'emu.

- Był bardzo milczący przez cały wieczór - przyznała Cassie. - Myśli pani, że czymś się gryzie?

- Na pewno, ale w tej chwili nie zamierzam się tym przejmować - oznajmiła lady Longbourne. - Jego ojciec bywał czasem humorzasty, ale Vincentowi to się nie zdarza. Ta chłodna rezerwa jest całkiem do niego niepodobna.

- Może przegrał w karty? - zasugerowała Sarah. - Panowie z reguły nie lubią przegrywać.

- Carlton nie jest zapalonym hazardzistą - powiedziała

matka ze zmarszczonym czołem. Przeciągnęła się i ziewnęła, zasłaniając ręką usta. - Idę do łóżka. Pewnie prześpię południe.

Cassie pocałowała przyszłą teściową w policzek i wszystkie trzy rozeszły się do swoich pokoiów. Ziewając, weszła do sypialni, w której czekała Janet, by pomóc jej się rozebrać. Natychmiast zatroszczyła się o posuniętą w latach służbę.

- Nie powinnaś tu siedzieć przez całą noc, kochana Janet. Mogła cię zastąpić pokojówka.

- Niedoczekanie, żebym cię zostawiła na pastwę obcych służących - obruszyła się Janet, żeby ukryć wzruszenie. - Poza tym chciałam ci sama powiedzieć o tej awanturze. Przynajmniej będziesz znała prawdę, a nie zniekształconą wersję.

Ton głosu Janet zaalarmował Cassie. Popatrzyła na piastunkę ze zmarszczonymi brwiami.

- Coś się stało? Czym się tak zdenerwowałaś?

- To na pewno wina tego monsieur Marcela z jego fochami i humorami! - Janet prychnęła z dezaprobatą, rozpinając suknię Cassie. - Za kogo on się uważa?

- Co Tara zrobiła? - zapytała Sarah. - Powiedz natychmiast, bo z twojej miny wnoszę, że to coś poważnego.

- Nasypała soli do jakiegoś specjalnego bulionu. Widocznie miał być wyjątkowo delikatny w smaku, bo, zdaniem mistrza, nadawał się już tylko do wyrzucenia. Wylał wszystko i przez ładnych kilka minut krzyczał na dziewczynę, narobił w kuchni okropnego rabanu. Podobno odgrażał się, że wróci do Francji, bo w tym domu nikt go nie docenia.

Cassie spodziewała się czegoś takiego od chwili, gdy Tara została przydzielona do pomocy mistrzowi rondla.

- Postąpiła niewłaściwie, ale czy musiał na nią aż tak krzyczeć?

- Wszyscy tak sądzili - odparła Janet. - Mijały godziny, a on ciągle był wściekły. Wrzeszczał, że nie zamierza jej tolerować w swojej kuchni ani chwili dłużej i w rezultacie dziewczyna uciekła z domu.

- Uciekła? O nie! - Cassie była przerażona. - Dokąd mogła pójść? Nie zna nikogo w Londynie. Jesteś pewna, że nie schowała się gdzieś w domu?

- Szukaliśmy wszędzie - odparła Janet z taką miną, jakby starała się powstrzymać łzy. - Ta mała wkradła się w serce pani Dorkins, więc gospodyni pokłóciła się z monsieur Marcelem. Powiedziała, że nie będzie służyła w domu, w którym szarogęsi się jakiś zabójad, a potem cała służba podzieliła się na dwa obozy i mieliśmy tu prawdziwe urwanie głowy. - Janet potrząsnęła głową. - Prawdę mówiąc, panno Cassie, wszyscy powariowali. Tyle krzyku o szczyptę soli. Moim zdaniem, z solą było smaczniejsze.

- Nie do nas należy wyrażanie opinii w tej sprawie - przypomniała jej Cassie. - Kuchnia to królestwo monsieur Marcela, a Tara popełniła błąd. Lord Carlton nie będzie zachwycony perspektywą utraty szefa kuchni.

- No, cóż, może rzeczywiście źle postąpiła - przyznała Janet. - Polubiłam Tarę i przykro mi myśleć, że błąka się sama po ulicach Londynu, zdana na łaskę łobuzów, którzy tylko czyhają, żeby rzucić się na takie biedactwo jak ona.

- Mnie też przykro - przyznała Cassie, daremnie próbując powstrzymać ziewanie. To był naprawdę wyczerpujący wieczór. - Mam nadzieję, że zostanie znaleziona lub sama zmadrzeje i wróci do nas. Szczególnie że w przyszłym tygodniu wyjeżdżamy na wieś. Musimy ją jutro znaleźć. A właściwie dzisiaj, bo już jest rano.

- Jesteś wyczerpana i musisz się teraz położyć. - Janet

zauważyła na twarzy Cassie oznaki zmęczenia. - Gadam o głupiej dziewczynie, która sama nie wie, gdzie jej dobrze. Kładź się do łóżka, panienko, i nie martw się o Tarę. Pewnie sama wróci.

- Mam nadzieję. - Cassie ucałowała Janet. - Dobranoc, moja droga. Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś.

Janet zamknęła za sobą drzwi sypialni. Cassie położyła się i zdmuchnęła świecę, ale nie mogła zasnąć. Zniknięcie Tary i spowodowane przez nią zamieszanie w domu mieszało jej się z własnymi, znacznie bardziej dla niej dotkliwymi problemami. Była tak szczęśliwa, tak podekscytowana przygotowaniami do ślubu, nowymi sukniami i prezentami, którymi ją obsypywano, aż tu nagle zaczęła sobie zadawać pytania.

Czy naprawdę chce poślubić lorda Carltona? Odpowiedź brzmiała: tak, ale pod warunkiem, że naprawdę mu na niej zależy.

Bez wątpienia mogła znaleźć szczęście w małżeństwie z Vincentem, jeśli nie żenił się z nią tylko po to, by zapewnić sobie spadkobiercę tytułu i majątku. Długo się nad tym zastanawiała i uznała, że poprosił ją o rękę, by uczynić zadość oczekiwaniom rodziny. Ugiął się, bo Cassie doskonale nadawała się do tej roli: przeciętna, bezkonfliktowa dziewczyna, która zadowoli się siedzeniem w domu na wsi i nie wywoła skandalu.

O mało nie zapłakała na tę myśl, ale wzięła się w garść. Postanowiła nie poddać się rozczarowaniu. Była niemądra, jeśli oczekiwała czegoś więcej. Przecież takie właśnie małżeństwo opisała kiedyś lordowi Caritonowi - nic więc dziwnego, że je zaproponował. W głębi serca zdawała sobie sprawę, że to bardzo rozsądne rozwiązanie, ale mimo to pragnęła więcej.

Cassie wierciła się niespokojnie w pościeli i wzdychała, bezskutecznie próbując dojść do ładu z własnymi uczuciami. Spotkanie majora Saundersa wytrąciło ją z równowagi, ożywiło wspomnienia i uświadomiło jej, że istniała inna alternatywa. Gdyby nie była zaręczona z Vincentem, to pomiędzy nią a majorem mogło chyba rozwinąć się uczucie. Czy rzeczywiście? Przecież tak bardzo lubiła Vincenta.

Lubiła? Czy to, co do niego czuła, naprawdę było zaledwie sympatią? A może czymś więcej? Czy dlatego właśnie nie mogła teraz zasnąć?

Zmieniła pozycję i znowu westchnęła, a potem nagle zeszywniała na dźwięk cichego szlochu. Dobiegał z bliska. I doskonale wiedziała, co to za dźwięk!

Cassie usiadła i zapaliła świecę. Wstała z łóżka i rozejrzała się dokoła. Gdzie się schowała ta głupiutka dziewczyna?

- Wyjdź, Taro - powiedziała. - Wiem, że tu jesteś, więc nie ma sensu się przede mną chować. Nie gniewam się na ciebie, nie musisz bać się kary.

Przez chwilę nic się nie działo, potem poruszyła się falbana okrywająca łóżko kapy i wyczołgała się spod niej Tara. Stała z pochyloną głową i splecionymi z przodu rękami.

- Nie chciałam go rozzłościć - pociągnęła nosem, wycierając łzy brudną dłonią. - Byłam ciekawa, co robi, więc kiedy nie patrzył, spróbowałam bulionu. Myślałam, że zapomniał posolić i wsypałam sól. Chciałam mu tylko pomóc. Przysięgam, panno Cassie. Lubię go. Uważam, że jest mądry i zabawny.

- Lubisz monsieur Marcela? - zdumiała się Cassie. Wszyscy inni albo bali się Francuza, albo wyśmiewali się z jego poczucia własnej wartości. - Chętnie u niego pracowałaś?

- O tak, panienko! - Twarz Tary się rozjaśniła. - Nigdy

w życiu nie byłam taka szczęśliwa. On daje mi do próbowania bardzo duże kawałki i rozmawia ze mną o duszy i innych rzeczach. Ale mnie znienawidził i nie wpuści więcej do swojej kuchni.

- Obiecujesz zachowywać się w przyszłości przyzwoicie? - zapytała Cassie, przyglądając jej się w zamyśleniu. Dziewczynka przybrała trochę na wadze, miała błyszczące oczy i czyste włosy, wyglądała znacznie zdrowiej. Poprawa była wyraźna. - Jeśli zdołam go nakłonić, żeby dał ci drugą szansę, to będziesz robić wyłącznie to, co ci każe?

- Niech tu skonam! - zawołała Tara. - Obiecuję, panienko! - Znow popłynęły łzy i żałośnie pociągnęła nosem. - Tylko że on się nie zgodzi, bo zniszczyłam jego wielogodzinną pracę, a on jest taki mądry, a ja głupia.

- Zapamiętaj to sobie na przyszłość - powiedziała Cassie, uśmiechając się. Ciekawe, czy mistrz zdaje sobie sprawę z oddania tego dziecka? - Rano porozmawiam z monsieur Marcelem i zobaczymy, co da się zrobić. Ale co z tobą? Nie mogę cię odesłać do kwater służby, dopóki ta sprawa nie zostanie załatwiona. Musisz chyba zostać ze mną.

- Zwinę się w kłębek na podłodze i nie będę już panience przeszkadzać.

- Nie obudziłaś mnie - powiedziała Cassie zgodnie z prawdą. - Zastanawiałam się nad... czymś. - Uśmiechnęła się do Tary. - Nie możesz spędzić całej nocy na podłodze. Nie potrafiłabym zasnąć ze zmartwienia. Wskakuj do łóżka, ty niemądry dzieciaku. I nie waż się kopać ani chrapać, bo natychmiast cię stąd wyrzucę.

Tara zaśmiała się, wiedząc, że pani tylko tak żartuje. Była naprawdę dobra. Prawie tak dobra, zdaniem Tary, jak jego lordowska mość.

W tym czasie lord Carlton siedział samotnie w gabinecie ze szklaneczką brandy w dłoni i wpatrywał się w płomienie. Prawda była skomplikowana i nieprzyjemna, ale musiał stawić jej czoło. To on narobił w tej sprawie zamieszania i nie było sensu obwiniać o to Harryego. Gdyby natychmiast po powrocie z Francji pojechał, jak należało, do Cassie i poprosił ją o rękę, nie doszłoby do tego wszystkiego.

Odmówiłaby mu, oczywiście. Mogliby jednak zostać przyjaciółmi. Vincent zaczął wymyślać różne możliwe warianty wydarzeń, niektóre tak nieprawdopodobne, że to najdobitniej pokazywało, w jakim jest stanie. Usta Vincenta wygięły się w ponurym uśmiechu, bo nawet teraz potrafił dostrzec komizm sytuacji. Na początku podszedł do sprawy w niewłaściwy sposób, a teraz sam został złapany w pułapkę.

I co teraz?

Mógł oczywiście powiedzieć Cassie całą prawdę. Dałby jej tym samym szansę wycofania się, zanim będzie za późno. Naturalnie musiałby wziąć winę na siebie. Jednak lepiej dostać kosza, niż unieszczęśliwić ją na całe życie.

Wyjechałby za granicę, nawet w podróż dookoła świata. Może po kilku latach, kiedy ucichnie skandal, mógłby wrócić do kraju, choć niektórzy nigdy by mu tego nie zapomnieli. Mógł też osiąść na stałe za granicą, na przykład we Włoszech.

- Cholerny głupiec!

Vincent zerwał się i zaczął krążyć po pokoju. Przeżyć całe życie samotnie, na wygnaniu? Albo jako odsądzony od czci i wiary wyrzutek społeczeństwa? Żadna z tych możliwości mu nie odpowiadała. Sercem i duszą związany był z Anglią... i z Cassie. Ale nie mógł zapomnieć sceny w ogrodzie księcia Devonshire.

Cassie była zainteresowana majorem Saundersem. Widział, jak śmiali się podczas tańca. Przy nim nigdy nie była tak bez troska, no, może raz czy dwa. Dlaczego poszła na schadzke z George'em Saundersem? I dlaczego była taka przybita? A może poznali się już dawniej, nie tego wieczoru? Może byli kochankami?

Po raz pierwszy w życiu Vincent wpadł w szpony zielonookiego potwora zazdrości. Obserwował Cassie z majorem Saundersem i miał ochotę rzucić się na nich z pięściami. Był tak wściekły, że przez całą drogę powrotną do domu nie odezwał się ani słowem, żeby nie ujawnić złości.

To było dla Vincenta całkiem nowe doświadczenie. Zawsze potrafił dostrzec zabawną stronę różnych wydarzeń czy ludzkich uczynków. Umiał zachować zbawienny dystans do wielu spraw czy osób. Niestety, teraz to się skończyło.

Do licha! Nie chciał rezygnować z Cassie. Dlaczego miałby to zrobić? Pragnął, by dotrzymała obietnicy i wyszła za niego. A jeśli potem będzie tego żałowała? Jeśli zakochała się w George'u Saundersie? Jeśli w przyszłości będzie miała z nim romans...

Nie! Nigdy do tego nie dopuści! Vincent niełatwo wpadał w gniew, ale kiedy już się rozzłościł, bywał straszny. Nie ufał wówczas samemu sobie. Lepiej pozwolić jej odejść już teraz.

Vincent wyszedł z gabinetu i udał się do swoich apartamentów na piętrze. Skoro już musiał to uczynić, postanowił zrobić to odpowiednio, jak przystało na prawdziwego dżentelmena.

Kiedy znalazł się w swoim pokoju, wyjął zapasowy klucz do garderoby z szufladki wojskowego kufra, który dobrze mu służył w czasach służby w armii. Cassie mogła już spać, ale chciał to już mieć za sobą, zanim zdąży się rozmyślić.

Po cichu otworzył drzwi i wszedł do pokoju narzeczonej, ale zatrzymał się jak wryty, kiedy światło przyniesionej przez niego świecy padło na łóżko. Jego twarz złagodniała, a usta wygięły się w ciepłym uśmiechu na widok opiekuńczego gestu, jakim Cassie obejmowała śpiące przy niej dziecko.

Była taka piękna! Inni mogli odmawiać jej urody, ale teraz widział, jaka jest naprawdę, rozluźniona i zaróżowiona od snu, i uświadomił sobie, że dla niego jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Przez chwilę nie mógł oderwać od niej wzroku, poczuł tęsknotę, z której istnienia nie zdawał sobie dotąd sprawy.

Został poinformowany przez panią Dorkins o zniknięciu Tary, ale nikt, oczywiście, nie pomyślał, by szukać jej tutaj. A dokąd dziewczynka miała pójść, jeśli nie do kobiety, która ją znalazła w lesie i otoczyła opieką? Do jedynej osoby, która z pewnością mogła ją ochronić - i Cassie jej nie zawiodła.

Nie potrafił zakłócić ich spokoju. Wrócił do siebie równie cicho, jak przyszedł, zamknął ponownie drzwi na klucz i schował go w dawnym miejscu. Wiedział, że nie porozmawia z Cassie. Boże, wybacz, ale nie może. Nie miał dość silnej woli. Ślub odbędzie się zgodnie z planem, chyba że narzeczona sama przyjdzie do niego i poprosi, by zwrócił jej wolność.

Monsieur Marcel robił naleśniki. Maleńkie, przepyszne, na jeden kęs. Zostaną później polane brandy i udekorowane malinami i sokiem pomarańczowym. To było jedno z jego ulubionych dań, a wziął się teraz za nie, bo sumienie nie dawało mu spokoju. Dziś wszyscy go unikali, więc skoncentrował się

na pracy i nie podnosił wzroku, dopóki nie zauważył, że pracownicy stanęli na baczność, wpatrując się w drzwi. Monsieur Marcel się odwrócił. W drzwiach zobaczył narzeczoną lorda Carltona. Patrzyła wprost na niego.

To rzecz niesłychana w domach śmietanki towarzyskiej Londynu! Panie wydawały polecenia gospodyniom, które były wzywane w tym celu do salonu. Wielkie damy nie zwykły wchodzić do kuchni.

Cassie napotkała jego osłupiałe spojrzenie i się uśmiechnęła. Monsieur Marcel upuścił łyżkę na podłogę. Jedna z podkuchennych skoczyła, by ją podnieść, ale została zatrzymana ruchem dłoni mistrza. Wysunął się zza stołu i pomimo swej pulchnej sylwetki wykonał zadziwiająco wytworny ukłon, a kiedy Cassie podeszła i podała mu rękę, podniósł ją szybko do ust.

- Mademoiselle - powiedział. - Jestem zaszczycony wizytą pani. To *magnifique*.

- A więc to tutaj powstają wspaniałe dania, którymi tak się delektuję - powiedziała Cassie, rozglądając się dokoła. - Zawsze byłam ciekawa. Proszę mi powiedzieć, monsieur, czy ma pan wszystko, czego pan potrzebuje? Może należałoby coś tutaj zmienić, by uczynić pana pracę lżejszą?

- Mam wszystko, o co poproszę, mademoiselle. - Zapewnił rozpromieniony. - Może tylko piec jest odrobinę... jak wy to mówicie... *ancien*⁷. Teraz można kupić nowoczesne cuda. Myślałem, że może...?

- Oczywiście. Porozmawiam o tym z panią Dorkins. Musi pan mieć wszystko co najlepsze. - Cassie obdarzyła go uśmiechem, który powaliłby słabszego mężczyznę. - Ale teraz przyszedłam, monsieur, żeby osobiście przeprosić za zachowanie pewnej głupiotkiej dziewczyny i prosić, by jej pan wybaczył.

- Rozmawiała pani z Tarą? - Uszy monsieur Marcela zrobiły się całkiem czerwone. - To ona nie jest martwa, nie leży gdzieś w rynsztoku w kałuży krwi?

- Absolutnie nie. Ten głupi dzieciak schował się w moim pokoju pod łóżkiem i został u mnie na noc. Jest niepocieszona, bo wie, że zawiodła pana zaufanie. A tak bardzo pana podziwia, monsieur. Oczywiście nigdy panu nie dorówna, ale chciałaby podążyć w pana ślady i zostać pewnego dnia mistrzynią gotowania. Obawiam się jednak, że straciła szansę na gruntowne studia pod pana kierunkiem. A może okaże pan wspaniałomyślność i ją ponownie przyjmie?

- Ona mnie podziwia? - Monsieur Marcel zamrugnął powiekami o rzadkich rzęsach. Zdawał sobie sprawę, że ci zimni Anglicy nie doceniali ani jego, ani jego dążenia do doskonałości. Dla nich jedzenie to tylko jedzenie; nie dostrzegali, że gotowanie to sztuka dostępna jedynie dla nielicznych. Bo jak mogliby to zauważyć? Byli pozbawieni duszy! Polubił tę małą, którą lord Carlton przyprowadził do jego kuchni, i żałował, że ją nastraszył. Poza tym kto mógłby się oprzeć urokowi tej młodej damy? - To tylko głupie dziecko, czyż nie? Musi się nauczyć nie traktować tak poważnie moich krzyków. I odnosić się z szacunkiem do jedzenia.

- Już na nią nakrzyczałam - zapewniła Cassie niezbyt zgodnie z prawdą. - Jestem pewna, że w przyszłości będzie się lepiej sprawowała.

- W takim razie może wrócić - oświadczył monsieur Marcel wspaniałomyślnie. Ci zimnokrwieści Anglicy wyśmiewali się z niego za plecami i nie rozumieli pasji artysty jego kalibru. Przyszła lady Carlton przypuszczalnie miała duszę. Tak, ona mogłaby chyba docenić prawdziwą wartość jego

sztuki. - Proszę powiedzieć Tarze, że już nie jestem na nią zły, mademoiselle. Wszystko jej wybaczyłem.

- Dziękuję. Jest pan bardzo dobry, monsieur. Zresztą byłam tego pewna. Człowiek, który serwuje takie pyszności, nie może być obojętny wobec dziecka, które potrzebuje jego współczucia.

Naprawdę go rozumiała! Emocje wezbrały w nim nagle, oczy zaszły mgłą. Porzucił pomysł powrotu do Francji. Musiał tu zostać na zawsze, żeby służyć damie, która wykazała się taką wrażliwością: to jego życiowa misja, sens jego egzystencji. Dziś wieczorem wyczaruje dla niej taki obiad, jakiego jeszcze nigdy nie jadła.

Jak tylko odwróciła się do wyjścia, rzucił się do pracy.

Nieco później w małym saloniku państwo Dorkins obiecali mieć Tarę na oku w czasie nieobecności panny Thornton.

- Dorkins i ja chcemy w imieniu wszystkich ludzi jego lordowskiej mości, naprawdę wszystkich, wyrazić radość z powodu pani małżeństwa z lordem Carltonem, panno Thornton. Usługiwanie pani było prawdziwą przyjemnością i będziemy szczęśliwi, gdy znów przyjedzie pani do Londynu.

Cassie podziękowała im za doskonałą obsługę, po czym weszła na górę do apartamentu lady Longbourne. Wstała wcześniej niż zwykle, żeby rozwiązać problem Tary, więc zastała lady Longbourne w łóżku, z tacą, na której stała zastawa z cieniutkiej porcelany, dzbanek gorącej czekolady i półmisek miękkich bułeczek.

- Cassie, kochanie - powiedziała, uśmiechając się do niej i zaczęła smarować ciepłą bułeczkę gęstym miodem. - Już wstałaś. Byłam pewna, że prześpisz pół dnia. Wieczorem byłaś taka zmęczona.

- Tak, byłam nieco zmęczona, lecz dziś wstałam wypoczęta. Przed chwilą rozmawiałam z Sarah. Przypomnialiśmy sobie, że przed wyjazdem musimy oddać książki do biblioteki, a spacer dobrze nam zrobi.

- Dziękuję, że przyszedł mi o tym powiedzieć. - Lady Longbourne westchnęła i oparła się o poduszki. - Chyba zostanę w łóżku przez cały dzień i będę odpoczywać. Jutro czeka nas długa droga, a potem przygotowania do ślubu.

- Czy te wszystkie hulanki to nie za dużo dla pani? Mam nadzieję, że nie czuje się pani źle?

- Nie, skądże. Uczciwie mówiąc, kochanie, od wieków nie bawiłam się tak dobrze. Z prawdziwą radością spotkałam znowu dawnych znajomych. Byłoby mi przykro wyjeżdżać, gdyby nie chodziło o przygotowania do waszego ślubu.

Wzmianka o rychłym ślubie sprawiła, że Cassie poczuła się nieswojo na tyle, że zmienił się wyraz jej twarzy.

- Coś się stało, Cassie? - spytała lady Longbourne.

- Chyba jednak jestem nieco zmęczona - przyznała Cassie, która nie była jeszcze w stanie rozmawiać o tym, co jej leżało na sercu z nikim, a już najmniej ze wspaniałomyślną damą, która zadała sobie dla niej tyle trudu. - Spacer dobrze mi zrobi. Świeże powietrze sprzyja zdrowiu, nie sądzi pani?

- Muszę przyznać, że nie zawsze podzielam twoje zdanie w tej kwestii - odrzekła szczerze lady Longbourne. - Jeśli jednak twierdzisz, że tobie robi dobrze, Cassie, muszę ci wierzyć. Dopóki nie zmuszasz mnie do wychodzenia na dwór o tej porze.

- Nawet mi się nie śniło prosić, by wybrała się pani z nami. We dwie z Sarah będziemy całkowicie bezpieczne. Nie zabieramy z sobą nawet pokojówki. Zresztą, wszystkie są teraz zajęte pakowaniem przed jutrzejszą podróżą.

- Idź więc, kochanie. Zobaczymy się później - odparła lady Longbourne, opierając się o poduszki z westchnieniem zadowolenia.

- To był bardzo miły okres - powiedziała Sarah, kiedy w godzinę później wracały z biblioteki. Długo to trwało, bo zajrzały jeszcze do sklepów. - Cudownie spędziłam czas i to wyłącznie dzięki tobie, Cassie. Po powrocie do domu będę często wracać pamięcią do tej wizyty. Może już nigdy nie przyjadę do Londynu, z całego serca dziękuję ci za wszystko.

Cassie przyjrzała się przyjaciółce z namysłem, bo jej uwagi nie uszła nuta żalu w głosie Sarah.

- Cieszę się, że ci się tu podobało. W nawale zajęć nie miałyśmy czasu, żeby pogadać od serca, ale czułam, że dobrze się bawisz.

- Wspaniale!

Cassie ścisnęła Sarah za rękę.

- Przecież nie możesz być pewna, że więcej nie przyjeździesz do Londynu - powiedziała. - Niewykluczone, że tu wrócisz.

- Nie sądzę - odparła Sarah, unikając jej wzroku. - Tata nie może sobie na to pozwolić. Zresztą, miałam swoją szansę. Moje siostry wszystko by za to dały. Nie, teraz będę musiała zadowolić się życiem domowym i pomaganiem mamie. To mój obowiązek. Ostatnio los mnie wprost rozpieszczał.

- Twój ojciec na pewno się zgodzi, żebyś przyjeżdżała do nas z wizytą. A ja z radością będę cię gościć. - Cassie zaważała się, po czym dodała: - Nikt ci się nie spodobał? Żaden dżentelmen nie zwrócił na ciebie uwagi?

Policzki Sarah wyraźnie się zaróżowiły.

- Przypominasz sobie pana Johna Barkera? Nie, pewnie nie. Chyba nawet z nim nie tańczyłaś. Zdradzał pewne zainteresowanie moją osobą, ale go nie zachęcałam.

- Dlaczego? - Cassie spojrzała na nią ze zdumieniem. - Nie podobał ci się?

- Był... był całkiem miły. - Sarah nie potrafiła powstrzymać lekkiego westchnienia. - Pewnie powinnam go była zachęcić. Ojciec byłby zadowolony, gdybym znalazła sobie męża, ale... - Urwała, nie była w stanie mówić dalej. Zaczęła bezwiednie miętosić w rękach haftowaną torebkę. - Och, jestem taka głupia!

- Był ktoś inny? Myślałam, że mogłabyś polubić sir Harry'ego... Och, Sarah, jaka ze mnie gapa, że nie zorientowałam się do tej pory! Nie rozmawiał z tobą, a może miał jakieś zastrzeżenia?

Na ciemnozłoty rzesach Sarah zaśniły łzy. Była taką śliczną dziewczyną. Nie powinna żyć w panieństwie.

- Był... był dla mnie wyjątkowo miły, Cassie. Pewnie nie zwróciłaś na to uwagi, ale często z sobą tańczyliśmy. Podawał mi napoje i przekąski podczas kolacji. Po prostu był sobą. W równie czarujący i miły sposób odnosił się do wszystkich. Sądzę, że jest z kimś związany. Z kobietą, którą kocha, ale nie może jej poślubić. Raz wspomniał coś na ten temat, ale nie do końca go zrozumiałam. - Policzki Sarah oblał rumieniec.

- Myślę, że to jego metresa, choć oczywiście nie powiedział tego wprost.

- Rozumiem. - Cassie kiwnęła głową. - Przypuszczam jednak, że się z nią nie ożeni?

- Lady Longbourne by się na to nie zgodziła. Zresztą Harry nie ożeni się wbrew jej woli. Nawet gdyby nie był zakochany w kim innym, nigdy mi się nie oświadczy.

- Dlaczego? Lady Longbourne cię lubi, Sarah. To ciebie zawsze prosi o załatwienie drobnych sprawunków.

- Ale nie mam posagu.

- Czy małżeństwo zawsze musi być kwestią majątku i pieniędzy?

- Nie zawsze, ale często. Ty musisz o tym wiedzieć, Cassie. Masz szczęście, że wychodzisz za lorda Carltona. On bardzo cię lubi. Ja pewnie będę musiała poślubić wikarego taty, za którym nie przepadam, albo zostać z mamą w domu.

Przewidywania Sarah były trafne. Najprawdopodobniej rzeczywiście będzie musiała zadowolić się małżeństwem z rozsądku bądź pozostać niezamężną. Nawet kiedy Cassie przepisze na nią pewną sumę, gdy będzie już mogła dysponować swoim kapitałem, to i tak szanse, by Sarah spotkała kogoś odpowiedniego w rodzinnej wiosce, były raczej znikome. Gdyby sytuacja Cassie odmieniła się nieoczekiwanie na lepsze, znalazłaby się w takiej samej sytuacji.

- Tak, miałam szczęście - przyznała. - Lord Carlton to dżentelmen i dobry człowiek. Myślę, że przy nim będę miała wygodne życie.

- Ale z pewnością... - Sarah obrzuciła ją pytającym spojrzeniem. - Myślałam, że ty... to znaczy, że twój przypadek jest inny.

- Dlaczego? - zapytała Cassie. - Dlaczego to właśnie powiedziałaś?

Stanęła i wpatrywała się w Sarah z takim napięciem, że nie zauważyła obdartusa, zbliżającego się do niej z boku. Popchnął ją nagle i szarpnął wyszywaną paciorkami torebkę. Cassie mocniej zacisnęła w dłoni troczki, zdecydowana nie pozwolić jej sobie odebrać, ale nagle rozluźniła palce i puściła torebkę. Patrzyła potem bez słowa, jak biegł w dół ulicy.

Wstrząśnięta Sarah zachłysnęła się powietrzem, jej twarz była biała jak płótno. Cassie również pobladła, ale była raczej oszołomiona niż przerażona.

- Cassie... - Sarah chwyciła ją za rękę, z trudem łapiąc oddech. - On... ukradł twoją torebkę. Dobrze się czujesz?

- A ty? - zapytała Cassie, zaniepokojona wyrazem twarzy przyjaciółki. Sarah była naprawdę wstrząśnięta. - Chcesz usiąść? Wyglądasz na chorą.

- To tylko szok. - Sarah zaczynała dochodzić do siebie, kolory wracały powoli na jej twarz. - Dobrze, że się z nim nie szarpałaś. Lepiej stracić torebkę, niż narazić się na szwank. Dużo miałaś pieniędzy?

- Kilka gwinei - odparła Cassie. - Chciałam kupić drobny upominek dla lady Longbourne. Zostały nam jeszcze dwa dni do wyjazdu, chyba więc uda mi się znaleźć stosowny prezent, by jej podziękować.

- Kilka gwinei! - Sarah zmarszczyła czoło. - To znaczna strata.

-Nieważne - oświadczyła Cassie z lekceważeniem. Rumieńce wróciły na jej policzki, a choć serce biło jej jeszcze w przyspieszonym tempie, odzyskała panowanie nad sobą. - Widzisz, kochanie, to był chyba stary żołnierz, weteran. Musiał znajdować się w rozpaczliwej potrzebie, skoro poważył się obrabować mnie na środku ulicy, w biały dzień. Winniśmy wdzięczność ludziom, którzy tak dzielnie walczyli z Napoleonem. Mogę podzielić się z nimi pieniędzmi.

Sarah domyśliła się, że przyjaciółka pomyślała o bracie.

- Tak, teraz rozumiem. Musiał rzeczywiście rozpaczliwie potrzebować pieniędzy, niemniej jednak to było okropne.

- Nie zrobił mi krzywdy - stwierdziła Cassie. - Żałuję tylko, że ciebie tak zdenerwował.

- Już mi lepiej - zapewniła Sarah i wzięła przyjaciółkę pod ramię. - Same jesteśmy sobie winne, bo wyszliśmy na ulicę bez eskorty. Gdyby lord Carlton był z nami! Albo przynajmniej jedna z pokojówek. Nie ośmieliliby się do ciebie zbliżyć w obawie, że zostanie schwytany.

Prawda tych słów uderzyła Cassie. Rzeczywiście pierwszy raz wyszła z domu bez opieki, Kiedy wybierały się po zakupy, brały z sobą pokojówkę albo lokaja do niesienia paczek, a popołudniami wychodziły zawsze w towarzystwie lady Longbourne i lorda Carltona.

- Masz rację, Sarah - powiedziała zamyślona. - To była dla niego rzeczywiście jedyna szansa, żeby do mnie podejść. Przedtem nie było o tym mowy. Nawet jeśli chciał to zrobić...

- O czym ty mówisz? - Sarah wpatrywała się w nią w osłupieniu. - Widziałaś już tego człowieka? Gdzie? Śledził cię?

- Wydaje mi się, że już go raz widziałam, może nawet dwa razy.

-Och, Cassie! - Sarah obejrzała się przez ramię, nagle czymś zaniepokojona. - Powinnyśmy wezwać straż. Może to jakiś zbrodniarz? Albo porywacz!

- Gdyby chciał mi zrobić krzywdę, miał ku temu sposobność - zauważyła Cassie. - Nie, Sarah, pewnie się pomyliłam. Jeden stary wiarus jest podobny do drugiego, a teraz, kiedy wojna dobiegła końca, w Londynie roi się od weteranów zmuszonych zebrać na ulicy o kawałek chleba. - Złapała przyjaciółkę za ramię. - Nie powiesz o tym nikomu? Ani lady Longbourne, ani lordowi Carltonowi, ani Harry'emu? Proszę! Nie chcę robić wokół tego zamieszania.

- Ale na pewno...

- Proszę, Sarah. Będę bardzo wdzięczna, jeśli zachowasz

len incydent wyłącznie dla siebie. Straciłam tylko kilka gwinej. Nikt nie musi o tym wiedzieć.

- Jeśli ci na tym zależy... - Sarah zgodziła się milczeć, widząc błagalne spojrzenie Cassie. - Nie rozumiem tylko dlaczego.

- Zapomnijmy o tym - poprosiła Cassie z uśmiechem. - Porozmawiajmy lepiej o Harrym. Bardzo ci się podoba? Zgodziłabyś się za niego wyjść, gdyby ci się oświadczył?

Rozdział ósmy

Tego wieczoru wydarzyło się coś, co odsunęło incydent z torebką na drugi plan. Byli zaproszeni na wieczorek muzyczny, w którym miała wystąpić diwa operowa La Valentina. Cassie postanowiła nie dać się wyprowadzić z równowagi. Będzie z Vincentem, zresztą nie spodziewała się, by śpiewaczka próbowała z nią rozmawiać.

W ostatniej chwili Vincent wymówił się jednak od udziału w koncercie.

- Mam dziś w klubie spotkanie, którego nie mogę odwołać - wyjaśnił. - Wybaczcie, ale nie będę wam towarzyszyć. Jestem pewien, że Harry chętnie mnie zastąpi.

Matka skrzywiła się z dezaprobatą.

- Cassie będzie rozczarowana.

- Na pewno tym razem mi wybaczy. - Uśmiechnął się, jak by prosił o pobłażliwość.

Cassie nie miała wyboru - musiała odpowiedzieć uśmiechem i oświadczyć, że go rozumie. Choć przemknęło jej przez myśl, że Vincent wolał uniknąć następnego spotkania z La Valentiną w jej obecności, nie dała tego po sobie poznać ani słowem, ani spojrzeniem.

- Oczywiście - odparła. - Proszę robić to, na co ma pan ochotę, sir.

- Będiesz wyjątkowo wyrozumiałą żoną - odrzekł Vincent. - Ciekawe, czy zawsze będziesz tak skłonna spełniać moje pragnienia, Cassie?

Nie wiedziała, co na to powiedzieć, zachowała więc milczenie. Zastanawiała się tylko, jak by zareagował, gdyby równie otwarcie jak jego matka wyraziła swoje uczucia i zaczęła narzekać, że narzeczony ją zaniedbuje.

- Vincent nigdy nie przepadał za wieczorkami muzycznymi - zdradziła im lady Longbourne w powozie. - Podejrzewam, że poszedł na mecz bokserski albo jakąś równie barbarzyńską rozgrywkę sportową. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, jego ojciec był taki sam.

Cassie kiwnęła głową, ale się nie odezwała. Nie czuła szczególnej obawy przed dzisiejszym wieczorem, ale nie miała też specjalnej ochoty na spotkanie z kobietą, która przez wiele miesięcy była kochanką Vincenta. W ciągu ostatnich tygodni parę razy dobiegły jej uszu złośliwe uwagi, że piękna diwa zajmowała pozycję faworyty lorda Carltona znacznie dłużej niż którakolwiek z poprzedniczek, co miało niezawodnie świadczyć o jego przywiązaniu.

Wieczorek rozpoczął się od występu męskiego kwartetu; potem zaśpiewał tenor, a następnie na podium wyszła La Valentina. Śpiewała tak cudownie, że nawet Cassie wzruszyła się do łez. Nie mogła zaprzeczyć, że artystka była nie tylko piękna, ale i utalentowana.

Po występach wszyscy ruszyli do pokoju, w którym podano kolację. Cassie szła za lady Longbourne i Sarah. Harry już dawno zniknął w pokoju karcianym. Nagle ktoś mocno złapał ją za ramię. Odwróciła się i stanęła oko w oko z La Valentiną.

Miała nadzieję uniknąć bezpośredniej konfrontacji, ale upadła na duchu na widok wyzwania w oczach śpiewaczki.

- Pani chce ze mną mówić?

- Wiem, że wkrótce wychodzi pani za mąż - oświadczyła La Valentina z błyskiem w oczach. Dotknęła naszyjnika z szafirów, okalającego jej wspaniałą szyję, jakby chciała nań zwrócić uwagę Cassie. - To od niego. A teraz ja dam pani prezent, panno Thornton: przez pewien czas Carlton będzie należał wyłącznie do pani. Jest zbyt wielkim dżentelmenem, by utrzymywać metresę w okresie narzeczeństwa. Zostanie przy pani, dopóki nie doczeka się dziedzica. Wróci do mnie, jak tylko urodzi pani dziecko.

Cassie nie mogła wykrztusić słowa przez ściśnięte gardło. Poza tym co miała odpowiedzieć? Gdyby zaprzeczyła, La Valentina spojrzałaby na nią z uśmiechem wyższości. A gdyby zrobiła to, na co naprawdę miała ochotę, czyli wymierzyła jej policzek, wywołałaby skandal, na który przypuszczalnie śpiewaczka liczyła.

Skinęła więc tylko głową i odeszła sztywno wyprostowana. Istne wcielenie godności. Nic lepszego nie mogła zrobić. Najważniejsze, by nikt się nie zorientował, jak bardzo ją to zabolowało.

Była już przy drzwiach pokoju, w którym podawano kolację, gdy podszedł do niej Harry. Spojrzał jej w twarz i zaklął.

- Co ta wiedźma ci powiedziała, Cassie? Nieważne, nie przejmuj się. Liczyła, że Vinnie się z nią ożeni, choć nawet mu to przez myśl nie przeszło, więc postanowiła cię zranić.

- Nie powiedziała niczego, czego bym sama nie wiedziała
- odparła Cassie z wymuszonym uśmiechem. - Będę ci bar-

dzo zobowiązana, Harry, jeśli nie wspomnisz Carltonowi, że ze mną rozmawiała.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym kiwnął głową.

- Jak sobie życzysz. Gdyby Vinnie tutaj był, nie odważyłaby się z tobą rozmawiać. Zerwał z nią, zanim poprosił cię o rękę. Jeśli ona ma nadzieję, że kiedyś do niej wróci, to bardzo się rozczaruje. Pomyśl logicznie. Przecież żaden mężczyzna nie byłby takim idiotą, żeby zamienić twoje łóżko na jej... - Za czerwienił się, zakłopotany. - Wybacz. Nie powinienem tego mówić...

Cassie wybuchnęła śmiechem i wzięła go pod ramię.

- Ależ powinienes, Harry. Bardzo mi poprawiłeś humor. Dziękuję.

- Vinnie nie jest idiotą - zapewnił. - Możemy już iść na kolację, Cassie?

- Tak - odparła.

Dopiero kiedy znalazła się w swoim łóżku, Cassie uroniła kilka łez. Była głupia, bo pozwoliła, by ten incydent ją zranił! Harry bez wątplenia miał rację. Vincent zachował się jak człowiek honoru i zakończył romans. La Valentina próbowała odzyskać swoją własność. Rozsądek nakazywał ignorować jej złośliwości.

Wróciła pamięcią do chwili utraty torebki. Czy rzeczywiście dostrzegła wtedy pewne podobieństwo mężczyzny do jej brata? Dlatego puściła torebkę. Ale może tylko jej się wydawało?

Oczywiście, że to tylko wyobraźnia. Odwróciła się na drugi bok i zamknęła oczy.

Ostatniego dnia przed wyjazdem na wieś Cassie, lady Longbourne i Sarah wybrały się na zakupy. Cassie udało się nawet

za plecami lady Longbourne kupić dla niej srebrną torebkę wieczorową w podziękowaniu za opiekę. Nagle drgnęła, słysząc, że ktoś się do niej zwraca.

- Panna Thornton? - powiedział głęboki męski głos. - Słyszałem, że wyjechała pani z miasta.

- Nie, wyjeżdżam dopiero jutro - odparła Cassie i zarumieniła się na widok majora Saundersa. - Mam nadzieję, że otrzymał pan zaproszenie na ślub?

- Otrzymałem i wysłałem już podziękowanie. Przyjadę - zapewnił. - Zastanawiałem się... Czy zapadła decyzja, kto poprowadzi panią do ołtarza, panno Thornton? Bo jeśli nie, to pragnąłbym zaofiarować się jako przyjaciel Jacka. A może to nadmiar śmiałości z mojej strony?

Cassie czuła, że się rumieni. Pewnie powinna poprosić o to Kendala, ale do tej pory o tym nie pomyślała.

- Z wdzięcznością przyjmuję pana propozycję, sir - odparła. - Nie mogłabym sobie wymarzyć nikogo lepszego.

- W takim razie przyjadę dzień czy dwa wcześniej - zapowiedział major Saunders. - Mam w okolicy przyjaciół, u których mogę się zatrzymać. Pozwolę sobie wpaść do pani, żeby omówić przygotowania.

- Będzie mi bardzo miło.

Cassie podała mu rękę. Nie myliła się, jego spojrzenie było pełne ciepła. Niewątpliwie bardzo ją lubił.

- Kim jest ten dżentelmen, kochanie? - zapytała po chwili lady Longbourne.

- To major Saunders - wyjaśniła Cassie. - Był przyjacielem Jacka i zaproponował, że poprowadzi mnie do ołtarza. To miło z jego strony, prawda? Obiecał wpaść do nas w przeddzień ślubu, żeby zapoznać się z przygotowaniami.

- Tak, miło - odparła lady Longbourne dość chmurnie. -

Chociaż, gdybyś się nad tym zastanowiła, mogłabyś poprosić o to Harry'ego.

- Przecież on będzie stał przy Vincencie jako družba.

- Carlton mógłby bez trudu znaleźć sobie kogoś innego - oświadczyła lady Longbourne. - No, ale skoro to już postanowione, nic złego przecież się nie stało. - Zerknęła na złoty zegarek, przypięty do sukni. - Chyba powinniśmy już wracać do domu...

W dwadzieścia minut później były już w holu londyńskiej rezydencji lorda Carltona. Cassie zdjęła czepek i rękawiczki i podała je pani Dorkins.

- Jego lordowska mość pytał o panią, panno Thornton - zawiadomiła gospodyni. - Prosił, żeby była pani tak dobra i zaraz po przyjściu do domu zajrzała do jego gabinetu.

- Dziękuję - rzuciła Cassie. - Od razu do niego pójde.

Zostawiła Sarah zatopioną w rozmowie z lady Longbourne i poszła do położonego na tyłach domu gabinetu, którego okna wychodziły na ogród. Zapukała, usłyszała zaproszenie i weszła, ale zatrzymała się tuż za progiem. Vincent wyglądał przez okno. Zdążyła zauważyć, że miał na sobie strój do konnej jazdy, zanim odwrócił się i uśmiechnął do niej.

- Wróciłaś, Cassie. Mam nadzieję, że zakupy się udały? Bardzo dziś rześkie powietrze, prawda?

- Było miło - odparła. - Czy można nie lubić zakupów?

- Ale ty chyba lubisz chodzić dla samego chodzenia?

- Wolę spacerować na wsi, szczególnie gdy na żywopłotach utrzymuje się jeszcze rosa, ale i miasto ma do zaoferowania wiele atrakcji, prawda?

- Zawsze uważałem, że najlepiej jest dzielić czas pomiędzy

miasto i wieś - odparł Vincent. - Po ślubie możemy często przyjeżdżać do Londynu, jeśli będziesz miała ochotę.

Wpatrywał się w nią intensywnie. Cassie zarumieniła się i spuściła wzrok. Dlaczego wydawało jej się, że pod tym prostym pytaniem kryje się coś więcej?

- Oczywiście - wymamrotała. - Jeśli się postaramy, to z pewnością uda nam się wypracować odpowiadający nam obojgu model życia.

- Monsieur Marcel mówił, że złożyłaś mu wczoraj wizytę. - Cassie szybko spojrzała na Vincenta, bo dosłyszała w jego głosie jakąś nową nutę. - Przyszedł do gabinetu, żeby jak zwykle omówić całotygodniowe menu. Oświadczył, że moja przyszła żona konsultowała się z nim w sprawie jego wygody. O ile się nie mylę, obiecałaś mu nowy piec czy coś w tym rodzaju?

- Tak. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? - Cassie poczuła się trochę nieswojo. Może był na nią zły, że się wtrąca? - To może być dość kosztowne, ale trzeba dbać, by nasi ludzie byli zadowoleni, nie sądzisz?

- Niewątpliwie. Z największym zadowoleniem pozbędę się domowych obowiązków i w przyszłości wszelkie rozmowy z monsieur Marcelem zrzuć na ciebie. Szczególnie że najwyraźniej je ci z ręki, Cassie. Wyznaję, że jego ataki złego humoru stały się już dla mnie nieco nużące.

- Naprawdę? Niemożliwe! - zawołała Cassie z ulgą, że Vincent droczy się z nią, jak zwykle. Wczorajszy dziwny nastrój zdawał się należeć już do przeszłości. - Myślę, że on czuje się samotny i tęskni za rodakami. Z przyjemnością wezmę na siebie to zadanie. Wiem, że masz wiele spraw na głowie. Zresztą, panowie chętnie powierzają rozstrzygnięcie domowych sporów żonie, zgadza się, sir?

- Musisz zwracać się do mnie „sir”? - zapytał Vincent

z lekką irytacją. - Wolałbym Carlton, jak mnie nazywa mama, albo Vincent.

- Wybacz - szepnęła. - Po ślubie poprawię się, obiecuję.

- Naprawdę? - Nie umiała odczytać jego zagadkowego spojrzenia. - Po ślubie...

- Czy nie wydaje ci się, że nasza obecna sytuacja jest nieco dziwna? - zapytała. - Znamy się już od kilku tygodni, ale nie wiemy o sobie więcej niż na początku. Myślę... wierzę, że to się zmieni, kiedy będziemy mężem i żoną. - Urwała i zerknęła na niego z onieśmieniem. - Czy jesteś tego samego zdania, Carltonie?

- Tak. Nie mogę się już doczekać, byś została moją żoną.

Cassie zadrżała, słysząc ton jego głosu. Zamierzał ją pocałować! Czowała to, czekała bez ruchu. Nagle znalazła się w jego ramionach; przytulił ją mocno i zajrzał jej w oczy. Poczowała lekki dreszcz oczekiwania, kiedy pochylił głowę i dotknął wargami jej ust.

Z początku był to leciutki pocałunek, potem jednak ramiona Vincenta otoczyły ją ciaśniej, a wargi żądały od niej odpowiedzi. Własna reakcja przeraziła ją swoją mocą. O mało nie zemdlą! Taki pocałunek był bardzo, ale to bardzo ekscytujący i całkowicie niepodobny do całusów, którymi obdarzał ją poprzednio. Obudził w niej nieznane doznania, uczucia i tęsknoty, których nie spodziewała się zaznać.

Kiedy Vincent wreszcie ją puścił, nie śmiała na niego spojrzeć, tak była zakłopotana. - Tak - powiedział. - Pobierzemy się, Cassie.

- Oczywiście. Za dziesięć dni, licząc od dziś.

Była zdziwiona. Powiedział to tak, jakby żywił pewne wątpliwości, które teraz zostały rozwiane. - Za dziesięć dni. - Kiwnął głową, jakby się nad czymś

zastanawiał. - Niestety, Cassie, nie będę mógł eskortować was do Longbourne. Muszę natychmiast jechać do Surrey. Wzywają mnie tam pilne sprawy majątkowe. Poprosiłem Harry'ego, żeby wam towarzyszył. Możesz na nim polegać, na pewno dowiezie was bezpiecznie na miejsce.

- Nie możesz zaniedbywać interesów. - Cassie pokryła uśmiechem rozczarowanie. - Cieszę się, że twój brat pojedzie z nami. To ułatwi Sarah wyjazd z Londynu. Ona lubi Harry'ego.

Vincent kiwnął głową.

- Zauważyłem to.

- A gdyby twój brat poprosił Sarah o rękę, lady Longbourne wyraziłaby zgodę? Żeby wszystko było jasne: jeszcze do tego nie doszło. Dowiedziałam się o sympatii Sarah w zaufaniu, nie orientuję się jednak kompletnie w uczuciach Harry'ego.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby jego uczucia były identyczne jak panny Walker. Pewnie ze względu na mamę waha się, czy prosić o rękę dziewczyny pozbawionej majątku. Mama w pierwszej chwili pewnie nie byłaby zachwycona, ale chyba szybko zaczęłaby dostrzegać korzyści - powiedział Vincent. - Sarah jest w głębi serca wiejską dziewczyną, a nie sądzę, by mama miała szybko wrócić do Londynu. - Wyjął z kieszonki złoty zegarek i sprawdził godzinę. - Muszę cię prosić o wybaczenie, kochanie. Spotkamy się na dwa dni przed ślubem.

- Tak, oczywiście. - Zarumieniła się na wspomnienie pocałunku i doznań, które w niej obudził. - Będę na ciebie czekała.

Cassie została jeszcze w gabinecie Vincenta po jego wyjściu. Usiadła przy biurku i spojrzała bezwiednie na menu,

jakie pozostawił monsieur Marcel, podnosiła różne przedmioty i obracała je w palcach. Na ostrzu srebrnego noża do papieru została wygrawerowana inskrypcja. Bez zastanowienia odczytała ją i serce jej się ścisnęło, kiedy zrozumiała, że to urodzinowy prezent dla Vincenta od „Twojego przyjaciela Jacka”.

- Jack... - szepnęła przez ściśnięte gardło. - Jack...

Łzy zamgłyły wzrok Cassie. Zaczęła mrugać powiekami, żeby je powstrzymać. Ciekawe. Nie potrafiła wytłumaczyć uczucia, którego doznała tego dnia, gdy została skradziona jej torebka. Była zdecydowana nie dać jej sobie odebrać, ale kiedy spojrzała w oczy żołnierza, przez krótką chwilę myślała, że to Jack.

A przecież to niemożliwe. Na pewno niemożliwe! Ten człowiek był znacznie starszy od jej brata. Miał szramę na policzku i długie siwe włosy. Ale oczy... takie same jak Jacka. Na pewno nie mogła się mylić. Znała te oczy równie dobrze jak własne.

Od tamtego dnia powtarzała sobie ciągle, że musiała ulec złudzeniu, a jednak ugruntowało się w niej przekonanie, że na pewno nie popełniła błędu. Oczy tamtego starego żołnierza to były oczy Jacka.

Ale jak to możliwe? Przecież jej brat zginął.

Gdyby nawet Jack nie poległ na polu chwały, dlaczego nie przyjechał wprost do niej, do domu? Dlaczego nie zgłosił się po swoje dziedzictwo?

Och, to szaleństwo!

Wiedziała, że człowiek, który wyrwał jej torebkę, w żaden sposób nie mógł być jej bratem. A jednak ten właśnie człowiek śledził ją w Londynie, szukał sposobności, by się do niej zbliżyć. Była też niemal pewna, że widziała go podczas star-

tu balonu. Wtedy, kiedy wydawało jej się, że słyszy głos brata, wołający jej imię. „Cassie, jesteś mi potrzebna... potrzebuję twojej pomocy”.

Czy jej brat stał tam w tłumie gapiów? Czy próbował do niej podejść?

Przypomniała sobie, że usłyszała ten głos, a zaraz potem zerwała się lina, wybuchła panika i Vincent złapał ją za rękę, a następnie zaprowadził do Sarah i Harry'ego.

Stary żołnierz był tam również tamtego popołudnia. Widziała, jak schował się przed deszczem i wysoko podciągnął kołnierz sfatygowanego płaszcza, aż po same uszy. Czy to na pewno ten sam człowiek? Była niemal pewna.

Czy to mógł być jej brat?

Miał oczy Jacka. Blizna mogła być pamiątką po bitwie, ale skąd siwe włosy i zaawansowany wiek?

Aktorzy na scenie dodają sobie lat, malując twarze, a siwa peruka sprawia, że każdy wygląda starzej.

To dałoby się zrobić, uznała. Jeśli Jack postanowił się zamaskować, by ukryć swą tożsamość, mógł zmienić wygląd, ale nie oczy!

- Dlaczego, Jack? - szepnęła do siebie, siedząc w fotelu Vincenta i bawiąc się nożem, który jej brat ofiarował przyjacielowi. - Dlaczego wyrwałeś mi torebkę? Oddałabym ci ją dobrowolnie. Podzieliłabym się z tobą wszystkim, co mam. Chyba wiesz o tym? Musisz o tym wiedzieć!

Cassie niczego nie pragnęła bardziej, jak mieć przy sobie ukochanego brata, podzielić się z nim majątkiem. Jack z pewnością zdaje sobie z tego sprawę, więc dlaczego nie przyjdzie do niej otwarcie?

Jeżeli to był Jack - choć najprawdopodobniej uczepiła się po prostu tej nadziei, jak tonący, który brzytwy się chwyta -

ale jeżeli, to dlaczego występował w przebraniu? Dlaczego nie chciał się ujawnić wobec siostry i przyjaciół?

Jedynym powodem, który przychodził jej do głowy, było to, że wpakował się w poważne tarapaty...

Ten wieczór wydawał jej się okropnie nudny. Usiedli do obiadu tylko we czwórkę, a sir Harry wyszedł natychmiast po posiłku, nie podając żadnych powodów swojego zniknięcia.

- Jak cudownie spędzić spokojny wieczór w domowym zaciszu - stwierdziła lady Longbourne z westchnieniem, wyciągając się leniwie na kanapie. - Zagrasz nam coś, Sarah? Masz takie wspaniałe uderzenie. Tylko coś spokojnego, jeśli łaska, kochanie.

Sarah wybrała smętną, melancholijną melodię, pasującą do jej nastroju. Cassie dostrzegła łzy, których przyjaciółka nie potrafiła ukryć. Sama również była podminowana. Podeszła do okna i zauważyła, że zaczęło padać. Dawniej chciała jedynie wygodnego związku, podobnego do małżeństwa jej rodziców, ale teraz zaczynała tęsknić za czymś całkiem innym.

Carlton wybrał najgorszy moment, by ją zostawić. Czy jakiegokolwiek interesy mogą być ważniejsze od przyszłości ich związku? Zakładając, że naprawdę wyjechał w interesach...

Zalęgła się w jej głowie paskudna myśl. Dżentelmeni nie zawsze mówią prawdę żonom i ukochanym. Interesy Carltona mogły się okazać wyścigami w Newmarket czy walką bokserską albo schadzką z kochanką.

Nie, nie! W to ostatnie nie uwierzy! Zazdrość wgryzła się jednak w jej serce tak głęboko, że mimowolnie wydała bolesne westchnienie.

- Coś się stało, kochanie?

Cassie starała się unikać badawczego wzroku lady Longbourne.

- Nie - skłamała. - Chyba jestem trochę zmęczona.

- Nic dziwnego. Za mało wypoczywałaś. Stale gdzieś chodziliśmy, nie bacząc na twoje zdrowie. - Lady Longbourne ziewnęła, zakrywając dłonią usta. - Już po dziewiątej, moje drogie. Może darujemy sobie dzisiaj wieczorną herbatę i wcześniej pójdziemy spać?

Wszystkie trzy panie zgodnie postanowiły położyć się do łóżek, Cassie wiedziała jednak, że nie zaśnie, postanowiła więc wziąć jakąś książkę z gabinetu Carltona. Przez kilka minut przeglądała półki szaf bibliotecznych, w końcu zdecydowała się na mały, oprawny w skórę tomik sonetów Szekspira, który leżał na biurku. Otworzyła zaczytany tomik i zobaczyła, że Carlton założył go w pewnym miejscu źdźbłem słomy.

Dziwne! Uśmiechnęła się, wyobraziwszy sobie, jak Vincent wkłada je pomiędzy kartki z braku lepszej zakładki. Pewnie miał z sobą tę książkę w czasie kampanii we Francji. Kiedy trzymała tomik w rękach, poczuła się tak, jakby znalazł się przy niej Vincent. Przycisnęła książkę do piersi i nagle wróciły do niej ekscytujące odczucia wyczarowane przez jego usta.

- Ot i mam kłopot - mruknęła i z westchnieniem poszła do łóżka.

Droga powrotna - najpierw do Carlton House, gdzie zano-cowały, a następnie do Longbourne - upłynęła bez przeszkód. Nie było zbójów, którzy mogliby je przerazić, ani rodzących na poboczu drogi Cyganek, którym należałoby pomóc.

Z niewyjaśnionych powodów Cassie była skłonna zgodzić się z lady Longbourne, która uważała podróże za ogromnie nużące.

Sir Harry okazywał im równie dużo troski i dbałości jak lord Carlton, ale nic nie było takie samo. Nawet lady Longbourne oświadczyła, że Carlton załatwił dla nich lepsze pokoje w zajeździe, w którym zatrzymali się na jedną noc, i że kolacja była zaledwie znośna po tych delicjach, jakie przygotowywał monsieur Marcel.

Jednak kiedy dojechali na miejsce, wszystko zaczęło przybierać lepszy obrót. Po wyjeździe poprzednich dzierżawców na ekspedycję archeologiczną do Grecji, sir Harry postanowił nie wynajmować już rezydencji. Nie uprzedzając o tym nikogo, zmodernizował i wyremontował dom.

- Och, Harry! - zawołała z zachwytem matka. - Wreszcie będzie tu wygodnie. Teraz Longbourne może w powodzeniu rywalizować z domem Carltona.

Harry był wyraźnie z siebie zadowolony.

- Cieszę się, że ci się podoba, mamó. Ja... pewnie w przyszłości będę spędzał więcej czasu na wsi i naturalnie liczę na to, że od czasu do czasu przyjedziesz do mnie z wizytą.

- Oczywiście, kochany! - zapewniła lady Longbourne. - Jaki z ciebie dobry syn, że zadałeś sobie tyle trudu.

Na twarzy Harryego odmalowało się poczucie winy, ale nie zaprzeczył, że podjął te wysiłki jedynie w celu zadowolenia matki.

Cassie uznała jednak, że - jakkolwiek był kochającym synem - to mało prawdopodobne, by zdobył się na znaczny wysiłek bez innych, bardziej osobistych powodów. Czyżby sir Harry zaczął myśleć o małżeństwie? A jeżeli tak, to z kim chciał się ożenić?

Sarah nie wyglądała na dziewczynę, ukrywającą radosną tajemnicę. Prawdę mówiąc, wyglądała raczej na osobę na skraju depresji.

Cassie nie zdziwiła się zbytnio, gdy następnego dnia po przyjeździe przyjaciółka powiedziała, że musi wracać do domu, na plebanię.

- A myślałam, że zostaniesz ze mną do ślubu! - zawołała Cassie. - Proszę, nie zostawiaj mnie jeszcze.

Sarah dała się przekonać, ale koniecznie chciała odwiedzić rodziców. Cassie zgodziła się, a ponieważ była piękna pogoda, postanowiły pójść na piechotę.

- Długi spacer dobrze nam zrobi - stwierdziła Cassie. - Wejdę przywitać się z twoimi rodzicami, Sarah, a potem odwiedzę nianię Robinson. I razem wrócimy do domu.

Pani Walker powitała córkę serdecznym uściskiem. Nie chciała nawet słyszeć, by Cassie wyszła, nie wypiwszy szklanceczki domowego wina malinowego i nie skosztowawszy kawałka ciasta. Upłynęło więc co najmniej pół godziny, zanim wyruszyła do domku niani.

Stara niania uśmiechnęła się na widok Cassie, przyjęła kosz drobnych upominków i zaczęła ją wypytywać o zbliżające się małżeństwo.

- Dobrze pamiętam jego lordowską mość - oświadczyła z błyskiem w oczach. - On i pan Jack bez przerwy mieli jakieś psoty w głowie.

- Tak, byli najlepszymi przyjaciółmi.

- A teraz masz poślubić lorda Carltona. - Niania Robinson z satysfakcją kiwnęła głową.

Cassie milczała przez chwilę, wreszcie zapytała:

- Nadal masz rzeczy Jacka? W kufrach, które ci przysłałam?

- Zmagazynowałam je w stodole. Ostatnio tam nie zaglądałam, ale na pewno stoją.

- Przyślę po nie, jak tylko pojedziemy do Carlton House.
- Jak sobie życzysz, Cassandro. Nic dobrego nie wyniknie z takiego czepiania się przeszłości, moja droga.
- Nie mogłabym nikomu ich oddać.
- To oczywiste.

Na tym zamknęły ten temat. Pogawędziły jeszcze przez pół godziny, wreszcie nadszedł czas powrotu na plebanię. Droga biegła obok alei wjazdowej do Thornton House. Cassie zerknęła na widoczny pomiędzy drzewami dom, ale nie kuśiło jej, by go odwiedzić. Już miała minąć wjazd, gdy usłyszała swoje imię. Odwróciła się i dostrzegła zbliżającego się ku niej z pośpiechem sir Kendala.

Był w stroju do konnej jazdy; na wsi wydawał się bardziej na miejscu niż w Londynie. Cassie najchętniej uniknęłaby spotkania, ucieczka byłaby jednak z jej strony wyjątkowym nietaktem.

- Wybierałem się właśnie do pani z wizytą - oznajmił zdyszany. - Przykro mi, ale muszę pani przekazać niemiłą wiadomość, Cassandro. Zapewne przysporzy ona pani bólu.

Spojrzała na niego z obawą.

- Co pan ma na myśli, sir?
- Kiedy przyjechałem do majątku pani zmarłego ojca, zamierzałem zaopiekować się panią. I choć postanowiła pani myśleć o mnie jak najgorzej, poprosiłem panią o rękę, bo nie wydawało mi się słuszne, by została pani wyrzucona z własnego domu.

Cassie zaczerwieniła się ze wstydu. Zrozumiała, że - pomimo swych irytujących manier i bezmyślności, z jaką zaproponował jej małżeństwo tuż po śmierci brata - miał dobre intencje. Nigdy właściwie nie dała mu szansy wytłumaczenia się.

- Źle pana osądziłam - przyznała. - Proszę wybaczyć, jeśli byłam nieuprzejma.

- Dobrze, nie musimy więcej o tym rozmawiać - powiedział sir Kendal. - Jego lordowska mość zapewnił mnie, że nie powinienem się niepokoić o pani przyszłość, nie pozostaje mi więc nic innego, jak życzyć pani szczęścia, co niniejszym czynię.

- Dziękuję, sir. Jest pan bardzo dobry.

Jakież to żalosne! Nadal nie potrafiła go polubić, choć rozumiała, że Vincent miał rację, nalegając, by jednak wysłała mu zaproszenie.

- Naturalnie przyjadę na pani ślub - ciągnął sir Kendal. - Najpierw jednak muszę pani przekazać wstrząsające informacje... - Urwał, żeby przydać ważności następnym słowom. - Było włamanie do Thornton House.

- Włamanie? - Cassie osłupiała. - To straszne! Ktoś został ranny?

- Na szczęście nikt nie ucierpiał. Osobiście spłoszyłem rabusia, bo usłyszałem hałas. Mam bardzo lekki sen, Cassandro. Gdybym nie zszedł sprawdzić, co się dzieje, straty mogły być znacznie poważniejsze. A tak została zabrana tylko para pistoletów pani ojca i srebrny kufel do piwa.

- Para pistoletów? - Cassie wytrzeszczyła na niego oczy. - A tak, przypominam je sobie. Tata nigdy ich nie używał, bo twierdził, że bywają zawodne. Złodziej pewnie będzie bardzo rozczarowany, że zdobył tak niewiele.

- Nie miały dla pani wartości sentymentalnej? - Sir Kendalowi wyraźnie ulżyło. - Bardzo się cieszę. Obawiałem się, że będzie pani miała pretensję, iż nie zadbałem należycie o majątek pani ojca. Mało prawdopodobne, bym się ożenił, więc Thornton House wróci pewnego dnia do pani

syna, Cassandro, i nie chciałbym, by oskarżyła mnie pani o zaniedbania.

Cassie poczuła się wzruszona jego troską. Najwyraźniej nie był jednak taki obrzydliwy.

- Nie! - zwołała. - Może pan robić z tym majątkiem, co pan zechce, Kendalu. Nie będę pana o nic obwiniać. Był pan bardzo dzielny, wyruszając sam w środku nocy, żeby sprawdzić, co się dzieje. Gdyby to się zdarzyło, kiedy tu sama mieszkałam, schowałabym głowę pod kołdrę.

Nie zrobiłaby tego, oczywiście, próbowała jednak odrobić swą poprzednią nieuprzejmość.

- Cóż, jeśli o to chodzi, to miałem z sobą garłacza i wypaliłem z niego przez okno do tego rabusia.

- Widział go pan?

- Twarzy nie, tylko oddalającą się sylwetkę. Wyglądał mi na starego żołnierza w zniszczonym płaszczu przeciwdeszczowym.

Cassie ścisnęło się serce. Zaszło jej w ustach i przez chwilę nie mogła wykrztusić ani słowa.

- Czy... trafił go pan?

- Wątpię - odparł Kendal z żalem. - Był bardzo zwinny. Łotr! Tacy jak on zasługują na stryczek.

- Pewnie był w rozpaczy - stwierdziła Cassie, nie mając odwagi przyznać, co jej naprawdę chodziło po głowie. - Musiał być zdesperowany, skoro włamał się do domu.

- Chyba nieprędko spróbuje ponownie - oświadczył sir Kendal z błyskiem satysfakcji w oczach. - Wie, że nie zważam się go zastrzelić.

Cassie wymamrotała jakiś komplement, choć nie bardzo wiedziała, co mówi. Kiedy się rozstali, myśli kłębiły jej się w głowie.

Czy stary żołnierz, który jej wyrwał torebkę, i intruz, który włamał się do Thornton House, to jedna i ta sama osoba? Byłby to naprawdę dziwny zbieg okoliczności!

Chyba że ten człowiek to sir John Thornton. Jej brat Jack!

Cassie poczuła przyływ nadziei. Jack żyje! Nagle nabrała co do tego takiej pewności, że chciało jej się krzyczeć z radości.

Jack nie zginął we Francji. Był tu, w Anglii, może gdzieś w pobliżu. Obejrzała się przez ramię, jakby spodziewała się, że brat ją śledzi, choć wiedziała, że teraz go tu nie ma, bo nie wyczuwała jego obecności. Na pewno przyjechał, żeby włamać się do domu, bo bardzo potrzebował pieniędzy.

Cassie przypomniała sobie, że wielokrotnie czuła, iż Jack pragnie się z nią skontaktować. Raz wydawało jej się, że ktoś ją śledzi w lasach Carlton, ale wtedy znalazła zapłakaną Tare. Potem słyszała głos Jacka podczas startu balonu, lecz przyszedł Vincent i ją stamtąd zabrał. I ten incydent z torebką... Brat był już tak zdesperowany, że musiał okraść siostrę.

- Dlaczego, Jack? - szepnęła do siebie. - Dlaczego do mnie nie przyjdiesz? Dlaczego kradniesz pistolety taty, skoro należą do ciebie?

Cassie była już absolutnie pewna, że jej brat żyje, ale ma poważne kłopoty. Najwyraźniej bał się ujawnić przed nią lub wobec przyjaciół. To jedyne możliwe wyjaśnienie takiego zachowania.

- Jack - powiedziała, rozpaczliwie pragnąc, by ją usłyszał. Miała nadzieję przyciągnąć go siłą myśli. - Przyjdź do mnie, kochany. Przyjdź do mnie. Pomogę ci. Przyjdź, a pomogę ci niezależnie od tego, co zrobiłeś.

Nagle Cassie zatęskniła za narzeczonym. Gdyby tylko był przy niej! Jemu mogłaby zwierzyć się ze swych myśli. Choć

na myśl o zbliżającym się ślubie miała w głowie kompletny zamęt, to wiedziała, że Vincent zrozumiałby jej lęki i podzielał podniecenie.

Nikt nie byłby równie szczęśliwy z powrotu Jacka do domu. Na pewno pomógłby jej odnaleźć brata. Był jedynym człowiekiem, któremu naprawdę mogła zaufać...

Rozdział dziewiąty

Cassie zdążyła się opanować, zanim dotarła na plebanię. Sarah czekała na nią, najwyraźniej podniesiona na duchu. Spotkanie z matką dobrze jej zrobiło, w drodze do Longbourne Hall gawędziła radośnie o ślubie Cassie i dzieliła się z przyjaciółką nowinami.

Zbliżyły się do domu i zauważyły staroświecki powóz, który właśnie podjechał pod frontowe wejście. Wysiadł zeń korpulentny dżentelmen. Za nim wyskoczył niewielki piesek, który natychmiast zaczął zapamiętałe ujadać na lokaja, pomagającego wysiąść wysokiej, chudej kobiecie i piegowatemu, mniej więcej dziewięcioletniemu chłopcu.

- Kto to może być? - zapytała Cassie, po czym spojrzała na Sarah i obie wybuchnęły śmiechem. - Jak sądzisz, czy to przerażający Septimus?

-I obrzydliwy Archie! - zawołała Sarah i klasnęła w dłonie. - Musimy się pośpieszyć, żeby wesprzeć nieszczęsną lady Longbourne. Miała nadzieję, że nie zjawią się wcześniej niż za dwa dni.

Kiedy w kilka minut później weszły do domu, przestronny hol był już zawalony stertami bagaży. Należało zatem wnosić,

że sir Septimus i jego rodzina zaplanowali znacznie dłuższą wizytę niż tylko pozostający do ślubu tydzień.

- Wygląda na to, że zamierzają zostać co najmniej przez miesiąc - szepnęła Cassie, prowokując nieszczęsną Sarah do chichotu, który bezskutecznie próbowała stłumić. - Biedna lady Longbourne.

Sir Septimus głośno wydawał dyspozycje dotyczące bagaży, kiedy zauważył Cassie i Sarah. Prysłła nadzieja na ucieczkę.

- Pewnie jedna z pań jest panną Thornton? - spytał, taksując je wzrokiem ze źle skrywaną dezaprobatą.

- Jestem Cassandra Thornton, sir. - Cassie dumnie uniosła głowę i podeszła, żeby mu podać rękę. Znała jego reputację, ale nie należała do tchórzliwych i nie zamierzała dać mu się zastraszyć. - A pan, jak sądzę, jest stryjem Carltona, Septimusem?

- Słyszałem, że jest pani prostą i rozsądną dziewczyną. Ujdzie pani, pozwolę sobie zauważyć. Najwyższy czas, by Carlton spełnił swój obowiązek względem rodziny. Bałem się, że poślubi jakąś wiotką sylfidę, nienadającą się na matkę. Pani wygląda mi na osobę zdolną do urodzenia dziedzica. Czas nagli.

Cassie nie wiedziała, czy powinna uznać te słowa za komplement. To był bez wątpienia najbardziej bezpośredni człowiek, jakiego w życiu spotkała.

- Mam nadzieję spełnić wszelkie oczekiwania męża - odparła i zwróciła się ku rodzinie wuja Septimusa, którzy właśnie nadeszli.

- Lady Felicity i nasza latorośl - przedstawił sir Septimus, spoglądając koso na żonę. - Zostawię was, żebyście mogły zawrzeć znajomość. Gdzie ten cholerny kamerdyner? Czy w domu Emmeline nigdy nic nie jest odpowiednio przygotowane?

Pił, oczywiście, do swej byłej bratowej. Cassie zrozumiała natychmiast, dlaczego lady Longbourne żyła w strachu przed jego odwiedzinami. Jego donośny głos niewątpliwie przyprawi ją o ból głowy.

- O ile się nie mylę, spodziewano się pana najwcześniej jutro - wyjaśniła Cassie. - Jestem pewna, że wypowiadam tu zdanie samej lady Longbourne: niewątpliwie jest pan jak najserdeczniej witany, kiedy tylko przyjdzie panu chęć na wizytę. Jeśli będą państwo tak dobrzy i przejdą do zielonego salonu, to polecę niezwłocznie przynieść tam państwu coś do przegryzienia.

- A co z tym? - Sir Septimus wskazał sterty bagaży.

- Jestem przekonana, że służba sprawniej upora się z tym sama, sir. Pan, naturalnie, chciałby pomóc, ale wydaje mi się, że lady Felicity jest wyczerpana podróżą i wolałaby już odpocząć.

- Tak, chciałabym - oznajmiła wspomniana dama, piorunując męża wzrokiem i ustawiła syna przed sobą. - Archie, powiedz dzień dobry pannie Thornton.

Chłopiec wyciągnął przed siebie podejrzanie lepką rękę. Cassie uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek, który wydawał się nieco bardziej zachęcający. Pocałowała również lady Felicity, po czym bardzo stanowczo wskazała gościom frontowy salon. W tym momencie pojawił się kamerdyner sir Harry'ego z kilkoma młodymi osiłkami i zaczął dyrygować wnoszeniem bagaży. Sir Septimus, który nagle doszedł do wniosku, że jego obecność przy poczęstunku jest absolutnie niezbędna, podążył za synem.

Cassie osobiście zadbała o zaspokojenie potrzeb gości i wkrótce zanesiono im tacę z winem wiśniowym, biszkoptami i owocami kandyzowanymi. Kiedy więc w kilka minut

później przybyła najwyraźniej podenerwowana lady Longbourne, przekonała się, że nie musi już nic robić poza ucałowaniem krewnych i usadowieniem się ze szklaneczką wina.

- Wybaczcie, że nie powitałam was osobiście na dole - powiedziała cicho. - Tyle było do zrobienia, a ja... odpoczywałam.

- Moim zdaniem, masz za mało ruchu - skomentował sir Septimus z marsem na twarzy. - Dobrze by ci zrobiła jazda konna i polowania, wzorem Felicity. - Spojrzał na żonę, która, Cassie nie mogła oprzeć się temu porównaniu, sama przypominała konia ze swym długim nosem i wydatnymi zębami. - Weź się w garść, Emmeline.

- Ostatnie tygodnie były dla biednej lady Longbourne bardzo wyczerpujące - wtrąciła się Cassie, żeby ją ratować.

- Byłyśmy chyba wszędzie. Na balu u księcia Devonshire panował taki tłok! Nic dziwnego, że potrzebujemy czasu, żeby ochłonać.

Sir Septimus przeniósł na nią przenikliwe spojrzenie. Wyczuł w niej trudniejszego przeciwnika.

- Nie pochwalam tego ciągłego szwendania się po mieście. Nie mam na to czasu, Felicity też. I za drogo, no, ale to dla pani żaden problem. Odziedziczyła pani majątek, prawda? - Włączył ten temat do rozmowy jak gladiator, wkraczający na arenę.

- Odziedziczyłam - przyznała Cassie z lekkim uśmiechem, przygotowując się do wydania bitwy. - Rzeczywiście nie przywiązuję wagi do wydatków. Pieniądze są takie nudne, nie sądzi pan? Człowiek albo ich nie ma, co jest powodem do zmartwienia, albo ma ich mnóstwo, a wówczas nie ma powodu o nich myśleć.

Lady Longbourne aż sapnęła z podziwu. Cassie była taka

odważna! Ona nigdy nie zdobyłaby się na skierowanie przeciwko Septimusowi jego własnej broni i z niemałą satysfakcją stwierdziła, że przynajmniej na chwilę oniemiał.

Pozbierał się jednak i oświadczył z ponurym grymasem.

- Głupota nie idzie w parze z majątkiem.

- Rzeczywiście - odparła Cassie ze swym powalającym na kolana uśmiechem. - Ma pan absolutną rację, sir. Zgadzam się z tą sentencją bez zastrzeżeń, ale istnieje przecież różnica pomiędzy wydawaniem pieniędzy na przyjemności swoje i przyjaciół, a wyrzucaniem ich w błoto. Nie lubię tracić pieniędzy, oczywiście. Ale chowanie ich w skarpecie jest żałosne! Nie ma chyba nic bardziej śmiesznego. Jestem pewna, że żaden rozumny człowiek nie zmarnuje życiowych okazji z tak smętnego powodu.

Nieświadomie Cassie wytknęła sir Septimusowi jego największy grzech. Nie był on tak bogaty jak Carlton, odziedziczył jednak majątek, z którego czerpał dochody wystarczające na wygodne życie dla niego i jego rodziny. Żył jednak w stałym lęku przed ubóstwem i nigdy nie wydał niepotrzebnie nawet jednego pensa.

- Pens zaoszczędzony to pens zarobiony. - Patrzył na Cassie tak, jakby chciał ją sprowokować do sprzeciwu, ale ostrzegawcze spojrzenie lady Longbourne uratowało ten dzień.

- Niewątpliwie ma pan rację, sir - stwierdziła Cassie. - Myślę, że pokoje lady Felicity powinny już być gotowe.

- O, na pewno! - zawołała lady Longbourne i wstała pośpiesznie. Wyczuwała nadciągającą burzę, a czuła się stanowczo zbyt słabo, by stawić jej czoło. - Proszę, chodź na górę, Felicity, na pewno chciałabyś odpocząć po wyczerpującej podróży.

Cassie przeprosiła i też wyszła, zostawiając sir Septimusa

z synem, który przez cały czas wyjadał migdały w cukrze i właśnie zaczął się robić z lekka zielonkawym.

- Zemdliło cię, Archie, wyjdź na zewnątrz - polecił ojciec.
- Wynoś się z pokoju, bo mam powyżej uszu twojego widoku. I zabierz z sobą tego żalostnego psa! Nie wiem, dlaczego twoja matka chciała mieć takie skomlące stworzenie. Przez całą drogę musiałem je znosić, ale nie zamierzam go tolerować ani chwili dłużej!

Cassie wbiegła po schodach, zanim Septimus bądź jego syn zdążyli ją zatrzymać. Byli naprawdę okropni. Kendal wydawał się przy nich całkiem miłym człowiekiem, uznała.

Przypomniała sobie, o czym powiedział jej kuzyn, i zmarszczyła czoło. Czy nie nazbyt pochopnie wyciągnęła wnioski? Nie powinna budować wielkich oczekiwań na własnych domysłach.

Gdyby tylko był przy niej ktoś, z kim mogłaby o tym porozmawiać.

Cassie uświadomiła sobie, że jedyną osobą, której mogłaby się z tego zwierzyć, jest Vincent. Zaczęła na nim polegać, uwierzyła, że będzie myślał tak jak ona. Zrozumiała teraz, że powinna już wcześniej podzielić się z nim podejrzeniami; powiedzieć mu o kradzieży torebki.

- Dlaczego cię nie ma, kiedy jesteś mi najbardziej potrzebny? - szepnęła do siebie, zmieniając pospiesznie suknię przed lunchem. - Tęsknię za tobą, tak bym chciała, żebyś już przyjechał.

Vincent z westchnieniem zamknął księgi rachunkowe, nad którymi ślęczał w gabinecie w Hamilton Manor godzinami, sam nie wiedząc dlaczego. Miał wyjątkowo sprawnego i uczciwego zarządcę, ale nabrał tego zwyczaju w okresie, gdy musiał

oszczędzać każdego pensa, by oddalić widmo ruiny od siebie i swojej rodziny.

Agenci i zarządcy, których pieczy powierzono po śmierci jego ojca dobra Carltonów do czasu osiągnięcia przez Vincenta pełnoletności, omal nie doprowadzili go do bankructwa i trzeba było ogromnego wysiłku i niebagatelnych zdolności, żeby postawić majątek na odpowiednim poziomie. A i tak wątpił, by mu się udało tego dokonać, gdyby nie odziedziczył po dziadku ze strony matki dóbr rodowych Hamiltonów. Latami nabywał coraz więcej ziemi i budował fortunę dzięki starannej gospodarce rolnej i korzystnym inwestycjom, teraz więc mógł spocząć na laurach i cieszyć się życiem.

Jednego był pewien: kiedy jego syn obejmie po nim spuściznę, widmo bankructwa nie zajrzy mu w oczy.

Jego syn. Wargi Vincenta wygięły się w uśmiechu, kiedy przypomniał sobie, jak wszedł do sypialni Cassie i zobaczył ją tulącą w ramionach tę biedną Tarę. Zrozumiał wówczas, że chciałby zobaczyć własne dziecko - syna - w jej objęciach.

- Sentymentalny głupiec - powiedział głośno, wstał zza biurka i podszedł do stojącego pod ścianą kredensu, żeby na lać sobie szklaneczkę brandy. Noc była ciepła i zostawił otwarte okno, żeby wpuścić do gabinetu świeże powietrze. - Ona cię wcale nie kocha, bo i za co? Chce tylko wygodnego małżeństwa.

Zaalarmował go szelest za oknem. Wyczuł, że nie jest sam.

- Zostań tam, gdzie stoisz - rozkazał męski głos. - Mam w rękach parę wycelowanych w ciebie pistoletów i przysięgam na Boga, że w razie konieczności jestem gotów zrobić z nich użytek.

Vincenta przeszył dreszcz. Chyba oszalał! Musiał oszaleć.

Ten głos... to niemożliwe. Jack zginął, i to z jego winy. Nie mógł przeżyć takich obrażeń.

- Jack... - Vincent odwrócił się powoli i zbladł na widok stojącego w oknie mężczyzny. Dwa staroświeckie pistolety do pojedynków były wycelowane w jego pierś, naładowane i gotowe do użycia. - Wielkie nieba, człowieku! To nie możesz być ty. Ty poległeś. Widziałem krew, tryskającą z rany na twojej głowie. To był śmiertelny postrzał. Byłem pewien, że nie żyjesz.

- Mało brakowało. - Oczy Jacka zabłyśły gniewnie. - Aż dziw, że nie umarłem, tak mi pomogłeś, Vinnie. Zostawiłeś mnie na pewną śmierć. Wciągnąłeś mnie w tę przeklętą zasadzkę, a potem zostawiłeś na pastwę losu.

- Nie! To nie było tak! - zawołał Vincent ochryple. Poczucie winy, żal i rozpacz, które tliły się w nim od miesięcy, rozpały się teraz gwałtownym płomieniem. - Kiedy cię znalazłem, byłeś przerażony, gotów zdezerterować. Nie mogłem do tego dopuścić. Nie mogłem ci pozwolić uciec z pola bitwy. Musiałem cię zmusić, byś wrócił do szeregów i stawił czoło nieprzyjacielowi. Gdybym tego nie zrobił, nigdy byś mi tego nie wybaczył. Ani sobie.

- Groziłeś, że własnoręcznie mnie zastrzelisz, jeśli nie pójde z tobą - przypomniał Jack. - Wciągnąłeś mnie w zasadzkę i zostawiłeś na pastwę losu.

- Myślałem, że nie żyjesz! - zawołał Vincent. - Zostałem wysłany przez Wellingtona z ważną misją. Kazał mi wziąć któregoś z moich ludzi, żeby mnie osłaniał. Nie miałem prawa zatrzymać się, kiedy padłeś. Gdybym został, żeby sprawdzić, czy żyjesz, mógłbym zginąć, a wówczas wiezione przeze mnie dokumenty wpadłyby w ręce wroga. - Odwrócił się, żeby ukryć targające nim emocje. - Wielkie nieba! Czy myślisz,

że nie przeżywałem od tego czasu prawdziwego piekła? Tysiące razy zarzucałem sobie, że zmusiłem cię, byś poszedł ze mną. Po zakończeniu walk wróciłem, żeby cię odnaleźć. Szukałem cię całymi dniami. Byłem we wszystkich szpitalach polowych, w klasztorach, kościołach, we wszystkich miejscach, gdzie zwożono rannych. Przeglądałem listy zabitych i rannych. Nigdzie nie znalazłem najmniejszego śladu po tobie.

- Nie mogło być śladu - odparł Jack, którego napięcie zaczynało powoli opuszczać, w miarę jak docierało do niego to, co mówił Vincent. - Znalazła mnie Louise. Widocznie poruszyłem palcem, kiedy miano mnie wrzucić na wóz z zabitymi, i doszła do wniosku, że jeszcze żyję. Zabrała mnie do własnego domu. Zapewniam cię, byłem bliższy śmierci niż życia, a kiedy wreszcie po kilku tygodniach doszedłem do siebie, nie wiedziałem, kim jestem. Całkowicie straciłem pamięć. Nie umiałem chodzić ani mówić, chociaż nie byłem sparaliżowany. Musiałem od nowa uczyć się wszystkich funkcji życiowych jak niemowlę. Gdyby nie ta anielska istota...

- Louise? Francuzka? - Vincent uniósł brwi. - Zabrała cię do siebie i pielęgnowała, aż wyzdrowiałeś? Z tego co słyszałem, to bardziej prawdopodobne było, że dobiją cię strzałem w serce.

- Louise nie jest taka, pomagała wszystkim, którym mogła. Karmiła mnie, kąpała, uczyła chodzić. To anioł, Vinnie. - Jack wszedł do pokoju i zdjął kapelusz. Miał krótkie włosy, jakby niedawno zostały ogolone do gołej skóry, a w okolicy skroni wyraźnie rysowała się głęboka blizna i wgłębienie w czaszce, która zdołała jednak uchronić mózg przed kulą. Uśmiechnął się na widok osłupiałej miny Vincenta. - Powiedziano mi, że włosy odrosną, ale siwe na skutek szoku. Kiedy człowiek ociera się o śmierć, dzieją się z nim dziwne rzeczy. Przez pewien czas byłem chyba na granicy szaleństwa.

Vincent spojrzał Jackowi w oczy i dostrzegł, że pod zewnętrzną powłoką starego człowieka, kryje się jego dawny przyjaciel, który był mu tak bardzo bliski.

- Wyglądasz okropnie - stwierdził szorstko, żeby ukryć wzruszenie. - I ten strój... zostałeś włóczęgą?

- Sypiam pod gołym niebem, czasami głoduję. Wróciłem mniej więcej sześć tygodni temu - odparł Jack. - Louise dała mi wszystko, co mogła, ale prawie nic nie ma, biedactwo. Chciałem spotkać się z Cassie zaraz po powrocie. Prawdę mówiąc, pewnej nocy podszedłem nawet pod dom, a ona wyjrzała przez okno. Pewnie wyczuła moją obecność, ale kiedy ją zobaczyłem, straciłem odwagę.

- Dlaczego? Przecież musiałeś wiedzieć, jak bardzo ucieszyłaby się na twój widok. Miesiącami rozpaczała po tobie. Dotąd nie doszła całkiem do siebie, choć próbuje odbudować swoje życie.

- Bałem się pokazać jej na oczy w takim stanie - powiedział Jack. - Pewnie uznałaby mnie za oszusta.

- Za dobrze znasz Cassie, żeby tak sądzić - odparł Vincent.
- Jaka była prawdziwa przyczyna?

- Dlaczego próbowałeś mnie zastrzelić przez miesiąc? - Jack odpowiedział pytaniem na pytanie. - Kiedy nie zdobyłem się na to, by stanąć przed Cassie, przyszedłem do Carlton House. Spacerowała samotnie po twoich lasach. Pewnego razu za nią poszedłem. Już nawet miałem się do niej odezwać, ale wycofałem się, gdy znalazła zapłakaną dziewczynkę. Postanowiłem więc podążać za wami do Londynu...

- To byłeś ty? - Vincent patrzył na niego z niedowierzaniem. - Dlaczego skradałeś się za drzewami? Uznałem cię za zwykłego rzezimieszka!

- Zostałem sprowadzony do tej roli. - Jack zrobił kwaśną

minę i opuścił pistolety, a potem położył je na biurku. - Nie są naładowane. Ojciec powtarzał, że to śmiercionośna broń. Nie sięgnąłbym po nie, gdyby ten idiota Kendal na mnie nie wypadł. Szukałem przyzwoitego ubrania, ale Cassie musiała wyrzucić wszystkie moje rzeczy.

- Oddała je niani Robinson na przechowanie - wyjaśnił Vincent.
- Nie chciała, żeby Kendal położył łapę na jakiegokolwiek rzeczy, która należała do ciebie.

- To do niej podobne! - Jack roześmiał się z wyraźną ulgą, że siostra nie wyrzuciła jego własności. - Byłem trochę podłamany, kiedy wpadło mi do głowy, że nie mogła już się doczekać, żeby pozbyć się moich rzeczy. Poczuję się tak, jakby mnie całkiem wyrzuciła z pamięci.

- O nie! - zwołał Vincent. - Nie zapomniała. Kilka tygodni temu powiedziała mi, że do niej wróciłeś. Wielkie nieba! Miała rację! Pewnie właśnie wtedy pamięć zaczęła ci funkcjonować, prawda? Kilka tygodni temu?

- Tak. - Jack uśmiechnął się z ulgą. - Wracała mi we fragmentach, w ułamkach, aż nagle przypomniałem sobie wszystko i zapragnąłem, by Cassie o mnie pomyślała. Do tego czasu właściwie nie poświęciłem jej żadnej myśli. Kiedy wróciła mi pamięć, Louise powiedziała, że muszę pojechać do domu. Wzbraniałem się, ale naciskała. Twierdziła, że powinienem przynajmniej zawiadomić Cassie, że żyję.

- Na pewno wystąpisz o odzyskanie swojego dziedzictwa? - Vincent spojrzał na niego surowo.

Jack wzruszył ramionami.

- Niewiele tego. Pewnie mógłbym sprzedać dom, ale moje życie jest teraz we Francji, z Louise. - Jego twarz złagodniała, rozjaśnił ją pełen czułości uśmiech. - Mieszka w okropnym, starym *chateau* z babcią, madame Moreau. Dziurawy

dach przecieka i podczas deszczu musimy rozstawiać wiadra na wodę. Z biegiem czasu straciły prawie cały majątek poza przyzwoitą małą farmą i winnicą. Kiedy zacząłem odzyskiwać siły, ale jeszcze nie wiedziałem, kim jestem, pracowałem przy winogronach. To dobra, satysfakcjonująca praca, Vinnie. Wydaje mi się, że mógłbym tam być szczęśliwy. Zresztą Louise nigdy nie porzuciłaby tego wszystkiego, by zamieszkać w Anglii, a ja ją kocham.

- A jeśli po latach zmienisz zdanie? - zapytał Vincent ze zmarszczonym czołem. - Musisz też wziąć pod uwagę swoją rodzinę. Cassie...

- Da sobie radę - stwierdził Jack. - Zawsze potrafiła się ze wszystkim uporać. Wróciłem tylko, by się upewnić. Kiedy przekonałem się, że jest z tobą zaręczona, uznałem, że wszystko będzie dobrze. Pomyślałem więc, że spotkam się z tobą i wrócę do Francji. A ty jej powiesz o mnie, kiedy uznasz za stosowne. Możesz też przywieźć ją do nas, kiedy już przygotujesz ją na wstrząs.

- Chcesz wyjechać, nie widząc się z Cassie? - Vincent wpadł w gniew. - Nie, do licha! Nie zrobisz tego! Nie dopuszczę, byś ją tak zranił, Jack. Nie mogę uwierzyć, że coś takiego przyszło ci do głowy.

- Widziałem ją - przyznał Jack. - Parę razy byłem blisko niej, ale ona... No cóż, trudno oczekiwać, że rozpozna we mnie brata, prawda?

- A czy ona wie, że żyjesz?

- Nie jestem pewien. Myślę, że mogła zacząć coś podejrzewać. Kiedy parę dni temu ukradłem jej torebkę, patrzyła na mnie podejrzliwie.

- Kiedy ukradłeś jej torebkę? - Vincent wyglądał tak, jakby dostał czymś ciężkim po głowie. - Nic o tym nie słyszałem.

- Nie powiedziała ci? Byłem pewien, że to zrobi. - Jack spo-
chmurniał. - Dlaczego poprosiłeś ją o rękę, Vinnie? Czy tylko
z powodu obietnicy, którą wymusiłem na tobie i pozostałych?

- To nie twój cholerny interes!

- Wybacz. - Jack wytrzymał jego wzrok. - Sądzę jednak, że
mój. Upłynęło już tyle czasu, że doszedłem do wniosku, iż się
zaprzyjaźniliście, potem spodobaliście się sobie, ale skoro nie
powiedziała ci o kradzieży torebki, to znaczy, że ci nie ufa. Je-
śli to nie jest małżeństwo z miłości, to chciałbym o tym wie-
dzieć. Muszę mieć pewność, że Cassie będzie szczęśliwa.

Vincent z trudem pohamował gwałtowne pragnienie, by
rozkwasić mu nos.

- W takim razie będziesz musiał jeszcze trochę tu zostać,
nie sądzisz? A także wystąpić o odzyskanie należnej ci pozy-
cji w świecie i przestać okradać innych.

- Daj spokój, Vinnie! Cassie nie miałaby do mnie pretensji
o tych kilka gwinei. Poza tym byłem zdesperowany. Nie mia-
łem grosza przy duszy. Byłem głodny i przeziębilem się w cza-
sie tego przekłętogo startu balonu.

- Byłeś tam!

- Już miałem z nią porozmawiać, ale ją zabrałeś. Mówię ci,
Vinnie, przez te ostatnie tygodnie uwierałeś mnie jak cierń
w bucie.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego do mnie nie przyszedłeś.
Jeśli bałeś się, że twój widok mógłby zdenerwować Cassie, po-
winienesz przyjść do mnie, żebym jakoś delikatnie przekazał
jej tę wiadomość.

Jack odwrócił wzrok.

- Przecież musisz wiedzieć, dlaczego się wahałem, Vinnie.

- Niech mnie diabli porwą, jeśli wiem!

- Wiedziałeś, że uciekłem spod ognia nieprzyjaciela. Byłem

przekonany, że zostawiłeś mnie na pastwę losu. Sądziłem, że mnie nienawidzisz, że mną gardzisz. - Podniósł pełen gniewu wzrok. - Do licha, Vinnie! Już raz próbowałeś mnie zastrzelić. Bałem się, że zechcesz dokończyć zadanie, dlatego przyszedłem tu dzisiaj z pistoletami taty w dłoniach. Nawet nie miałbym do ciebie specjalnych pretensji, gdybyś postanowił mnie zastrzelić. Zhańbiłem swoje nazwisko i rodzinę.

- Ależ z ciebie idiota - mruknął Vincent i dodał: - Naprawdę sądzisz, że odwróciłbym się od ciebie z powodu tamtej chwili paniki? Nie jesteś większym tchórzem niż każdy z nas. Uwierz mi, Jack, wszyscy się baliśmy.

- Nie ty - odparł Jack ponuro. - Ciebie nic nie przerażało.

- Byłbyś zaskoczony - odparł Vincent z krzywym uśmiechem. - Przeraża mnie kilka rzeczy, ale nie powiem ci jakie.

-Więc mną nie gardzisz? Nie powiedziałaś nikomu, że uciekłem z pola walki?

- Masz mnie za papłą? Obwinałem siebie za to, że zmusiłem cię, byś ze mną wrócił. Przez te wszystkie miesiące miałem twoją śmierć na sumieniu. Dziękuję Bogu, że żyjesz, i ogromnie się cieszę, że cię widzę.

- Więc mogę wrócić? Mogę wysłać Kendalowi liścik, żeby się wynosił i zażądać zwrotu tego, co zostało z majątku?

- Zapewne okaże się, że pan Thornton z ulgą pozbędzie się tego brzemienia - stwierdził Vincent. - Niezależnie od tego, co postanowisz, musisz najpierw porozmawiać z Cassie. Tylko zanim się z nią zobaczysz, trzeba popracować nad twoją prezencją. Mamy podobne wymiary. Znajdę ci przyzwoite ubranie. Na twoim miejscu, przyjacielu, zacząłbym od długiej kąpieli w gorącej wodzie, potem zjemy porządną kolację i pogadamy.

Cassie zatrzymała się na schodach, słysząc głosy, dobiegające z głębi holu. Czy to na pewno Vincent? Nie spodziewała się jego przyjazdu jeszcze przez co najmniej dwa dni. Ucieszona, zbiegła na dół z ostatnich kilku schodków i zobaczyła, że zdejmuje płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem.

- Cassie! - zawołał i ruszył ku niej z wyciągniętymi ramionami. - Jak się masz, kochanie?

- Bardzo dobrze - odparła, rumieniąc się pod wrażeniem jego ciepłego spojrzenia. - Jestem bardzo szczęśliwa, że wróciłeś wcześniej, niż planowałeś.

Podsunęła mu policzek do pocałowania.

- Interesy zajęły mi mniej czasu, niż przewidywałem - powiedział. - Poza tym chciałem się z tobą zobaczyć. Musimy porozmawiać...

- A, tu jesteś! - huknął sir Septimus, wkraczając do holu z salonu. - Nie mogłeś wytrzymać z dala od niej, co? Przyznam, że ci się nie dziwię. Wybrałeś sobie pełną życia dziewczynę, Carltonie. Ma więcej odwagi w małym palcu niż twoja matka wykazała przez całe życie.

Vincent zmarszczył brwi. Nie miał nic przeciwko bezceremonialnemu traktowaniu przez stryja jego samego, nie zamierzał jednak tolerować obrażania swojej matki, nawet jeżeli oznaczało to równocześnie komplement pod adresem Cassie.

- Zdrowie lady Longbourne zawsze pozostawiało wiele do życzenia - odparł sztywno.

- To znaczy: zawsze posługiwała się nim, by owinać sobie ciebie wokół palca - zapiał triumfalnie Septimus, rozglądając się dokoła jak kogut bojowy, straszący swój ogon. - Ze strony żony ci to nie grozi. Stawiam na to sto gwinei!

Vincent zacisnął usta, ale Cassie szybko wkroczyła pomiędzy nich, zanim zdążył odpowiedzieć.

- Nie powinien pan tak niefrasobliwie rzucać się w szpony hazardu, sir - zażartowała Cassie i z iskierkami rozbawienia w oczach zauważyła, że zaciśnięte w pięści ręce Vincenta opadają po bokach. - Sam mi pan wczoraj powiedział, że jestem cwana babą i bez wątpienia zdołam wydebić wszystko na swój sposób.

- Niech mnie lichu, jeśli nie miałem racji! - zawołał zaskoczony Septimus. - Nie wiem, co mnie ostatnio naszło. Walę kawę na ławę i jeśli nie będę uważał, to jeszcze zrobisz ze mnie regularnego hazardzistę! - Ryknął śmiechem, bardzo rozbawiony tym pomysłem, skinął Vincentowi głową i wszedł do salonu, skąd zaraz dobiegł jego donośny głos, nakazujący synowi wynieść się do ogrodu i zejść ojcu z oczu.

- Co to miało znaczyć? - zapytał oszołomiony Vincent. - Czy to naprawdę był mój stryj, czy może wszedłem do obcego domu? Nigdy nie słyshałem, by tak z kimkolwiek rozmawiał. Był niemal w dobrym humorze.

- Ależ tak, to był Septimus - oświadczyła lady Longbourne, schodząc po schodach, by przywitać się z synem. Uśmiechnęła się do Cassie i nadstawiła Vincentowi policzek do pocałunku. - Twoja narzeczona go zawojowała. Przysięgam, że byłam bliska hysterii na skutek ich ustawicznych starć w ciągu ostatnich dwóch dni, ale twój stryj najwyraźniej lubi, kiedy ona mu się przeciwstawia. Jeszcze nigdy nie był tak grzeczny i uprzejmy.

- Wydaje się być równie ordynarny jak zawsze - stwierdził sucho Vincent.

- Och, taki już ma styl bycia - powiedziała lady Longbourne. - Nie był wobec mnie nawet w połowie tak okropny jak zwykle. Wczoraj nawet nazwał mnie swoją drogą Emmeline i uściskał mi dłoń.

- Naprawdę? - Cassie popatrzyła na lady Longbourne ze współczuciem. - To nie było szczególnie przyjemne, droga mamo.

- Nie było - odparła lady Longbourne - bo nie jestem do tego przyzwyczajona. Doszłam już do siebie i następnym razem nie będę się czuła tak dziwnie.

- Chyba nie oczekujesz, że to się powtórzy? - mruknęła Cassie złośliwie. - Podejrzewam, że wróci do siebie, zanim zdążysz się zorientować.

- Tak sądzisz? - Lady Longbourne się roześmiała. - Cóż, chyba powinnam poszukać Felicity. Mówiła, że chce przejrzeć bieliźniarkę, żeby sprawdzić, czy wystarczy czystych prześcieradeł na wszystkie łóżka dla gości. Gospodyni Harryego na pewno już to sprawdziła, spróbuję więc odwieść od tego Felicity, jeśli, oczywiście, zdołam.

- Mama wydaje się mieć więcej energii niż zwykle - zauważył Vincent po jej odejściu.

- Tyle jest do zrobienia - odparła Cassie. - Właśnie wybierałam się do kościoła, żeby sprawdzić, czy jest tam wystarczająco dużo wazonów na kwiaty.

- Jesteś bardzo zajęta - bąknął Vincent, nieco zdezorientowany tym, co się wokół niego działo. - Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia, Cassie. Mógłbym pójść z tobą do kościoła?

- Tak, oczywiście. - Uśmiechnęła się do niego. - Ja również chciałabym coś z tobą przedyskutować.

Razem wyszli z domu do mieszczących się na tyłach budynku ogrodów i dalej, do lasu. Przez kilka minut żadne z nich się nie odezwało, potem zaczęli mówić jednocześnie.

- Chodzi o Jacka... - zaczęła Cassie.

- Cassie, przygotuj się na wstrząs. Nie wiem, ile zdołałaś odgadnąć, ale...

Zamilkli równocześnie i spojrzeli na siebie. Szeroko otwarte oczy Cassie pociemniały z emocji.

- Jack żyje, prawda? Ty też go widziałeś?

- Tak, widziałem. Wiedziałaś, prawda? Wyczułaś, że jest w pobliżu. A potem poznałaś go, kiedy wyrwał ci torebkę. - Vincent przyglądał jej się uważnie. Pragnął ją uspokoić, jednak miał świadomość, że to, co miał do powiedzenia, zrani ją i zdenerwuje. - Podejrzewał, że go rozpoznałaś.

Cassie kiwnęła głową w zamyśleniu.

- Już od pewnego czasu wyczuwałam jego obecność. Zawsze umieliśmy kontaktować się myślami, ale w pewnym momencie uznałam, że umarł, bo zniknął z mojej głowy.

- Prawie umarł - powiedział delikatnie Vincent. - Był bardzo chory. Przez dłuższy czas niczego nie pamiętał. Musiał od nowa uczyć się chodzić.

- Och, mój biedny Jack! - zawołała Cassie. - Nic dziwnego, że jest tak zmieniony. - Zachłysnęła się powietrzem. - Czy dlatego do mnie nie przyszedł? Bał się, że go odtrącę?

- Coś w tym rodzaju - przyznał Vincent. Nie mógł jej zdradzić prawdziwej przyczyny wahania Jacka, nie zamierzał jej nigdy tego wyjawiać. - Chyba potrzebował czasu, by pogodzić się z tym, co się z nim stało. Lepiej jednak, żeby sam opowiedział ci swoją historię. Umówiłem się z nim, że przyjedzie dziś wieczorem. Postaram się, żeby nikt wam nie przeszkodził w rozmowie. Możecie się spotkać, kiedy wszyscy pójną spać. Tak będzie mu łatwiej. Tobie chyba również.

- Pomyślałeś o wszystkim. Bardzo się zmienił? Nie chodzi mi o wygląd.

- Wydaje mi się spokojniejszy, nie tak skory do śmiechu - powiedział Vincent i spochmurniał. - Nie jest taki jak dawniej, Cassie. Nie możesz tego oczekiwać.

- Nie - zgodziła się i posmutniała. - Nie, tego nie można oczekiwać.

- Zapewniłem go, że spotkasz się z nim z radością.

- Tak, niezależnie od tego, jakie zmiany w nim zaszły.

- Byłem tego pewny.

- Chciałabym podzielić się z nim fortuną cioci Gwendoline, ale nie wiem, jak się teraz rzeczy mają.

- Chodzi ci o kontrakt ślubny? - Vincent spojrział na nią z lekkim zdumieniem. - Podpisałaś dokumenty, nie zadając sobie trudu, żeby je przeczytać? - Potrząsnął głową. - Zagwarantowałem ci pewną, jak sądzę, dość hojną, sumę na pokrycie twoich potrzeb. Gdybyś jednak potrzebowała więcej, zawsze możesz mi przysłać rachunki. Jestem w stanie utrzymać żonę i zamierzam to robić. Natomiast twój spadek pozostaje twoją wyłączną własnością. Po ślubie będziesz mogła dysponować kapitałem wedle własnego uznania.

- Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie mam nic przeciwko temu. Nie żenię się z tobą dla pieniędzy. Gdybyś nie miała ani grosza przy duszy, nie stanowiłoby to dla mnie żadnej różnicy.

- Po raz pierwszy naprawdę z sobą rozmawiamy - zauważyła Cassie. - Właściwie dotychczas rzadko zdarzało nam się być samym.

- To prawda - przyznał Vincent. - Może powinniśmy wygospodarować więcej czasu na takie spacerunki, Cassie?

- Tak - szepnęła i nieśmiało, ale z determinacją spojrzała mu prosto w oczy. - Mam nadzieję, że nie uznasz tego za impertynencję, jeśli cię zapytam, dlaczego właściwie poprosiłeś mnie o rękę? - Milczał i Cassie zauważyła, że był poruszony tym pytaniem. Nie spodziewał się go, a ona koniecznie musiała poznać odpowiedź. - Nie jestem specjalnie atrakcyjna,

a ty nie potrzebujesz moich pieniędzy. Ludzie mówią, że to kwestia honoru, ale...

- Początkowo rzeczywiście była to w pewnym stopniu kwestia honoru - odrzekł Vincent. Doszedł do wniosku, że powinien być szczery. Jeśli nie wyjaśni jej tego teraz, potem może już być za późno. - Kiedy przyszła wiadomość o śmierci twojego ojca, Jack bardzo się martwił, co się z tobą stanie...

Cassie pobladła, domyśliła się, *co* zamierza powiedzieć. Odsunęła się, rozczarowanie było tak bolesne, że prawie bezwiednie krzyknęła:

- Nie! Nie mów tego! Błagam! Jack wymusił na tobie obietnicę, że poprosisz mnie o rękę, prawda? Nie próbuj zaprzeczać!

- Nie mogę zaprzeczyć - stwierdził Vincent. - Prosił mnie już wcześniej, ale się nie zgodziłem. Tamtej nocy jednak...

- Obiecałeś mu, żeby przestał się denerwować, prawda? - Jej twarz była całkowicie pozbawiona koloru. - A potem, kiedy umarł...

- Cassie, tak było tylko na początku...

- Nie! Nie zbliżaj się do mnie!

Kiedy Vincent wyciągnął do niej rękę w milczącym błaganu, odwróciła się i uciekła. Początkowo biegła na oślep przed siebie, nie zastanawiając się, dokąd zmierza ani co robi, pragnęła tylko pozbyć się tego straszliwego wewnętrznego bólu.

Musiała uciec. Nie mogła słuchać jego usprawiedliwień. La Valentina miała rację, pragnął jej jedynie w celu zapewnienia sobie dziedzica.

Serce waliło jej jak młotem, a po policzkach spływały łzy. Nagle usłyszała krzyk grozy jakiegoś zwierzęcia, który sprawił, że serce jej zamarło. Instynktownie zwróciła się w jego

kierunku, gotowa odsunąć na bok własny ból i biec za tym krzykiem trwogi i cierpienia.

- Cassie! Czeka! Musisz na mnie poczekać...

Wołanie Vincenta podziało na nią niczym ostroga na konia. Instynkt mówił jej, że powinna się pośpieszyć. Wiedziała, że Vincent ją goni, a nie chciała zostać schwytana. Nie mogła też dopuścić do straszliwej agonii jakiegoś leśnego stworzenia. Jego żalony krzyk rozdzierał jej serce.

Nagle stanęła jak wryta na widok kłusownika, pochylającego się nad sidłami. Trzymał młodego jelonka za nogę i szykował się do roztrzaskania mu łebka grubą pałką.

- Stój! Stój natychmiast! - zawołała.

Pędziła wprost na niego i rzuciła się do przodu, by pozbać go równowagi. Zaskoczony kłusownik machnął pałką i mimowolnie uderzył Cassie w głowę. Natychmiast straciła przytomność, nie była więc świadkiem brutalnej sceny, która rozegrała się, gdy ona leżała bez zmysłów na ziemi.

- Zabiłeś ją! Będziesz za to wisiał!

Kłusownik rzucił pałkę, widząc zbliżającego się Vincenta. Rozpoznał wielkiego pana i się przeraził.

- Nie, sir. To był wypadek. Przysięgam. Nie chciałem...

- Milcz, bydlaku. Jesteś mordercą i kłusownikiem! - krzyknął Vincent z twarzą pobielającą z udreki. - Przysięgam, że jeśli wymkniesz się katu, to ja cię dopadnę.

Jednym, pełnym furii ciosem Vincent powalił go na ziemię. Kłusownik leżał, jęcząc z przerażenia i bólu, ale nawet nie próbował się ruszyć. Ucieczka byłaby bez sensu. Był skazany. Wiedział o tym od chwili, gdy Vincent wyjął z kieszeni płaszcz mały pistolet i strzałem w głowę położył kres męce jelonka, którego nóżka została niemal wyrwana i nie było najmniejszej szansy na wyleczenie. Następny strzał byłby

niewątpliwie przeznaczony dla niego, gdyby odważył się choćby poruszyć palcem.

Vincent ukląkł przy Cassie, schował pistolet do kieszeni płaszcza i dotknął jeszcze ciepłej twarzy narzeczonej. Jęknęła cicho. Bogu dzięki, żyje! Mówił do niej łagodnie, pragnął, by otworzyła oczy i poznała go, ale nie poruszyła się nawet wtedy, gdy delikatnie uniósł ją w ramionach.

Potem odwrócił się do zbója, który ją uderzył. Mężczyzna wstał. Vincent najchętniej położyłby go trupem na miejscu, wiedział jednak, że najpierw powinien zaopiekować się Cassie. Zemstę mógł odłożyć na później, teraz musiał przede wszystkim zadbać o jej dobro.

- Uciekaj stąd, jeśli ci życie mile - rozkazał. - Jeśli jeszcze kiedyś cię spotkam, to zginiesz. A jeśli ona umrze, to będziesz wolał trafić w ręce kata niż w moje.

Vincent ruszył do domu z leżącą bezwładnie w jego ramionach Cassie.

Rozdział dziesiąty

Cassie zaczynała się poruszać, gdy Vincent wniósł ją do holu. Widziano, jak zbliżał się do domu, więc poza zaniepokojonym kamerdynerem, który był na tyle głupi, by zaproponować, że weźmie Cassie od niego, za co omal nie urwano mu głowy, zastał mały komitet powitalny.

- Co jej zrobiłeś?! - krzyknęła lady Longbourne, obrzucając syna gniewnym spojrzeniem. - Och, moja biedna, kochana Cassie!

- Wiedziałem, że jesteś bokserem - oświadczył Septimus. - Nie sądziłem jednak, że trenujesz na damach, Carltonie. Co się stało?

- Z drogi - zabrzmiała krótka odpowiedź. - Jeśli ktoś z was ma choć kroplę oleju w głowie, to każe przygotować jej łóżko. I przyślijcie Janet!

Cassie jęknęła. Długie ciemne rzęsy drgnęły na nienaturalnie białych policzkach.

- Moja głowa... boli. Proszę, nie pozwól mu... nie pozwól mu...

- Jesteś już bezpieczna, kochanie. Głowa wkrótce przestanie boleć - zapewniała lady Longbourne. Podążała

w pewnej odległości, podczas gdy Vincent wnosił Cassie po schodach.

Janet zdążyła odrzucić na bok nakrycie łóżka, kiedy Vincent wszedł do pokoju i ostrożnie położył narzeczoną w pościeli. Skrzywił się, kiedy wydała cichy okrzyk bólu.

- Co się stało, sir? - zapytała Janet, potrząsając głową nad swoją panienką.

- W lesie był jelonek w sidłach i kłusownik. - Janet kiwnęła głową. Nie trzeba jej było mówić, kto zawinił. - Krzyczałem, żeby stanęła, ale nie słuchała. Biegła prosto na niego, nie zważając na własne bezpieczeństwo. Zaskoczyła go, więc ją uderzył. Nie zdążyłem nic zrobić...

- Oczywiście, że nie, sir. To cała Cassie. Taka impulsywna. Szczególnie gdy w grę wchodzi cierpiące zwierzę.

Z ust Cassie wyrwał się okrzyk bólu. Otworzyła oczy, w których malowało się cierpienie i spojrzała prosto na Vincenta.

- Jelonek... co z nim?

- Musiałem go zastrzelić. Był zbyt poważnie ranny. Nie można już było nic dla niego zrobić poza skróceniem jego męki.

- Nie! Och, nie... - W jej oczach zalśniły łzy. - To zbyt okrutne... zbyt okrutne.

- Ty byłaś ważniejsza - powiedział Vincent. - Nie wiedziałem, jak poważnie jesteś ranna. Musiałem zabrać cię do domu.

Cassie wymruczała jakiś protest. Odwróciła od niego głowę, a łzy spływały po jej policzkach.

- Powinieneś mu pomóc...

Słowa ledwie było słyszeć, ale ugodziły go prosto w serce, bo miały dla niego dodatkowe znaczenie. Skoro tak bardzo współczuła rannemu zwierzęciu, to jak zareaguje na wiado-

mość, że to on sprawił, iż Jack został ranny, a potem zostawił go na pewną śmierć? Z pewnością go znienawidzi.

- Przepraszam, wybacz mi, proszę.

Zaszłochała.

- Może lepiej, żeby zostawił ją pan mnie, sir? - zasugerowała Janet. - Potrafię się nią opiekować. Za chwilę poczuje się lepiej.

Vincent wyczuł, że w tym momencie Cassie nie może znieść jego obecności, i to był znów cios w samo serce.

- Przywiozę doktora - powiedział i wyszedł z pokoju zachmurzony.

Lady Longbourne minęła się z synem w drzwiach. Usiadła na skraju łóżka i ujęła dłoń Cassie.

- No już, moja najdroższa - mówiła kojącym głosem. Wzięła zimny ręcznik, zmoczony przez Janet i położyła go na czole Cassie. - Pewnie będziesz miała paskudnego guza i niewątpliwie bardzo cię boli głowa, ale miejmy nadzieję, że to nic poważnego.

Cassie stłumiła szloch i odwróciła głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Owszem, boli - przyznała - ale wcale nie tak bardzo. Płaczę na myśl o tym biednym stworzonku... tak strasznie cierpiało. Chciałam je ratować, a Vincent je zastrzelił. To było takie podłe, powinien mu pomóc.

Lady Longbourne zmieniła ręcznik na nowy, przyniesiony przez zaniepokojoną Janet.

- Wiesz, że nie zawsze zgadzam się z Vincentem - powiedziała. - Tym razem jednak zrobił to, co należy, kochanie. Musiało mu być trudno. Ranne zwierzę w pułapce, niebezpieczny kłusownik, a ty nieprzytomna. Sądzę, że zrobił to, co konieczne w zaistniałej sytuacji.

- Spełnił obowiązek, tak? - W głosie Cassie zabrzmiała go rycz. - Tak, wierzę, że zrobił to, co właściwe, lecz nie to, co dobre.

Lady Longbourne zauważyła, że do oczu Cassie znów napływają łzy.

- Wydaje mi się, że mylisz się, kochanie. W tym przypadku dobroć nakazywała jak najszybsze działanie. Nie mógł pomóc jelonkowi i tobie, a ty byłaś, naturalnie, ważniejsza.

Janet ośmieliła się dotknąć ramienia lady Longbourne.

- Proszę o wybaczenie, ale chyba lepiej, żeby zostawiła ją pani na razie pod moją opieką. Jest rozdrażniona i powinna porządnie się wypłakać, wyrzucić z siebie żal. Widywałam już ją w tym stanie i wiem, jak z nią postępować.

Lady Longbourne ustąpiła wobec kobiety, która opiekowała się Cassie podczas wielu kryzysowych sytuacji.

- Tak, powinnam ją zostawić i dać jej odpocząć. - Pochyliła się i pocałowała Cassie w policzek. - Postaraj się zasnąć, kochanie. Odwiedzę cię ponownie po wyjściu lekarza.

Janet zamknęła za nią drzwi. Cassie podźwignęła się do pozycji siedzącej i oparła o stertę poduszek. Na jej bladej twarzy malował się upór.

- Powinnaś poleżeć spokojnie i odpocząć, moje dziecko.

- Nienawidzę leżenia w łóżku - odparła Cassie. - Chyba mogę wstać. - Opuściła nogi z łóżka i jęknęła, bo zakręciło jej się w głowie. - Ojej, mam zawroty głowy.

- A czego się spodziewałaś po takim uderzeniu? Kładź się zaraz, głuptasie. Tyle razy ostrzegałam cię, że tak będzie. Jak grochem o ścianę. Spowodowałaś tyle zamieszania i to na trzy dni przed ślubem. Co ty wyprawiasz? Napędziłaś biednej lady Longbourne okropnego strachu. Już nie mówiąc o jego lordowskiej mości. Zachowałaś się wobec niego bardzo źle,

panno Cassie, i muszę ci to powiedzieć. Nie podziękowałaś mu za pomoc. To było wyjątkowo niegrzeczne. Zaskoczyłaś mnie i nie zamierzam tego przed tobą ukrywać.

- Proszę, nie krzycz na mnie, Janet. - Cassie opadła na stertę poduszek. Gderanie starej pokojówki uspokoiło ją bardziej niż troska i współczucie. - Wiem, że głupio się zachowałam, ale ten okropny człowiek chciał uderzyć jelonka, a ja nie mogłam tego znieść. Ruszyłam na niego i... nie wiem, co się potem stało.

- Uderzył ciebie, zamiast jelonka - oświadczyła Janet z ponurą miną. - Moim zdaniem, miałaś mnóstwo szczęścia, że jego lordowska mość nadbiegł. Gdybyś była sama, Bóg jeden wie, co mogło się wydarzyć... - Potrząsnęła głową, żeby odpędzić te myśli.

Cassie zauważyła, że stara pokojówka walczy ze łzami i ogarnęło ją wzruszenie. Przestała więc uzalać się nad sobą i z uśmiechem wyciągnęła rękę.

- Tak, wiem. Nie mam pojęcia, dlaczego mnie kochasz, skoro przysparzam ci tylu zmartwień, Janet, ale wiem, że kochasz mnie naprawdę. I jestem ci bardzo za to wdzięczna.

- Cóż, nie ja jedna. Są jeszcze Sarah, lady Longbourne i jego lordowska mość, naturalnie. I jeszcze paru innych, ośmielałam się zauważyć.

Cassie na moment zamknęła oczy. Wiedziała, że Vincent jej nie kocha. Lubi ją. Bawiły ich te same żarty i doskonale się z sobą czuli. Troszczył się o jej dobro, tak jak troszczyłby się o każdą damę ze swojej rodziny, ale jej nie kocha. Nie tak, jak pragnęła być kochana.

Podniosła powieki i spojrzała na Janet.

- Jack mnie kocha - powiedziała. - Przynajmniej jego mam.

Zaniepokojona Janet, zaczęła się obawiać, że od mocnego uderzenia pałką kłusownika Cassie pomieszało się nieco w głowie.

- Przecież biedny pan Jack zginął we Francji.

- Nie, nie zginął - odparła Cassie z uśmiechem. - Był ciężko ranny, Janet. Wszyscy sądzili, że musiał umrzeć na skutek odniesionych ran, ale tak się nie stało. Jeszcze nie do końca rozumiem, co się wydarzyło i skąd się wzięły doniesienia o jego śmierci, ale już wkrótce będę wiedziała. Przyjedzie zobaczyć się ze mną dziś wieczorem. Spotkamy się w bibliotece, żeby spokojnie porozmawiać w cztery oczy.

Janet wytrzeszczyła oczy. Położyła rękę na głowie Cassie, ale było całkiem chłodne. Nie bredziła w gorączce, choć to co mówiła, było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

- Skąd o tym wiesz?

- Lord Carlton powiedział mi o tym tuż przed... - Cassie urwała. - Raz czy drugi widziałam Jacka w Londynie, ale jest tak odmieniony, że go nie poznałam. Nie patrz na mnie z takim niedowierzaniem, Janet. Nie zwariowałam. Przysięgam, że to prawda. Jack żyje i przyjedzie tu dzisiaj.

- Bogu niech będą dzięki! - Janem z rozmachem usiadła na łóżku. - Chwała Najwyższemu! W głowie mi się kręci. Pan Jack żyje. To cud, panno Cassie. Cud. W głowie mi się to nie mieści.

- Tak, wiem. To naprawdę wspaniałe. Samej trudno mi w to uwierzyć, ale to prawda.

- I przyjeżdża tu dzisiaj?

- Tak. Mam się z nim spotkać, kiedy wszyscy położą się już do łóżek, bo on czuje się trochę skrepowany swoim wyglądem. Ma bliznę na skroni i siwe włosy. Kiedy go widziałam w Londynie, myślałam, że nosi siwą perukę. Śledził mnie i czekał na

okazję, żeby zamienić ze mną parę słów. Nie chciał, żebym go poznała, dopóki nie będzie gotowy. Chyba obawiał się, że go odtrącę. Ujawnił się jednak przed lordem Carltonem, a teraz ma ze mną porozmawiać.

-To prawdziwa łaska niebios! - zawołała Janet. - Jeśli chcesz później wstać na spotkanie pana Jacka, to musisz się teraz trochę przespać, panienko.

- Muszę? - Cassie skrzywiła się z niezadowoleniem. - Pewnie masz rację, rzeczywiście trochę boli mnie głowa.

Przybyły lekarz orzekł, że panna Thornton miała szczęście i wyszła z tego z nikłymi obrażeniami. Zostawił jej coś na sen, gdyby głowa bolała ją zbyt mocno. Podziękowała mu uprzejmie, ale lekarstwo pozostało nietknięte. Głowa rzeczywiście ją bolała i była bardzo wrażliwa na dotyk w miejscu, gdzie utworzył się guz, ale to nie z tego powodu nie mogła zasnąć.

Nie potrafiła zapomnieć tego, o czym Vincent powiedział jej podczas spaceru. Poprosił ją o rękę z powodu obietnicy złożonej niegdyś jej bratu. Jack martwił się, bo ich ojciec doprowadził majątek niemal do ruiny, a potem zastrzelił się, zostawiając wszystkie problemy na jej głowie.

To typowe dla Jacka, że szukał dla niej pomocy; nie powinien był jednak tego robić. Czowała się upokorzona myślą, że Vincent się nad nią litował. A musiał się litować, bo inaczej nie złożyłby obietnicy.

Och, jak mógł to zrobić? Jak mógł pozwolić jej uwierzyć, że naprawdę mu na niej zależy?

Cassie przewracała się niespokojnie z boku na bok. Gdyby wiedziała, w żadnym wypadku nie zgodziłaby się zostać jego żoną. To było zbyt bolesne i zbyt krępujące. Nie miała pojęcia, co robić w tej sytuacji.

Mogła się wycofać, oczywiście, ale ślub miał się odbyć la-
da dzień, goście zostali zaproszeni, prezenty przyjęte. Gdy-
by teraz wszystko odwołała, wywołałaby ogromny skandal.
Wzdrygnęła się na myśl, jak bardzo obraziłaby lady Long-
bourne i jak głęboko by ją zraniła. Nie, to nie do pomyślenia!

Cassie stłumiła szloch. Och, jakie to wszystko skompliko-
wane! Stopniowo ogarniał ją gniew. To wszystko wina Carlto-
na. Oszukał ją, pozwalając jej wierzyć, że darzy ją prawdzi-
wym uczuciem. Jego oświadczyzny wprowadziły ją w błąd.
Dlaczego mówił z takim zaangażowaniem?

A tak za nim tęskniła, kiedy wyjechał na kilka dni.

Kogo próbowała oszukać? Cassie zmusiła się do spojrze-
nia prawdzie w oczy. Była beznadziejnie, po uszy zakochana
w Vincencie. Pękłoby to jej głupie serce, gdyby go już więcej
nie zobaczyła. Jak jednak mogła za niego wyjść, wiedząc, że
on jej nie kocha?

Sytuacja wydawała się beznadziejna. Cassie uznała, że nie-
zależnie od tego, co zrobi, będzie nieszczęśliwa.

Cassie musiała na chwilę zasnąć. Obudziła się zmęczona
i apatyczna. Leżała przez chwilę w ciemności, aż nagle przy-
pomniała sobie, dlaczego nie chciała zasnąć. Wyskoczyła z
łóżka, zdenerwowana i podekscytowana zarazem. Stała i z
ulgą stwierdziła, że zawroty głowy minęły. Umyła się szybko
w zimnej wodzie, która ją odświeżyła i otrzeźwiła.

W domu panowała cisza. W dołu nie dochodził żaden
głos. Musiało być późno. Może Jack już przyjechał i czeka
na nią?

Przygładziła włosy, krzywiąc się nieco, gdy dotknęła
obolałej skroni, po czym włożyła naszykowaną przez Janet
świeżą suknię. Nie była nowa, ale bardzo wygodna i zapi-

nana z przodu. Rzuciła ostatnie spojrzenie na swoje odbicie w lustrze i wyszła do holu. Zatrzymała się, nasłuchując.

Nadal paliły się tu świece, zatem jeszcze nie wszyscy udali się na spoczynek. Cassie bezgłośnie poruszała się po pokrytym dywanem podeście i schodach, bo nie chciała nikogo obudzić i odpowiadać później na pytania, co robi tu o tak późnej porze. Wiedziała, że wszyscy próbowaliby ją nakłonić do powrotu do łóżka, a ona musiała koniecznie zobaczyć Jacka. Nic jej nie mogło powstrzymać. Oby tylko nie okazało się, że już odjechał.

Gdzieś w głębi domu zegar wybił północ. Zielony salon był pusty, przeszła prosto do biblioteki. Drzwi łączące oba pokoje były lekko uchylone, widziała więc, że w bibliotece pali się światło. Jack musi tam być!

Pospiesznie podeszła do drzwi, w ustach jej zaschło z podniecenia i lęku. Rozpaczliwie chciała zobaczyć Jacka, a równocześnie bała się zmian, jakie mogły w nim zajść - nie w wyglądzie, który był dla niej bez znaczenia, ale w charakterze.

Zatrzymała się pod drzwiami, żeby opanować zdenerwowanie, i nagle usłyszała głosy Jacka i Vincenta. Najwyraźniej kłócili się, i to o nią! Wiedziała, że powinna natychmiast wejść do środka, jednak się powstrzymała.

- Jak mogłeś do tego dopuścić?! - zawołał Jack z oburzeniem. - Niech cię diabli, Vinnie! Jak mogłeś pozwolić, by ten łotr ją uderzył? Miałeś obowiązek jej bronić. Powinieneś coś zrobić. Zatrzymać ją! Wielkie nieba, Vinnie, mogła zginąć!

- Bardzo mnie wyprzedziła - bronił się Vinnie. - Wołałem, żeby się zatrzymała, poczekała na mnie, ale nie zważała na to. Byłem zbyt daleko, by zapobiec temu, co się stało. Po prostu nie chciała mnie słuchać.

- Mogę sobie wyobrazić, że nie chciała po tym, co usłysza-

ła. Dlaczego, do licha, powiedziałeś jej o tej głupiej obietnicy? Mogłeś przewidzieć, jak zareaguje. Dlaczego wygadałeś wszystko jak jakiś półgłówek?

- Czułem, że jestem jej winien prawdę - odrzekł Vincent. - Naturalnie nie wspomniałem o *innych oficerach* ani o *tym, że* ciągnęliśmy słomki, który ma iść pierwszy. Byłbym wdzięczny, gdybyś zachował to dla siebie. Bóg jeden wie, co by wówczas pomyślała. Twoja siostra to bardzo niezależna kobieta, Jack. I uparta. Chciałem jej wyjaśnić, ale nie dała mi szansy. Kiedy uciekła ode mnie do lasu, zawahałem się przez chwilę, a potem nie mogłem jej dogonić. Teraz jest na mnie wściekła, że zastrzeliłem to nieszczęsne stworzenie, ale co innego mogłem zrobić? Musiałem zanieść ją do domu i rozprawić się z tym zbójem, który ją uderzył.

- Przynajmniej on już stąd zniknął.

- Jeszcze z nim nie skończyłem, zapewniam cię.

- Daj sobie spokój - poradził mu Jack. - Zemsta nic nie daje. Poza tym będziesz miał ręce pełne roboty z Cassie.

- Pewnie masz rację. - Zaśmiał się ochryple. - Zaczynam się uczyć na własnych błędach.

- Nie wiesz jeszcze nawet połowy - zapewnił go Jack. - Ona jest piekielnie porywcza, czego mogłeś nie zauważyć na pierwszy rzut oka. - Westchnął. - Ale na to chyba nic nie można poradzić.

- Przepraszę ją, oczywiście, i mam nadzieję, że mi to wybaczy.

- Czy sądzisz, że zbyt źle się czuje, by się ze mną zobaczyć?

- zapytał Jack. - Najlepiej jak sobie pójdę i...

Cassie szeroko otworzyła drzwi. Obaj mężczyźni odwrócili się gwałtownie.

- Długo tam stałaś? - zawołał Vincent z przerażeniem.

- Wystarczająco długo. - Cassie była wściekła na nich obu. Weszła kilka kroków w głąb pokoju, trzęsąc się ze złości. - Jak śmieliście obgadywać mnie za moimi plecami?! - Spojrzała na brata. - Jak mogłeś błagać przyjaciela, żeby się ze mną ożenił, Jack? Jak mogłeś powiedzieć mojemu bratu, żeby sobie poszedł, bo jestem zbyt chora, żeby się z nim zobaczyć, milordzie? - Obrzuciła narzeczonego lodowatym wzrokiem. - Kto dał wam obu prawo do decydowania o moim losie?

Żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Patrzyli na nią tylko jak dwaj uczniacy przyłapani na wykradaniu cukierków z kredensu. Było oczywiste, że słyszała całą ich rozmowę, i była oburzona, całkowicie zresztą słusznie.

Vincent pozbierał się pierwszy.

- Wybacz. Powiedziano mi, że śpisz i pod żadnym pozorem nie wolno cię budzić.

- Został pan źle poinformowany, sir. Jak widać, jestem zupełnie przytomna i całkowicie wydobrzałam po tym lekkim uderzeniu w głowę. Doprawdy nie wiem, o co tyle hałasu.

- To nie było lekkie uderzenie.

Został spiorunowany wzrokiem i natychmiast wycofał się z pola walki.

- Przepraszam, Cassie - włączył się teraz Jack. - To była tylko i wyłącznie moja wina. Po prostu nie mogłem znieść myśli, że zostaniesz całkiem sama w domu, gdyby coś mi się stało, zdana na łaskę i niełaskę tego nudziarza, Kendala. Chciałem dobrze, dopiero teraz zrozumiałem, że popełniłem błąd.

- Nie byłam na niczyjej łasce - odparła z łagodniejszą miną, bo przyjrzała się bratu i dostrzegła blizny. Jej biedny, kochany Jack. Jak strasznie musiał cierpieć! Powinna mu pomóc i spróbować go pocieszyć. - Nie mogłeś, oczywiście, o tym wiedzieć, ale ciocia Gwendoline zmarła, zostawiając mi cały

majątek. Jestem dorosła i niezależna finansowo. Mogę robić, co zechcę.

- Ona miała majątek? - Jack osłupiał. - Przysięgam, że nic o tym nie wiedziałem. Poza tym nie byłem wtedy sobą, Cassie. Wszystko wokół było takie przygnębiające. Miałem przecucie, że umrę. Wybaczysz mi? Proszę. Po tym wszystkim... przyjechałem i przekonałem się, że doprowadziłem tu do okropnego galimatiasu... - Dotknął swojej skroni. - Obawiam się, że i we mnie panuje niezły zamęt.

- Och, Jack... - Oburzenie Cassie wyparowało, kiedy zrozumiała, jak bardzo jest bezbronny. On naprawdę sądził, że mogłaby go odrzucić. - Mój najdroższy, kochany... Jaka ze mnie idiotka, że wrzeszczę na ciebie z powodu takiej bzdury. Jestem paskudną sekutnicą. Oczywiście, że ci wybaczam. Nic się nie liczy oprócz ciebie. Tak bardzo się cieszę, że cię widzę, Jack. Tak bardzo, bardzo się cieszę, że jednak nie zostałeś zabity.

Podbiegła do niego i została zamknięta w niedźwiedzim uścisku. Z zalanymi łzami policzkami wzięła jego twarz w obie dłonie i raz za razem pokrywała pocałunkami jego policzki, póki nie zaczął wreszcie protestować.

- Hej, daj spokój, Cassie!

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię. I nie waż się już nigdy w to wątpić!

- Nie, Cassie, ale nie liź mnie! Jesteś tak samo okropna jak ten spaniel, którego kiedyś mieliśmy. Pamiętasz Roxy?

- Oczywiście, że tak! - zawołała rozpromieniona i wzięła go pod rękę. - Lizała wszystkich po twarzy. Uważałeś, że nie warto się myć po wylizaniu przez Roxy, bo ona na pewno nie zostawiła ani pyłka. Mimo to niania Robinson zaciągnęła cię do wanny i wyszorowała. Jesteś niedobry,

porównując mnie do Roxy, Jack. - Dusila się od śmiechu. - Powinnam być na ciebie wściekła, ale bardzo, bardzo się ciszę, że cię widzę.

- A ja, że widzę ciebie - powiedział Jack. - Vinnie zmusił mnie do przyjazdu, taki ze mnie głupiec. Myślałem, że możesz się mnie wyprzeć. - Obejrzał się przez ramię. - Gdzie on jest?

- Pewnie wyśliznął się z pokoju. - Cassie spojrzała na drzwi i zmarszczyła czoło. - Dziwne, nie słyszałam go.

- Cały on. Powinnaś o tym wiedzieć!

- Pewnie doszedł do wniosku, że wolelibyśmy zostać sami. Miał rację. Chcę wiedzieć wszystko, Jack, niczego nie ukrywaj. I tak to wyczuję.

- Wiem, że wyczujesz - mruknął ponuro. - Niezbyt miło to słyszeć, Cassie.

- Nic mnie to nie obchodzi! Chcę wiedzieć, co się wydarzyło, i dlaczego zostałeś uznany za zmarłego.

Jack się skrzywił.

- Vinnie zawiadomił, że poległem. Widział, jak padałem, i uznał, że taki postrzał musiał być śmiertelny. Bo na dobrą sprawę musiał. - Jack uśmiechnął się i dotknął wgłębienia na skroni. - Louise twierdzi, że mam chyba czaszkę z żelaza. Ta kula powinna rozwalić mi mózg, a tylko strzaskała kość. Gdyby kula weszła choć trochę głębiej, nie byłoby dla mnie ratunku.

- Zawsze był z ciebie zakuty łeb - zakpiła Cassie jak za dawnych lat. - Kim jest ta Louise i dlaczego Vincent myślał, że nie żyjesz? Nie zatrzymał się, żeby sprawdzić?

- Nie mógł - odparł Jack, marszcząc brwi. - Jechał z misją i wiozł bardzo ważne dokumenty, które nie mogły wpaść w ręce wroga. - Zaczerwienił się mocno na wspomnienie chwili,

gdy przyjaciel znalazł go ukrytego w namiocie bagażowym. Gdyby nie zabrał go z sobą, Jack zostałby wyrzucony z armii za tchórzostwo i być może rozstrzelany za dezercję. A wówczas żadna Louise nie zdołałaby ocalić go od śmierci. - Ja... Vinnie zabrał mnie jako swą eskortę. Moim zadaniem było w razie nieprzyjacielskiego ataku ściągnąć na siebie ogień wroga, by on zdołał przejechać. Wpadliśmy w zasadzkę i ja zostałem postrzelony, ale on zdołał się wyrwać.

-I zostawił cię na pewną śmierć? Jak on mógł?! - Cassie była gotowa ponownie potępić Vincenta.

- Nie, to nie tak. Wysłuchaj mnie, proszę, zanim zaczniesz wydawać sądy. Vinnie postąpił właściwie. Gdybym to ja wiozł te dokumenty, musiałbym dokonać takiego samego wyboru. Nie było mu łatwo, ale wojna to wojna. Vinnie musiał jechać, nie mógł zrobić nic innego.

- Tak, pewnie masz rację - przyznała niechętnie. - Ale z pewnością... potem?

- Zastanawiałem się nad tym, kiedy odzyskałem pamięć - powiedział Jack. - W głębi duszy byłem pewien, że Vinnie by mnie tak nie zostawił. I rzeczywiście wrócił w miejsce, gdzie zostałem postrzelony, Cassie. Szukał mnie wszędzie, ale Louise już zdążyła mnie zabrać. Wzięła mnie do swojego domu, do starego *chateau*, ukrytego w dolinie, który niełatwo jest znaleźć, jeśli się nie wie o jego istnieniu. Vinnie powiedział, że w pobliżu miejsca, gdzie zostałem ranny, znalazł wiele świeżych grobów. Francuscy wieśniacy grzebali wszystkich poległych, zarówno swoich rodaków, jak i Anglików. Vinnie uznał, że zostałem znaleziony i pochowany przez jakiegoś chłopca, który nawet nie wiedział, kim jestem. I gdyby nie Louise, z pewnością tak by się stało.

- Tak. - Cassie gładziła jego twarz; zaczynała rozumieć, jak wygląda pobojuwisko po krwawej bitwie. - Chyba rozumiem,

Jack. Przypuszczam, że nie mógł zrobić nic innego. Trudno mi się z tym pogodzić, ale na wojnie takie rzeczy się zdarzają

- Podziękuj losowi, że nigdy nie zostałam postawiona przed takim wyborem. Louise stawiała wobec takiej konieczności niejednokrotnie. - Twarz Jacka przybrała ponury wyraz. - Vinnie wyrzucił sobie, że zabrał mnie w tę misję, ale to nie jego wina. Postąpił słusznie. Obiecuj, że nie będziesz miała o to do niego pretensji.

- Nie będę miała do niego pretensji o coś, na co nic nie mógł poradzić - odparła. - Powiedz mi teraz całą resztę, Jack. Kim jest Louise? Myślę, że kimś wyjątkowym.

- Tak. Bardzo wyjątkowym - potwierdził. - Zawdzięczam jej życie, Cassie. Gdyby nie ona, zostałbym żywcem pogrzebany. Zauważyła, że poruszyłem palcem, i poprosiła ludzi, by zanieśli mnie do jej domu. Pielęgnowała mnie, choć wszyscy mówili, że to beznadziejne i że litość nakazuje pozwolić mi umrzeć.

- Jest ładna? - zapytała Cassie.

- Ma włosy jak ciemny miód i zielonkawe oczy - odparł Jack. - Nie jest tak ładna jak Sarah Walker. Uważam ją za piękną, ale nie o to chodzi. Ona ma... duszę. - Zarumienił się i robił wrażenie zażenowanego, jakby krępował się tak otwarcie mówić o najgłębszych myślach i doznaniach.

- W takim razie dobrze, że ją masz - odparła Cassie. Jeśli Louise tak głęboko zapadła mu w serce, mogła tylko cieszyć się jego szczęściem. - Powiedz mi wszystko, kochany.

Jack długo opowiadał swoją historię, bo nie ukrywał najmniejszych szczegółów, a Cassie słuchała ze ściśniętym sercem, przeżywając wraz z bratem straszliwe doświadczenia. Gdy skończył, zdawała sobie sprawę, jak ogromny dług

wdzięczności miała u tej nieznannej francuskiej dziewczyny. Dług, którego nigdy nie zdoła spłacić. Pokochała ją za dobroć i wspaniałomyślność.

- Więc ją kochasz - stwierdziła z uśmiechem, biorąc brata za rękę. - A ona kocha ciebie?

- Nie mam pojęcia za co - odrzekł Jack trochę zakłopotany - ale wygląda na to, że tak. - Uśmiechnął się do siostry.

- Wiesz, jesteście do siebie podobne. Wydaje mi się, że pokochałbym ją również, gdyby nie uratowała mi życia.

- Tak się cieszę, mój kochany!

- Pokochasz ją, Cassie.

- Już ją pokochałam za to, co zrobiła. - Spojrzała mu w oczy.

- Ożenisz się? - Kiwnął głową. - I będziecie mieszkać, oczywiście, we Francji. Louise nie zostawi domu ani rodziny. A ty będziesz tam szczęśliwszy wśród obcych, którzy cię akceptują takim, jaki jesteś, i nie litują się nad tobą, niż gdybyś miał zacząć nowe życie tutaj.

- Jak ty mnie dobrze znasz - stwierdził Jack i pocałował ją w policzek. - Będę za tobą tęsknił.

- A ja za tobą - odparła. - Twoje życie będzie przebiegało z Louise. Musisz myśleć przede wszystkim o niej. To naturalne.

- Odwiedzisz nas. Vinnie cię przywiezie. Zamierzam sprzedać nasz dom rodzinny. Za te pieniądze zdołam zmienić *chateau* w wygodny dom dla nas wszystkich.

- Podzielimy się fortuną ciotki Gwendoline - powiedziała Cassie. - Dam ci połowę.

- Nie - zaprotestował. - Zawsze byłaś aż nazbyt szczodra. Tysiąc czy dwa na zagospodarowanie chętnie przyjmę, ale nie połowę.

- Połowę - odparła z błyskiem determinacji w oczach. -

Nie kłóć się ze mną, Jack. Rozmawiałam już o tym z Carltonem, a zresztą, podjęłam decyzję. - Obrzuciła go takim spojrzeniem, że wybuchnął śmiechem. - Nie ma w tym nic śmiesznego!

- Panna Upartekopytko! - zawołał Jack. - Tamta oślica to nic w porównaniu z tobą, Cassie.

- Cóż, w tej sprawie rzeczywiście będę się upierać - przyznała Cassie i roześmiała się również. - Major Saunders mówił, że opowiadałeś różne historyjki o mnie przy obozowym ognisku. To bardzo brzydko z twojej strony, chyba sam wiesz.

- Z miłością pogłaskała brata po twarzy. - Naprawdę nie winieneś zmuszać przyjaciół do takiej przysięgi. To nie było w porządku wobec nich i wobec mnie.

- Wiem. Przepraszam. Wybaczysz mi?

- Może... Och, oczywiście!

- Zresztą, wyszło na dobre, prawda? Zawsze uważałem, że idealnie do siebie pasujecie z Vinniem.

Cassie spuściła wzrok.

- Nie jestem tego pewna, Jack. Nie jestem pewna, czy chcę wyjść za Carltona...

Vincent znieruchomiał z ręką na klamce drzwi biblioteki. Właśnie zamierzał do nich wrócić. Dał im przeszło godzinę na rozmowę w cztery oczy i przypuszczał, że zdążyli już sobie wszystko wyjaśnić. Wyglądało na to, że wrócił za wcześnie. A może raczej zbyt późno.

- Nie wyjdiesz za niego?! - zawołał osłupiały Jack. - O czym ty mówisz, Cassie? Postradałaś rozum? Wasz ślub już za trzy dni. Nie możesz się teraz rozmyślić. To wykluczone. Pomyśl tylko, jakie spowodowałabyś zamieszanie, jakie plotki! To byłby temat dnia...

Vincent wszedł, zanim Cassie zdążyła odpowiedzieć.

- Skandal nie ma znaczenia - oświadczył Vincent spokojnie. - Nie będę zmuszać Cassie do zrobienia czegoś, na co nie ma ochoty, tylko ze względu na ludzkie gadanie. Niech plotą, co im ślina na język przyniesie. Oczywiście wezmę winę na siebie...

- A niech cię, Vinnie! - Jack zerwał się na równe nogi, zdumiony i rozgniewany tym nieoczekiwanym i irytującym obrotem sprawy. - Chcesz powiedzieć, że nie zamierzasz poślubić mojej siostry? Na Boga! Jeśli ośmielisz się ją porzucić, to rozkwaszę ci nos.

- Tylko spróbuj - odparł Vincent z uśmiechem. - Bardzo wątpię, czy ci się to uda, chyba że brałeś lekcje boksu.

- Właśnie, że mi się uda! - Jack podniósł w górę pięści. - Stawaj, bratku.

- Przestańcie! - zawołała Cassie, wchodząc pomiędzy nich. - Nie będziecie się bić! W życiu nie słyszałam takich bzdur. Nie dopuszczę do tego. Jeszcze chwila, a obudzicie cały dom, żaden z was nawet o tym nie pomyślał. - Z ich min wywnioskowała, że wreszcie udało jej się do nich trafić. - Bądźcie łaskawi rozstrzygnąć spór metodami pokojowymi.

- Zabiję go, jeśli cię porzuci - wycedził Jack. - Nie wiem, co takiego zrobił, że jesteś nieszczęśliwa, ale nie pozwolę mu okryć cię hańbą.

- Nic złego nie zrobił - wyjaśniła Cassie. - Przestań patrzeć na Vincenta takim wzrokiem, Jack! To twój najlepszy przyjaciel. I wcale mnie nie porzuca. To ja nie mam pewności, czy chcę wyjść za niego za męża. Chyba wolałabym trochę zaczekać i jeszcze raz wszystko przemyśleć.

- Wcale tego nie chcesz - orzekł Jack, piorunując wzrokiem Vincenta. - Zostaniesz na lodzie, jeśli ludzie dojdą do wniosku, że to ty zerwałaś zaręczyny. Mężczyźni nie lubią takich rzeczy.

- Małżeństwo nie jest dla kobiety jedyną możliwą drogą życiową.

- Tchórzysz, Cassie? - Oczy Vincenta rozbłyły, kiedy spojrzał na jej zarumienioną twarz. - Chcesz się wycofać? Chcesz, żebym wyszedł na idiotę? - Uśmiechnął się, kiedy się zawahała; jej mina zdradzała niepewność. - Problem w tym, że sama źle na tym wyjdiesz. Może się okazać, że niektórzy z twoich przyjaciół nie będą chcieli mieć z tobą nic wspólnego, kiedy znowu przyjedziesz do Londynu. Chyba że zamierzasz zażrebać się na wsi.

- Och, jesteś niemożliwy! - krzyknęła Cassie, dosłyszawszy w jego głosie kpinę. - Czy ty nigdy nie jesteś poważny? I o co to całe zamieszanie? Powiedziałam tylko, że nie jestem pewna, czy chcę za ciebie wyjść, a ty od razu mówisz, że mnie porzucisz. Z tego wniosek, że czekałeś na pretekst, żeby się wycofać.

- Zmieniłem zdanie - odparł Vincent bez chwili zastanowienia, spoglądając na nią wyzywająco. - To ty postanowisz, Cassie. Daję ci czas do balu na podjęcie decyzji, czy chcesz za mnie wyjść, czy też nie.

- To nie fair! - zawołała zaczerwieniona z gniewu, kiedy odwrócił się do wyjścia. - Dokąd się wybierasz? Nie możesz tak po prostu wyjść. Musimy wiele spraw przedyskutować.

- Jadę do Carlton House - odparł Vincent. - Jeśli będziesz chciała mnie widzieć, przyślij wiadomość.

- Nie możesz tego zrobić! Vincent, chyba nie mówisz poważnie?!

- Podaj mi choć jeden powód, dlaczego nie miałbym tego zrobić? - Uniósł brwi i rzucił jej wyzywające spojrzenie.

- Bo... bo ja nie zamierzam cię porzucić - oświadczyła pobladła Cassie. - Nie sprawię takiego bólu lady Longbourne.

Nie powinieneś mnie do tego zmuszać, Vinnie. Przecież chyba rozumiesz, że to niemożliwe.

- Dlaczego?

Cassie potrząsnęła głową i zaczerwieniła się, zmagając się z własną dumą i zdrowym rozsądkiem.

- Postawiłeś mnie w bardzo niewygodnej sytuacji. Wyjdę albo na idiotkę, albo na jędzę. Co ludzie o mnie pomyślą?

- Że jesteś bardzo mądra, bo zerwałaś, zanim było za późno?

- Wcale nie. Wszyscy, którzy cię znają, dojdą do wniosku, że oszalałam - powiedziała Cassie i zwróciła się do brata o wsparcie. - Powiedz mu, Jack.

- Musisz się z nią ożenić albo ją porzucić. Jedno z dwojga, Vinnie. Nie możesz zmuszać Cassie, żeby to ona zerwała zaręczyny.

- Nie rozumiem dlaczego - odrzekł Vinnie z błyskiem rozbawienia w oczach. - To Cassie zmieniła zdanie. Ja nadal pragnę, by ślub odbył się zgodnie z planem. Uważam, że to ja jestem stroną pokrzywdzoną. Gdybym był człowiekiem mściwym, którym naturalnie nie jestem, zwróciłbym się do sądu o odszkodowanie za złamanie obietnicy. To jak będzie, Cassie? Wyjdiesz za mnie czy nie?

- Och, jesteś... okropny! - wykrzyknęła. - Nie cierpię cię! Muszę być niespełna rozumu, wychodząc za ciebie, ale nie widzę innego wyjścia. Wygrałeś, ale posługując się niegodziwymi metodami! Zostanę twoją żoną, sir, ale tylko dlatego, że odwołanie ślubu wywołałoby skandal i zasmuciłoby lady Longbourne, którą naprawdę kocham.

- Ale mi nagadałaś, co, Cassie? - Vincent nie przejawiał skruchy. - Zatem kwestia honoru? - Kąciki jego ust zadrżały, wyraźnie doskonale się bawił. - Chciałbym to postawić

całkiem jasno, jeśli pozwolisz, kochanie. Czy zgodziłaś się za mnie wyjść, żeby nie sprawić nikomu zawodu?

- Nie... tak. Gdyby nie to, że skrzywdziłabym ludzi, na których mi naprawdę zależy, to rzuciłabym cię w jednej chwili. Jesteś niemożliwy i... nie lubię cię! A w tym momencie nawet cię nie znoszę!

- Ale wyjdiesz za mnie?

- Tak, wyjdę za ciebie - oświadczyła Cassie i rzuciła mu spojrzenie, które każdego innego mężczyznę zwałoby z nóg.

- Choćby tylko po to, żeby ci uprzykrzać życie. Nie myśl sobie, że nie zdołam tego zrobić. Zdołam i zrobię! - dodała stanowczo i wybiegła z pokoju.

Jack milczał przez chwilę, wreszcie spojrzał na Vinniego.

-I co ci z tego przyjdzie? Niech mnie diabli, jeśli kiedykolwiek widziałem ją tak przekorną. Nie wiem dlaczego...

- Pamiętam, jak mówiłaś dawniej, że twoja siostra jest stanowcza i uparta. - Oczy Vincenta zabłyśły. - Może zapomniałaś?

- Owszem, pamiętam - mruknął Jack. - A niech to, wiem o tym aż za dobrze. Ale nie myśl sobie, że ma taki charakter. Zazwyczaj jest najśłodsza istotą, ale kiedy coś ją rozzłości, to lepiej zniknąć i przeczekać. Przegrupować siły i ruszyć do ataku następnego dnia, to moja rada. Powinieneś się do niej zastosować.

- Tak sądzisz? - Vincent uśmiechnął się do siebie. - Mnie wydaje się to interesujące.

- Bo nie wiesz, jak daleko Cassie potrafi się posunąć, żeby postawić na swoim. Przegrasz z kretesem, stary przyjacielu. Ostrzegam, Cassie w końcu osiągnie to, czego chce.

- Naprawdę?

- Kobiety zawsze stawiają na swoim - oświadczył Jack.-

Powinieneś posłuchać, co wygadywała Louise, żeby wyrwać mnie z otępienia i zmusić, bym przestał się nad sobą użalać. A to kaszka z mleczkiem w porównaniu z moją siostrą. Nawet nie wiesz, co sobie bierzesz na głowę, Vinnie.

- Chyba wiem. Cassie jest zdolna prawie do wszystkiego - oznajmił Vincent z błyskiem satysfakcji w oczach. - Zawsze uważałem, że gniew i namiętność idą w parze.

Jack zmrużył oczy.

- Do diabła, Vinnie! Chyba nie zamierzasz jej porzucić ani nakłaniać, by porzuciła ciebie, co?

- Oczywiście, że nie! - Vincent zachichotał. - Ja tylko od-
dałem jej ster, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie.

Jack gwizdnął przeciągle. - A niech mnie! Ty się w niej zakochałeś! - Rozpaczliwie - przyznał Vincent. - Jeszcze parę minut temu byłem pewien, że namiętność jest tylko po jednej stronie, bo drugiej chodzi wyłącznie o wygodny związek. Jednak doszedłem do wniosku, że jej również trochę na mnie zależy.

- Jest w tobie zakochana, to oczywiste - orzekł Jack. - Dlatego była taka wściekła.

- Tak... - Vincent kiwnął głową, a jego oczy rozświecił uśmiech. - Czy, twoim zdaniem, jest gotowa się do tego przyznać?

Rozdział jedenasty

Kiedy Cassie znalazła się w zaciszu swojej sypialni, cisnęła kilkoma poduszkami, po czym niemal zdarła z siebie sukienkę. Potem rzuciła się na łóżko i zalała łzami. Wreszcie się uspokoiła, ale była wyczerpana i nieszczęśliwa.

Co robić? Carlton odwrócił kota ogonem i wpadła w zastawioną przez siebie pułapkę. Nie cierpiała go. Żałowała, że go w ogóle spotkała. Z największą przyjemnością rozdarłaby go na kawałki. Zaczęła walić pięściami w nieprzyjemnie wilgotną poduszkę, a następnie przewróciła ją na drugą stronę. Przez kilka minut leżała, wpatrując się w sufit.

- Zawracanie głowy - stwierdziła z westchnieniem. - Dlaczego tak się przejmuję? To skończony łajdak i oszust. Zapłać mi za to. Pożałuje. Tak mnie nabrał, a potem nie chciał się przyzwoicie zachować i mnie porzucić!

Nawet jeśli w głębi duszy odczuwała odrobinę satysfakcji, że Vincent jednak nie zamierzał odwołać ich ślubu, to nie była jeszcze gotowa zgodzić się, by to poczucie umocniło się w niej i wzrosło. Została głęboko zraniona tym, co usłyszała, stojąc pod drzwiami biblioteki. Co tylko dowodziło, jak bardzo miała rację Janet, która jej powtarzała,

żeby nie podsłuchiwać, jeśli się nie chce usłyszeć o sobie czegoś przykrego.

Cassie sięgnęła po chusteczkę i wytarła nos. Była o krok od powiedzenia Carltonowi, że za niego nie wyjdzie, ale w ostatnim momencie coś ją powstrzymało. W głębi serca wiedziała, że to miłość.

- Jesteś idiotką! - skarciła się surowo. - Jeśli go kochasz, a on cię nie kocha, to będziesz w tym małżeństwie nieszczęśliwa. Powinnaś stąd uciec, gdzie pieprz rośnie, zaraz, jeszcze tej nocy.

Oczywiście nie miała na to najmniejszej ochoty. Zrozumiała, że znalazła się w pułapce. W którą stronę by się nie zwróciła, nie zdoła uciec od własnych uczuć. Zresztą dziś w nocy po raz drugi obiecała Carltonowi, że za niego wyjdzie.

Dlaczego okazał się tak nierycerski i nalegał, by to ona go porzuciła? Trudno powiedzieć. Jeśli zmienił zdanie w kwestii ich małżeństwa, mógł postąpić honorowo i się usunąć. Ale jako łajdak przerzucił cały ciężar zerwania na nią, zagroził nawet sprawą o złamanie obietnicy!

- Kłopot, kłopot! - jęknęła Cassie i nakryła głowę prześcieradłem. - Nic mnie nie obchodzi, co pan robi, lordzie Carlton. Jest pan odrażający i nie chcę mieć z panem nic do czynienia!

Cassie obawiała się, że przez całą noc nie zmruży oka, ale obudziła się z niespokojnego snu dopiero wtedy, gdy młoda pokojówka odciągnęła zasłony. Usiadła, ziewnęła i ze zdumieniem spojrzała na wpadające przez okno promienie słońca.

- Która godzina?

- Po jedenastej, panno Thornton. Otrzymaliśmy polecenie, żeby pozwolić pani pospać dłużej.

- Dziękuję. - Cassie była ciekawa, kto wydał to polecenie, ale nie zapytała. - Gdzie Janet?

- Nie najlepiej się czuje, została więc w łóżku, panienko. Przeziębła się i nie chce pani zarazić, bo zbliża się ślub.

- Janet chora? - Cassie natychmiast otrząsnęła się z resztek snu. - Pójdę do niej, jak tylko się ubiorę. Ona bardzo rzadko choruje. Musi się czuć naprawdę okropnie, skoro została w łóżku.

- To tylko przeziębienie, panienko. Powinna pani trzymać się z dala od niej przez dzień czy dwa. Chyba nie chce panienka złapać infekcji przed ślubem?

- Nonsens!

Cassie musiała sprawdzić osobiście, czy Janet nie zagraża nic poważniejszego. Wkrótce przekonała się jednak, że to rzeczywiście zwyczajne przeziębienie. Cassie pocałowała Janet, ignorując jej błagania, by tego nie robiła, i obiecała dopilnować, by stara sługa dostawała cytryny, brandy, gorącą wodę i cukier, dopóki nie poczuje się lepiej.

- Wiem, moja droga, że właśnie to zaaplikowałabyś mi podczas przeziębienia, a musisz o siebie dbać. Nie mogę wyjechać stąd bez ciebie, bo kto by o mnie dbał, więc musisz się wykurować do mojego ślubu.

- Nie zawracaj sobie mną głowy - gderła Janet. - Czeka cię mnóstwo zajęć, a ja doskonale sobie poradzę. - Wytarła nos chusteczką. - A teraz zmykaj stąd. Jeszcze się zarazisz i trzeba będzie odłożyć ślub.

- Ja nigdy się nie przeziębiam - odparła Cassie z lekceważeniem. - Jeśli jednak na pewno masz wszystko, czego potrzebujesz, zejdę teraz na dół. Powinnam wybrać się na plebanię w sprawie wazonów.

- Jeśli już konieczne musisz być we wsi, to weź przynajmniej powóz lady Longbourne - poradziła Janet.

- Tak, może rzeczywiście wezmę powóz. Nie martw się o mnie. Będę całkiem bezpieczna.

Zamyślona zeszła po schodach. Usłyszała dobiegające z frontowego salonu głosy i już chciała zawrócić, kiedy lady Longbourne wyszła jej naprzeciw.

- Cassie, kochanie, jak się dzisiaj czujesz?

- Znacznie lepiej. Właściwie całkiem dobrze, tylko ten guz wygląda okropnie.

- Cóż, chyba uda się go ukryć pod włosami. - Lady Longbourne popatrzyła na nią niepewnie. - Ktoś czeka na ciebie, moja droga. Spodziewałaś się wizyty majora Saundersa? Zdaje się, że miał cię poprowadzić do ołtarza, prawda?

- A tak. - Cassie przypomniała sobie, że istotnie major był tak miły i zaoferował jej pomoc. - Tak, muszę z nim porozmawiać.

Weszła do salonu. Major Saunders przycupnął niezbyt wygodnie na brzeżku krzesła, ale gdy stanęła w drzwiach, zerwał się natychmiast na jej powitanie.

- Panno Thornton! - zawołał wyraźnie przejęty. - Lady Longbourne opowiadała mi właśnie, że wczoraj spotkała panią niemłą przygoda. Pomyślałem, że może chce pani przełożyć ślub? - Nie był w stanie ukryć, że cieszy go ta wizja. - Tylko na pewien czas...

- Nie ma takiej potrzeby - powiedziała lekko zarumieniona Cassie. Podziw majora Saundersa tak bardzo rzucał się w oczy, że zaczęła wątpić, czy postąpiła rozsądnie, godząc się, by ją poprowadził do ołtarza. - Nie mogę zrujnować wszystkich przygotowań poczynionych przez lady Longbourne z powodu małego guza na głowie.

- Mówiono mi, że to coś znacznie poważniejszego - stwierdził, patrząc na nią z wyraźną aprobatą. - Podob-

no zachowała się pani jak bohaterka, choć może odrobinę impulsywnie.

- Ale, niestety, bez rezultatu. Carlton był zmuszony skrócić mękę tego stworzenia. A ja tylko narobiłam zamieszania i sprawiłam wszystkim kłopot.

- Jest pani dla siebie zbyt surowa.

- Nie sędzę - powiedziała Cassie poważnie. - Już czas, żebym przestała rzucać się na ośle, bez zastanowienia. Nie jestem dzieckiem, pora skończyć z głupimi zabawami. Powinam była zaczekać na Carltona.

- Ja uważam, że wykazała się pani odwagą - oświadczył major Saunders. - Podoba mi się pani taka, jaka pani jest, panno Thornton. W mojej ocenie w niczym pani nie zawiniła.

Wyczuła, że te słowa zawierają krytykę pod adresem lorda Carltona, nie mogła jednak zrozumieć jaką.

- Dziękuję, sir. - Zarumieniła się. - Jest pan bardzo wspaniałomyślny.

- Chciałbym tylko zawsze być na pani usługi i służyć pani pomocą.

Wolałaby, aby nie patrzył na nią z takim nateżeniem. Był człowiekiem towarzyskim i bardzo go lubiła, ale nie mogło być między nimi niczego poza przyjaźnią. Chyba zdawał sobie z tego sprawę? Chyba nie mógł przypuszczać, że by jego wybrała?

- Bardzo dobrze, że pan wpadł - powiedziała Cassie, podchodząc do okna, żeby ukryć rumieńce. - Jestem panu bardzo wdzięczna za propozycję poprowadzenia mnie do ołtarza, muszę jednak odmówić. Widzi pan... powinnam poprosić o to Jacka.

- Jacka?! - Major Saunders wstał również i podszedł do stojącej przy oknie Cassie. Zerknęła na niego i zauważyła, że jest

wstrząśnięty. - Co pani mówi? Jack żyje? Niemożliwe! Carlton poinformował mnie o jego śmierci. Był pewien, że poległ.

- Wygląda na to, że popełniłem błąd. - Od progu dobiegł głos Vincenta. Oboje, Cassie i major, odwrócili się gwałtownie. Na ustach Vincenta błąkał się ten jego charakterystyczny leniwy uśmiech. - Miło cię widzieć, Saunders. Cieszę się, że mogłeś przyjechać na ślub.

Podszedł do gościa i uściskał mu rękę. Cassie odeszła i usiadła na kanapie.

- Carlton... - Major Saunders ścisnął jego dłoń, ale wyraźnie nie otrząsnął się jeszcze po szokującej informacji. - Pytałem o ciebie, oczywiście, ale powiedziano mi, że nie ma cię w domu. Miałem nadzieję poprowadzić pannę Thornton do ołtarza, ale... - Potrząsnął głową. - To wspaniała wiadomość. Trudno w nią uwierzyć, ale wspaniała.

- Tak, to prawda. - Cassie uśmiechnęła się, promieniejąc ze szczęścia. - Gdzie jest teraz Jack, Vincencie?

- Pojechaliśmy razem do Kendala - odparł. - Obawiam się, że przeżył szok. Postanowił się wynieść od razu, ale Jack, oczywiście, nie chciał o tym słyszeć. Umówili się, że Jack będzie tam mieszkał do ślubu, a potem, jak sędzę, dojdą do porozumienia w kwestii przekazania praw własności. A dziś obaj, Jack i pan Thornton, przyjadą do nas na obiad. - Uniósł brwi i spojrzał na majora. - Wiem, że zostałeś zaproszony na bal, ale może mógłbyś wziąć udział w obiedzie?

- Co? O tak, z przyjemnością. Dziękuję. - Patrzył na Cassie, nadal jeszcze oszołomiony nowiną. - Cóż, jestem zawiedziony, że nie będzie pani potrzebowała moich usług, panno Thornton, ale bardzo się cieszę ze względu na panią. To wspaniała wiadomość, naprawdę wspaniała.

- Też tak sędzę.

- Nie będę was zatrzymywał. Na pewno macie jeszcze wiele do zrobienia.

- Niestety, tak - przyznała Cassie. - Muszę wybrać się do pani Walker w sprawie wazonów...

Po wyjściu majora zapadła cisza, a kiedy Cassie odwróciła się do drzwi, Vincent położył jej rękę na ramieniu.

- Weźmiesz powóz? Proszę, zrób mi tę grzeczność. Nie sądzę, by istniało jeszcze jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, ale tak na wszelki wypadek, dobrze?

- Tak, wezmę powóz. Dziękuję ci za troskę, ale zrobię to tylko dlatego, że już wcześniej obiecałam Janet.

Vincent kiwnął głową z ponurą miną. Zorientował się natychmiast, że nadal jest na niego zła i postanowił nie przeciągać struny. Cassie jest uparta i dumna, więc jeśli mają dojść do porozumienia, musi uzbroić się w cierpliwość.

Cassie uznała, że niepotrzebnie była tak niegrzeczna, i najchętniej cofnęłaby swą odpowiedź. Irytowały ją jednak nałożone na nią restrykcje. Zawsze lubiła samotne spacery, ale nie spodziewała się, oczywiście, że w biały dzień może spotkać kłusownika.

Nie wiedziała, że biedny Harry odebrał już z powodu tego incydentu ostrą reprymendę od rozgniewanego lorda Carltona.

- Gdyby twój leśniczy przykładał się do pracy, nic podobnego nie mogłoby się wydarzyć!

- Nawet mi przez myśl nie przeszło... - Harry był szczerze przejęty. - Nie pomyślałem o zatrudnieniu leśniczego, bo nie bywałem w rezydencji, teraz jednak widzę, że w przyszłości powinienem to zrobić. To mogło... - Zawahał się i zaczerwienił. - Chciałem powiedzieć, że to mogło się jeszcze gorzej skończyć, gdyby nie twoja obecność.

- Bądź szczery, Harry. Chodziło ci o to, że to samo mogło spotkać pannę Walker, prawda? - Vincent uniósł brwi, kiedy jego brat zaczerwienił się w poczuciu winy. - Nie sądzę, żeby zareagowała na kłusownika w podobny sposób jak Cassie. Ale jeśli chcesz, żeby twoje lasy były bezpieczne dla twojej przyszłej żony i rodziny, musisz podjąć odpowiednie kroki, by były należycie strzeżone. To cena, jaką się płaci za przywilej przynależności do naszej sfery.

- Przyjmuję twój punkt widzenia. - Harry zmarszczył czoło. - Vinnie, czy sądzisz, że mama... to znaczy, czy mógłbyś z nią porozmawiać o Sarah? Przekonać się, co sądzi o takiej możliwości?

- Powinieneś sam z mamą porozmawiać - odparł Vincent. - Oczywiście udzielię ci wsparcia, gdyby mama chciała cię za to rozszarpać na strzepy. Panna Walker wydaje mi się bardzo miłą dziewczyną i jest najlepszą przyjaciółką Cassie, co mogłoby okazać się korzystne dla rodziny. Nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś się z nią ożenić. Przepiszę na nią kilka tysięcy, żebyś nie musiał się obawiać wydatków na żonę.

- Nie spodziewałem się tego ani nie pragnąłem, mówiąc szczerze. Jednak to mogłoby przekonać mamę, że nie muszę szukać posażnej dziedziczki.

- Możesz to zatem uważać za załatwione.

Cassie nie słyszała tej rozmowy. Nie była świadoma wielu spraw, rozgrywających się poza główną sceną, jechała więc do wsi komfortowym powozem lady Longbourne, nadal dręczona wątpliwościami.

Po powrocie do domu Cassie udała się prosto do swojego pokoju. Na toalecie znalazła mały pakunek. Rozłożyła dołączony bilecik.

„Dla mojej przyszłej żony, z wyrazami miłości, Vinnie”.

Otworzyła pudełeczko i zobaczyła maleńką srebrną statuetkę przedstawiającą leżącą łanię z jelonkiem. Zachłysnęła się z zachwytu, podziwiając kunsztowną robotę.

Na dnie pudełeczka leżał kolejny bilecik z krótkim przesłaniem.

„Wybacz mi. Ty byłaś i jesteś cenniejsza”.

Oczy Cassie wypełniły się łzami. Dając jej taki prezent, Carlton wykazał się ogromną troskliwością i wyczuciem. Ta statuetka będzie dla niej zawsze cenniejsza niż wszystkie klejnoty rodowe Carltonów, będzie ją ceniła na równi z pierścieniem i naszyjnikiem, które, była pewna, zostały specjalnie dla niej zamówione.

Jack musiał mu powiedzieć, że Cassie uwielbia stokrotki, to jasne. A Vincent zamówił je na długo przedtem, zanim ją poprosił o rękę. Była ciekawa, dlaczego tak długo zwlekał, jeśli to była tylko kwestia wypełnienia obietnicy danej jej bratu.

Lady Longbourne była wstrząśnięta wyglądem sir Jacka Thorntona, ale uprzejmość nie pozwoliła jej zdradzić się z tymi uczuciami przed nikim. Podczas obiadu siedziała u szczytu stołu, a jej bystre oczy dostrzegały najdrobniejsze zmiany, jakie zaszły w uczestnikach obiadu.

Vincent wydawał się być w lepszym nastroju niż w ostatnim okresie. Odrodziło się dawne koleżeństwo jego i Jacka; przez cały wieczór się sprzeczali. To dziwne, ale niejednokrotnie zwróciła uwagę, że bardzo z sobą zaprzyjaźnieni panowie uważali tego typu zachowanie za najlepszą rozrywkę.

Ona nie widziała niczego zabawnego w nazywaniu najlepszego przyjaciela kompletnym idiotą czy tępym młotem. Obu

panom najwyraźniej sprawiało to niekłamaną radość, a Cassie zdawało się to nie przeszkadzać.

Dostrzegła też tego wieczoru zmianę w Cassie. Lady Longbourne nie dałaby za to głowy, ale wydawało jej się, że narzeczona syna jest spokojniejsza, cichsza. Śmiała się, ale często zamyślała, a w jej zachowaniu, gdy patrzyła na narzeczonego, wyczuwało się pewne onieśmienie.

Może i nic w tym dziwnego, pomyślała lady Longbourne i zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna na osobności szepnąć Cassie paru słów o intymnej stronie małżeństwa. W końcu miała jej zastąpić matkę i choć była przekonana, że Carlton będzie delikatny w stosunku do żony w czasie nocy poślubnej, lepiej jednak być przygotowanym. Jeśli Cassie denerwowała się, taka rozmowa mogła przynieść jej ulgę i spokój.

Przeniosła spojrzenie na siedzącego po drugiej stronie stołu majora Saundersa i zmarszczyła czoło. Miała przed sobą zakochanego mężczyznę, który starał się walczyć ze swymi uczuciami. Bardzo się starał, ale nie mógł oderwać wzroku od Cassie.

Wydawał się wyjątkowo wzburzony, czemu się trudno dziwić w zaistniałej sytuacji. Miała nadzieję, że nie zrobi nic głupiego.

Lady Longbourne zauważyła, oczywiście, że przy pierwszym spotkaniu Cassie uznała majora za atrakcyjnego mężczyznę. Nie zdziwiłaby się, gdyby jeszcze tego wieczoru wynikły z tego jakieś kłopoty. Lady Longbourne była w pełni świadoma, że starszy syn miał gwałtowny charakter, choć jej nigdy tego nie okazywał, przynajmniej od czasów, gdy jako mały chłopiec przeciwstawił się ojcu w błahej sprawie. Został za to przykładowo ukarany, pomimo że prosiła męża na osobności, by go nie bił.

Bała się nawet pomyśleć, co zrobiłby Carlton, gdyby major Saunders próbował uwieść Cassie. Uznała, że będzie musiała podczas tego obiadu zachować wyjątkową czujność. W miarę możliwości należało dopilnować, by major ani na chwilę nie został sam z Cassie.

Cassie napotkała wzrok lady Longbourne i się uśmiechnęła. Była tak zatopiona we własnych myślach, że nie zwróciła uwagi na ogniste spojrzenia rzucane jej przez chorego z miłości majora Saundersa. Dzień jej ślubu zbliżał się szybkimi krokami.

Wbrew obawom lady Longbourne, była w pełni świadoma tego, co każda młoda dziewczyna powinna wiedzieć o intymnej stronie małżeństwa i denerwowała się nie tym, co się wydarzy. Pocałunek, jakim obdarzył ją Vincent przed wyjazdem z Londynu, dał jej przedsmak przyjemności, których mogła zaznać w jego ramionach, i była teraz rozdarta pomiędzy tęsknotą a dumą.

Źle się stało, że Vincent zgodził się złożyć jej bratu tę obietnicę i że potem ciągnęli słomki. Co by zrobił, gdyby przegrał? A może właśnie przegrał? Przecież zawsze przegrywał ten, który wyciągnął krótką słomkę! Fatalnie postąpił! Jaka rola wobec tego przypadła jej w udziale? Drewnianej łyżki czy nagrody pocieszenia?

Nagła myśl przyszła Cassie do głowy. Czy major Saunders również należał do oficerów, którzy ciągnęli te fatalne słomki? Spojrzała na niego i uśmiechnęła się, postanawiając w duchu, że zapyta go o to jeszcze tego wieczoru, jeśli tylko uda jej się zamienić z nim kilka słów na osobności.

To, oczywiście, żadna różnica. Ślub musi się odbyć, ale przynajmniej będzie wiedziała, co się wydarzyło.

Po zakończeniu obiadu goście przeszli do długiej galerii, w której miały odbywać się tańce. Grupka muzyków zaczęła wygrywać romantyczne melodie.

Okolo dwunastu osób usiadło tego dnia do obiadu, a pozostałych dwadzieścia zostało zaproszonych na tańce i kolację. To więcej niż mogło wygodnie pomieścić się w galerii. W przylegającym do galerii salonie rozstawiono stoliki do gier, więc niewątpliwie wkrótce część starszych gości tam przejdzie.

- Przyłączę się do stolika Felicity na robra czy dwa - poinformował Cassie sir Septimus. - Mam nadzieję, że zarezerwujesz dla mnie przynajmniej jeden taniec, moja droga?

- Tak, oczywiście, sir - obiecała Cassie i podała mu swoją kartę.

Wyglądała olśniewająco w bladozielonej sukni, obramowanej wyhaftowanymi srebrną nicią stokrotkami. Do tego założyła naszyjnik w stokrotki i pierścionek zaręczynowy. Odrzuciła znacznie droższe rodowe brylanty Carltonów. Prosta suknia szła w parze z aurą skromności otaczającej Cassie i niejedni dżentelmen gratulował tego wieczoru Vincentowi wyboru narzeczonej.

Ona i Vincent rozpoczęli tańce. Przez minutę czy dwie byli sami na parkiecie, a goście nagrodzili ich oklaskami, zanim do nich dołączyli.

- Dziękuję za prezent - szepnęła, zerkając na niego nieśmiało. - Jest piękny, zawsze będzie dla mnie bardzo cenny.

- To ty jesteś piękna - odparł, wywołując rumieńce na jej policzkach. - Jestem dziś bardzo z ciebie dumny, Cassie. Wybaczysz mi?

- Twoje zachowanie wobec rannego jelonka? - Cassie kiwnęła głową, nie śmiejąc na niego spojrzeć. - Wierzę, że nie

miałeś wyboru. Biedne maleństwo cierpiało. Okrucieństwem byłoby skazywać je na dłuższą mękę, teraz to widzę. Gdybym nie rzuciła się naprzód jak idiotka, rozprawiłbyś się z kłusownikiem i wtedy może dałoby się coś zrobić dla nieszczęsnego zwierzątka. Jestem tak samo winna jego śmierci jak ty, może nawet bardziej.

- Dziękuję. Jesteś wspaniałomyślna. - Vincent zmarszczył brwi. - Przysięgam, że w moich lasach nie będziesz narażona na takie niebezpieczeństwa. Mam leśniczych, których głównym zadaniem jest troska o bezpieczeństwo.

- A nie będziesz miała nic przeciwko temu, że wyjdę na samotny spacer? - Cassie poczuła ulgę.

- To twój wybór, choć mam nadzieję, że pozwolisz mi czasem sobie towarzyszyć?

- Tak. - Zarumieniła się i spuściła wzrok.

- A czy wybaczyłaś mi także pozostałe sprawy? - zapytał Vincent. - A może popełniłem niewybaczalne błędy?

- Nie jestem pewna. Mam nadzieję, że z czasem zdobędę się na zrozumienie twoich motywów. Może porozmawiamy o tym w wolnej chwili?

- Masz rację, Cassie. To nie jest odpowiedni moment, żebym powiedział to, co mam do powiedzenia. - Uśmiechnął się do niej, kiedy muzyka umilkła. - Zgódźmy się na razie zostać przyjaciółmi, dobrze?

- Oczywiście - odparła, obdarzywszy go spojrzeniem, którego mocy nawet się nie domyślała. - Wydaje mi się, że zawsze byliśmy przyjaciółmi. Nawet wtedy, kiedy zmusiłam cię do dwukrotnej wspinaczki na drzewo.

Vincent wybuchnął śmiechem. Odprowadził ją do Jacka, który czekał na swoją kolej, by z nią zatańczyć. Sam zaś poprosił do tańca Sarah, a potem stryjenkę Felicity i mamę.

W balu uczestniczyły również siostra Sarah i jej matka. Westchnął i przygotował się do wypełniania powinności gospodarza.

Cassie bawiła się doskonale. Kilka razy tańczyła z Jackiem, dwa razy z Harrym, także dwukrotnie z sir Septimusem, raz z majorem Saundersem i ponownie z Vincentem. Nadszedł czas, by powtórnie zatańczyła z majorem Saundersem, ale przedtem postanowiła wejść na górę, żeby się trochę odświeżyć.

Kilka minut zabrało jej doprowadzenie do porządku fryzury i sukni i już miała wychodzić, gdy w drzwiach stanęła Sarah. Jej twarz zdradzała ogromne podniecenie, oczy błyszczały. Cassie odgadła, co przyjaciółka chciała jej powiedzieć.

- Harry się oświadczył.

- Przed chwilą! - zawołała Sarah i zawirowała dookoła własnej osi ze szczęścia. - Teraz rozmawia z tatą, ale jestem przekonana, że dostanie jego zgodę!

- Tak się cieszę, moja droga - powiedziała Cassie, obejmując przyjaciółkę. - Lady Longbourne już wie?

- Harry twierdzi, że lord Carlton przygotował ją, więc nie była zaskoczona. Najwyraźniej woli, żeby ożenił się z miłości, a nie dla pieniędzy.

- W takim razie wszystko wspaniale się składa. Będziemy siostrami, musisz namówić Harry'ego, żeby często przywoził cię do nas w odwiedziny. Nie jestem pewna, ale myślę, że moglibyśmy zaprosić lady Longbourne, by zamieszkała z nami, ale będzie, oczywiście, dzieliła swój czas między obie nasze rodziny. Nie wydaje mi się, żeby mogła mieszkać sama jak dawniej. Co o tym sądzisz?

- Oczywiście - zgodziła się Sarah. - Nie ma takiej potrzeby.

Zresztą ona doskonale potrafi wszystko zorganizować, a w dodatku umie doradzić, kogo należy zaprosić i jak się ubrać.

Cassie kiwnęła głową z aprobatą. Nie rozmawiała jeszcze z Vincentem o swoich planach, by urządzić dla jego matki apartamenty we wszystkich ich domach, ale po ślubie niewątpliwie zdoła znaleźć odpowiedni moment, by przekonać go o słuszności takiego rozwiązania.

Zostawiła Sarah, żeby się odświeżyła, i zeszła na dół. Wiedziała, że następny taniec musiał się rozpocząć. Major Saunders zapewne pomyślał, że ona go unika.

Kiedy jednak weszła do holu, prowadzącego do sali balowej, zobaczyła majora Saundersa, siedzącego na krześle. Zerwał się na równe nogi i skoczył ku niej tak gwałtownie, że drgnęła.

- Proszę wybaczyć, że kazałam panu czekać, sir - przeprosiła. - Myślałam, że to potrwa tylko chwilę, ale trochę się przeciągnęło.

- Taniec nie jest ważny - odparł i się zaczerwienił. - Proszę, panno Thornton, błagam o kilka minut rozmowy na osobności.

Cassie zawahała się, coś ją ostrzegało przed tym tete-a-tete.

- Co takiego pan może mieć mi do powiedzenia, że wymaga to ustronnego miejsca? Nie sadzę, żeby...

- Coś ogromnie ważnego - odparł. - Proszę, błagam, niech mnie pani wysłucha. Czy moglibyśmy przejść do zielonego salonu? Daję pani słowo honoru dżentelmena, że będzie pani całkowicie bezpieczna.

Był wyraźnie poruszony. Cassie, wbrew samej sobie, dała mu się przekonać. Skinęła głową i pełna obaw ruszyła w stronę salonu.

- Dobrze - powiedziała, kiedy wszedł za nią do pokoju. - Co może być tak ważnego, majorze Saunders?

- Nie mogę pozwolić, by wyszła pani za lorda Carltona, nie zdając sobie sprawy z sytuacji...

- Słucham? - Cassie spojrzała na niego ze zdumieniem. - Nie może pan pozwolić... Proszę o wybaczenie, ale nie pojmuję, skąd ta troska o moje sprawy, sir?

- Przepraszam! Byłem zbyt obcesowy. - Wyglądał na coraz bardziej pobudzonego, z wahaniem zrobił krok w jej stronę, jego mocno przed chwilą zaczerwieniona twarz pobleadła, potem znów okryła się szkarłatem, jakby zmagając się z wyjątkowo gwałtownymi uczuciami. - Uważa mnie pani za impertynenta, może i słusznie, ale gotów jestem podjąć ryzyko narażenia się na pani niezadowolenie w imię jej szczęśliwej przyszłości. Nie, proszę tak na mnie nie patrzeć. Proszę mnie posłuchać dla pani własnego dobra!

- Dobrze, sir. Skoro pan sądzi, że to takie ważne, proszę mówić. - Serce Cassie waliło jak młotem. Co, na litość boską, miał jej do powiedzenia?

- Przede wszystkim pragnę zapewnić, panno Thornton, że jestem do pani usług. Gdyby pani chciała... chciała opuścić ten dom, gotów jestem odwieźć panią w dowolnie wybrane miejsce. I własnym życiem bronić pani honoru.

Zmarszczyła brwi, słysząc to dramatyczne oświadczenie.

- Bardzo jestem panu zobowiązana, sir, nie rozumiem jednak, dlaczego miałabym chcieć stąd odjechać? Mam wyjść za mąż...

- Za mężczyznę, który pani nie kocha - dokończył major Saunders. - Poprosił panią o rękę, żeby spełnić obietnicę daną Jackowi. Było nas tamtej nocy pięciu przy ognisku. Jack zmusił wszystkich do złożenia przysięgi. Carlton wyciągnął krótką słomkę... - Spojrzał na nią tak, jakby się spodziewał, że na tę wiadomość pobleednie albo wręcz zemdleje. - Przykro mi to

pani mówić, ale... uznałem, że powinna pani o tym wiedzieć, zanim będzie za późno.

Cassie patrzyła na niego z nieodgadnioną miną.

- Dlaczego mi pan to mówi, sir? Jeżeli pan również ciągnął słomki... to jest pan tak samo winien. Pięciu dorosłych mężczyzn ciągnęło słomki, żeby los wskazał tego, który ma jako pierwszy poprosić o rękę nieznaną kobietę. Muszę panu powiedzieć, że, moim zdaniem, trudno sobie wyobrazić większą głupotę.

- Nie, nie! Źle mnie pani zrozumiała! - zawołał z ogromnym wzburzeniem. - Dla mnie krótka słomka byłaby najwspanialszą nagrodą. Już wtedy zaczynałem panią kochać. A kiedy panią poznałem, zrozumiałem, co tracę... co Carlton wydarł mi w oszukańczy sposób!

- Oszukańczy sposób? - Cassie się zdziwiła. - Nie wiem, w jaki sposób mógł pan zostać oszukany.

- Wszystkie słomki były tej samej długości. Widziałem, jak Carlton złamał swoją za plecami, bo chciał mieć pewność, że to on będzie mógł oświadczyć się pani jako pierwszy.

- Rozumiem... - Twarz Cassie nie zdradzała burzy szalejących w niej uczuć. - Dziękuję, że mi pan o tym powiedział, majorze Saunders. Bardzo jestem panu zobowiązana za troskę. To jednak niczego nie zmienia. Widzi pan, wiedziałam już o słomkach i tej głupiej przysiędze.

Na twarzy majora odmalowało się rozczarowanie.

- Już pani wiedziała? Od kogo?

- Usłyszałam tę opowieść od Carltona - oświadczyła Cassie. Podniosła dumnie głowę. - Obaj się przyznali, Vincent i Jack, i razem śmialiśmy się z tego. To wszystko było, naturalnie, pozbawione sensu. I zupełnie niepotrzebne. Od lat byliśmy sobie z Carltonem nieformalnie przyrzeczeni. Sądziłam, że wszyscy

o tym wiedzą. W dzieciństwie to była jedynie sympatia i przyjaźń. Rozkwitły jednak w...

Nie dane jej było dokończyć. Major Saunders wydał okrzyk rozpaczony i rzucił się na Cassie.

- Nie! Nie, proszę tego nie mówić! - krzyczał rozpaczliwie.
- Nie mogę znieść, że została pani tak oszukana. On ma kochankę! Pewnie pani jej nie zna, ale wszyscy byli pewni, że się pobiorą. Niech pani nie unieszczęśliwia samej siebie w tym pozbawionym miłości związku. Proszę natychmiast ze mną wyjechać, panno Thornton. Błagam panią...

Cassie odwróciła głowę i krzyknęła, kiedy major próbował ją pocałować. Odpychała go, próbując go powstrzymać.

- Proszę, sir! - zawołała. - Niech pan tego nie robi. Proszę mnie natychmiast puścić!

- Zabieraj od niej łapy, Saunders, bo cię zabiję!

Vincent znalazł się nagle w pokoju, ale nie był to uprzejmy, uśmiechnięty dżentelmen, którego Cassie знаła i kochała. Tyle w nim było wściekłości, agresji! Stary Carter, poprzedni dzierżawca gospody „Pod Zajacem i Ogarem” bez trudu rozpoznałby tego demona zemsty o ponurej twarzy, podobnie jak pewien kłusownik, ale Cassie nigdy go takim nie widziała. Major Saunders puścił ją natychmiast, odsunęła się więc, patrząc na niego szeroko otwartymi, pełnymi przerażenia oczami.

- Ty przeklęty łajdaku! - krzyknął Vincent i wymierzył mu pełen furii cios.

Wystarczyło jedno uderzenie, żeby posłać potężnego mężczyznę na podłogę. Major nie stracił przytomności. Leżał na podłodze i patrzył na Vincenta z wyrazem takiej samej furii na twarzy.

- Będziesz mi musiał za to dać satysfakcję, Carlton!

- Z przyjemnością - odparł Vincent. - Proszę przysłać sekundantów, sir.

- Nie! - zawołała z przerażeniem Cassie. Nie wolno im walczyć! Coś mogło się stać Carltonowi, a tego by nie zniosła. - Proszę, nie bijcie się z tego powodu. Nic mi się nie stało. Major Saunders zapomniał tylko na chwilę o dobrych manierach.

- Cicho bądź, Cassie - powiedział Vincent ostro. - To sprawa honorowa. Zostanie rozstrzygnięta pomiędzy dwoma dżentelmenami we właściwy sposób.

- Co tu się dzieje? - zapytał Jack, wchodząc do pokoju. Zobaczył, że major Saunders chwiejnie podnosi się z podłogi, masując policzek. - Vinnie? Znokautowałaś George'a? Za co? - Jego oczy zwięzły się podejrzliwie, kiedy spojrzał na siostrę. - Czy on cię w jakiś sposób obraził, Cassie? - Jej milczenie wystarczyło mu za odpowiedź. - Na Boga! Odpowiedz mi za to, Saunders! Wybierz broń: pistolety czy szpady?

- Wolnego! - warknął Vincent. - Ja mam pierwszeństwo. Cassie jest moją narzeczoną. I ja dam szkołę temu bydlakowi.

- To moja siostra, do licha! - rzekł Jack ze złością. - Jeszcze nie jesteście małżeństwem. Ustąp mi. Chcę się z nim pierwszy rozprawić.

- To moja narzeczoną. Pojutrze zostanie moją żoną. - Vincent piorunował go wzrokiem. - Jeśli nie zdołam go zabić, jeśli on zabije mnie, wtedy go za mnie wykończysz.

- A może będziecie ciągnąć słomki, któremu przypadnie ten przywilej?

Sarkastyczny ton Cassie przerwał spór. Obaj odwrócili się i spojrzeli na nią ze zdumieniem.

- Dlaczego nie? Już kiedyś to zrobiliście, pozwolę sobie przypomnieć - stwierdziła. - W życiu nie słyszałam takich

szkod. Żaden z was nie będzie się pojedyńkował z powodu zwykłej głupoty. Nie pozwolę, żeby którykolwiek z was ryzykował, że zostanie zraniony albo zabity w przededniu mego ślubu.

- Cassie... - zaczął ostrożnie Jack, widząc jej wysuniętą z uporem brodę. - Nie rozumiesz. Nie można nie przyjąć wyzwania. To kwestia honoru.

- Możecie się wszyscy nawzajem przeprosić, podać sobie ręce i zapomnieć o tym incydencie - orzekła Cassie. - Major Saunders przeprosi mnie i opuści ten dom, kładąc kres całej sprawie. Zachował się głupio, ale jestem gotowa puścić to w niepamięć. Mogę również wybaczyć wam obu, jeśli okażecie rozsądek.

Jack spojrział pytająco na swego najlepszego przyjaciela. Stawianie Carltonowi wyzwania - i to przy świadkach - nie było najmądrzejszym posunięciem.

- Cassie, wydaje mi się, że powinnaś być nieco ostrożniejsza - powiedział.

- Nie pozwolę, by w taki sposób dyktowano mi, jak mam postąpić - odparł stanowczo Vincent. - Jesteś moją narzeczoną i...

- Nie wybaczę ci, jeśli to zrobisz! - zawołała Cassie, blada, ale zdeterminowana. - Jeśli będziesz się upierał przy tej głupocie, Carltonie, to nigdy nie zostanę twoją żoną!

Była gotowa posunąć się do każdej groźby, byle tylko go powstrzymać. Nie potrafiła znieść myśli, że mogłaby go stracić. Do tej chwili nie zdawała sobie w pełni sprawy z głębi swojego uczucia.

Cassie nie wierzyła dotychczas, że mogłaby pokochać kogoś tak mocno jak brata, okazało się jednak, że się myliła. Nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez Vincenta. Zrobiłaby

wszystko, zaryzykowałyby nawet utratę jego uczucia, byle tylko nie zobaczyć go ciężko rannym czy zabitym.

- Cassie, kochanie! Nie zostaniesz żoną Carltona? - krzyknęła lady Longbourne, która weszła w środku sceny i nie rozumiała, co się tutaj dzieje. - Naprawdę chcesz odwołać ślub? Och, kochanie, nawet tak nie mów! - Przez chwilę patrzyła na nich w oszołomieniu, wreszcie skierowała oskarżycielski wzrok na majora Saundersa. - To wszystko pana wina, sir. Ależ z pana podła kreatura! Jak pan mógł próbować odebrać nam Cassie? Wiem, czym się pan kieruje. Nie tylko jest pan w niej po uszy zakochany, ale zwietrył pan też jej majątek. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Nie zostawiaj nas, Cassie. Nie wiem, jak mam bez ciebie żyć. Proszę, Cassie, jeśli mnie kochasz, nie możesz uciec z tym okropnym człowiekiem.

- Nigdzie z nikim nie odchodzę - oświadczyła Cassie. - Naprawdę uważam, że będzie mi znacznie lepiej, jeśli zostanę tu z tobą, mamó. Wątpię, by warto było wychodzić za mąż za kogokolwiek.

- Ale, Cassie, kochanie, musisz wyjść za Carltona. Jeśli tego nie zrobisz, wszyscy będą zaszokowani.

- Wybacz, mamó - wtrącił rozdrażniony Vincent. - Myślę, że wyjaśnimy to z Cassie między sobą...

- Ale ona powiedziała, że nie wyjdzie za ciebie... że nigdy ci nie wybaczy... no, właściwie nie bardzo wiem, czego, ale niewątpliwie musiałeś czymś ją zdenerwować, skoro nie chce cię poślubić.

- Nie powiedziałam, że za niego nie wyjdę - sprostowała Cassie. - Tylko że nigdy mu nie wybaczę, jeśli z powodu głupiego nieporozumienia zabije majora Saundersa.

- Zabije...! - Lady Longbourne wydała okrzyk rozpacz. - Zakochałaś się w tej żmii!

- Wcale nie. Zawsze myślałam o majorze jedynie jako o zabawnym przyjacielu Jacka - odparła Cassie. - Jednak nie zamierzam stać z boku i patrzeć, jak Carlton go morduje. Jestem, oczywiście, gotowa wyjść za Vincenta, pod warunkiem jednak, że zrezygnuje z tego kretyńskiego pojedynku...

- Pojedynku? - Lady Longbourne pisnęła i uwiesiła się na ramieniu syna. - Carltonie, czuję się fatalnie. Obawiam się, że zemdleję...

- Mamo? - Vincent spojrzał na nią ze zmarszczonym czołem. - Nie rób przedstawień. To nie czas na... Mamo? Mamo! - Zdrętwiał z przerażenia, gdy na jego oczach zaczęła osuwać się na ziemię. - Mamo najdroższa. Wybacz. Proszę, nie mdlej!

Lady Longbourne nie była wiotka. Musieli we dwóch z Jackiem zanieść ją na kanapę, gdzie leżała bezwładnie, dopóki Cassie nie podsunęła jej soli trzeźwiących pod nos.

- Nie zostawiaj mnie, Cassie - szepnęła. - Nie zniosę tego. Stałaś mi się tak droga jak własna córka. Jeśli odejdziesz, nie będę miała po co żyć...

To był jawny szantaż i wszyscy doskonale zdawali sobie z tego sprawę, ale czy Cassie mogła odmówić takiemu błaganiu? Pochyliła się nad swą przyszłą teściową i uspokajająco gładziła jej rękę.

- Nie denerwuj się, kochana. To wszystko wina Carltona. Jestem pewna, że po zastanowieniu dojdzie do wniosku, że popełnił błąd, i wszystko będzie dobrze.

Oczy lady Longbourne spoczęły na synu, przekazując mu ostrzeżenie, którego powinien posłuchać, jeśli ma odrobinę oleju w głowie.

- Idź, Carltonie. Jeśli ci choć trochę na mnie zależy, to zrobisz co trzeba.

Vincent zrozumiał, że otwiera się przed nim droga ucieczki i podziękował w duchu swej mądrej matce.

- Jak sobie życzysz, mamó. - Spojrzał na pozostałych panów. - Może przejdziemy do biblioteki i przedyskutujemy tę sprawę?

Lady Longbourne uczepliła się z całej siły ręki Cassie, kiedy ta zrobiła taki ruch, jakby chciała za nimi iść.

- Nie, musisz zostać ze mną. Rozwiążą swoje problemy, moja droga, jak przystało na dżentelmenów, czyli na swój własny, raczej dość dziwny sposób.

Cassie spojrzała Vincentowi w oczy.

- Mówiłam poważnie. Niełatwo mi będzie ci wybaczyć, jeśli stoczysz pojedynek o taki drobiazg. - Chyba wiedział, co w głębi serca chciała mu powiedzieć? Musiał wiedzieć.

Vincent skłonił głowę i wyszedł bez słowa. Zauważyła jednak złowieszczy błysk w jego oczach, kiedy zerknął jeszcze na nią, zanim zamknął za sobą drzwi.

- Wyszli? - zapytała słabo lady Longbourne, podnosząc do ust pachnącą lawendą chusteczkę.

- Tak. - Cassie popatrzyła na nią z niepokojem. - Bardzo źle się czujesz? Może posłać po doktora?

- Do licha z doktorem! - powiedziała lady Longbourne i usiadła w nagłym przypiływie energii. - W życiu nie czułam się lepiej. Kochanie, nie powinnaś stawiać Vincentowi ultimatum w obecności innych mężczyzn. To błąd. Nie mógł się wycofać, nie pozwalała mu na to duma. Mogliby sobie pomyśleć, że wodzisz go za nos.

- Ale ja nie chcę, żeby Carlton czy Jack się pojedynkowali. Nie życzę też śmierci majorowi Saundersowi. Gdyby Vincent wtedy nie wszedł, poradziłabym sobie sama. Ani przez chwilę nie byłam zagrożona. Jestem zła na niego za całe to zamieszanie.

- Ale naprawdę chcesz wyjść za Carltona, prawda? - Lady Longbourne popatrzyła na nią nieco zdezorientowana. Zarumieniona Cassie kiwnęła głową. - W takim razie nie wiem, co robić. Bo widzisz, oni będą się pojedynkowali. Nie ma możliwości, by Carlton cofnął się wobec wyzwania.

- O nie! Muszę ich powstrzymać... - Cassie zerknęła z niepokojem w stronę drzwi, znowu ogarnęło ją przerażenie. - Czy mężczyźni muszą być tacy niemądrzy?

- Nie ma najmniejszego powodu do zmartwienia - oświadczyła lady Longbourne z lekkim uśmiechem. - Przypuszczalnie wybiorą pistolety i strzelą w powietrze. Podejrzewam, że im wszystkim jest trochę głupio, ale honor każe im brnąć dalej.

Cassie popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Tak sądzisz? Przecież to idiotyzm. Skąd pewność, że nie pozabijają się nawzajem? Vincent był wściekły. Uderzył majora Saundersa i wyglądał na zdolnego do zabójstwa.

- Zdarzyło mi się kiedyś to samo. Ojciec Vincenta wpadł we wściekłość - przypominała sobie lady Longbourne. - Przyłapał mnie na całowaniu się z sir Bertramem. Kochaliśmy się przez wiele lat, na długo zanim oboje odzyskaliśmy wolność i mogliśmy się pobrać, ale nie... no, nie byliśmy kochankami. To był zwyczajny całus pod jemiolą. Carlton, oczywiście chodzi o mojego ówczesnego męża, uparł się przy pojedynku. Bertie powiedział mi po latach, że obaj wystrzelili w powietrze, a potem razem poszli się upić. Byli przyjaciółmi i doszli do wniosku, że głupio się mordować z powodu pocałunku.

- Nie? Naprawdę? - Cassie popatrzyła na nią, po czym wybuchnęła śmiechem, dostrzegając nagle całą absurdalność sytuacji. - I sądzisz, że Carlton...? Urządzać taką scenę, wiedząc doskonale, że to tylko burza w szklance wody!

- Wyjdiesz za niego, prawda, Cassie?
- Sądzę...

Urwała, bo nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wtargnął sir Septimus. Spiorunował wzrokiem siedzącą na kanapie lady Longbourne.

- Mogłem się tego spodziewać! Dlaczego tu siedzisz, Emeline? Wszyscy czekają na kolację.

- Ojej! - zawołała lady Longbourne i natychmiast wstała.
- Zachowuję się okropnie. Wybacz, Septimusi. Wyszłam tylko na chwilę... Wiesz, ta moja biedna głowa. Okropna ze mnie gęś. Ciekawe, jak ze mną wytrzymujesz. - Wzięła go pod ramię, ale odwróciła się i mrugnęła do Cassie łobuzersko.

- Chodź, kochanie. To bardzo ładnie z twojej strony, że mnie ratowałeś, ale naprawdę nie możemy kazać gościom dłużej czekać na kolację.

Rozdział dwunasty

Minęło sporo czasu. Jack i Vincent siedzieli w bibliotece, racząc się butelką całkiem niezłej brandy. Sir Harry wrócił do sali balowej, odegrawszy rolę sekundanta Vincenta.

- Co za niezręczna sytuacja - zauważył Vincent, nalewając brandy do dwóch szklaneczek. - Jak sądzisz, Jack, co ona zrobi? Wyjdzie za mnie, a potem będzie mnie trzymała na dystans, czy po prostu pośle mnie do diabła?

- Ostrzegałem cię - przypomniał Jack, sięgając po napełnioną szklaneczkę. - Nie ma co ukrywać, że Cassie bywa niekiedy przekorna. Czasami wpada w złość bez powodu... No, prawie bez powodu. Ma własne zdanie.

- Tak, pamiętam, że już to mówiłeś. - Słaby uśmiech pojawił się na ustach Vincenta, który usadowił się w dość sfatygowanym, skórzanym fotelu i wyciągnął przed siebie długie nogi. Okno było otwarte i wpadający do pokoju lekki wietrzyk poruszał firanką. - Była wspaniała, prawda? Miała rację. Nie powinienem tracić panowania nad sobą w jej obecności. Należało spokojnie wyprowadzić stamtąd Saundersa i przylać mu na osobności.

Jack mądrze pokiwał głową.

- Tak byłoby znacznie lepiej. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Oczywiście nie mogłeś wycofać się w obecności pań - stwierdził i pociągnął zdrowy łyk brandy. - Całkiem niezła! Louise ma w piwniczce kilka butelek wyśmienitego koniaku. Musisz go kiedyś skosztować, Vinnie. A wracając do sprawy. Nie można przecież anulować wyzwania. Inaczej nie mógłbyś spojrzeć w lustro. Naturalnie powinieneś wypalić mu między oczy. Jednak ten Saunders to nie jest taki zły chłop. Co mógł poradzić na to, że się w niej zakochał. Postąpił honorowo. Strzelił w powietrze, choć ty miałeś jeszcze prawo do strzału i mogłeś go ubić jak kaczkę. Choć właściwie po czymś takim nie bardzo ci wypadało.

- To prawda. - Vincent zachichotał, wrócił mu wreszcie dobry humor. - Mogło się skończyć na tym nokaucie, gdyby nie był idiotą i nie wyzwiał mnie w obecności Cassie. Po zastanowieniu straciłem ochotę, by go zabić. Prawdę mówiąc, Jack, widziałem w życiu już zbyt wiele krwi.

- Sądysz, że mówiła poważnie? Potrafi być uparta do przesady, nie lubi przyznawać się do porażki.

-Tak, zauważyłem - odparł Vincent, któremu przypominała się siedząca na drzewie dziewczynka, która nie pozwoliła się zdjąć, dopóki jej kot nie znalazł się bezpiecznie na ziemi. Wówczas musiał jej ustąpić, doznając w dodatku uszczerbku na godności, bo okazało się, że rozdarł spodnie w szalenie nieodpowiednim miejscu. - Co mam teraz zrobić? Zagrałem swoją kartą atutową poprzedniego wieczoru. Nie mogę jej użyć ponownie.

- Jeśli zdołasz pokazać jej zabawne strony tego wszystkiego, to pewnie spuści z tonu - zasugerował. - Szczególnie że żadnemu z nas nic się nie stało. Widzisz, zachowywała się tak, ponieważ się o nas niepokoiła.

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Nie jestem pewien, ale może lepiej pokazać jej, kto tu rządzi?

- To z góry skazane na przegraną! - zawołał zaniepokojony Jack. - Natychmiast zaprze się i nie ruszy się z miejsca.

- Jak ten osioł, którego ukradła, tak?

- Podobnie, tylko znacznie gorzej - odparł ponuro Jack. - Nie znasz Cassie, jeśli sądzisz, że zdołasz ją do czegoś zmusić. Powinieneś podchodzić do niej w aksamitnych rękawiczkach, Vinnie.

- Może i masz rację - stwierdził Vincent z błyskiem w oku. Pociągnął solidny łyk brandy. - Wiesz, wydaje mi się, że mogłoby być zabawne sprawdzić, jak daleko Cassie gotowa się posunąć?

- Odważny jesteś - mruknął Jack i dopił swoją brandy. - Tyle tylko mogę powiedzieć.

Następnego ranka Cassie wstała zmęczona po nieprzespanej nocy. Pożałowała impulsywnych słów niemal natychmiast po ich wypowiedzeniu; jeśli lady Longbourne miała rację, to jej sprzeciw wobec pojedynku był całkowicie niepotrzebny. Czuła się głupio i była pełna obaw. A jeśli Vincent weźmie ją za słowo? Przypuśćmy, że dojdzie do wniosku, iż wcale nie chce żenić się z tak wybuchową kobietą? Tylko tego brakowało, żeby odwołał ślub!

Chciała go przeprosić, ale jak to zrobić z godnością? Wi-
na leżała po jego stronie, ale ona niepotrzebnie rozdmuchała całą sprawę.

- Kłopot! - Podeszła do okna. W samą porę, by zobaczyć, że Vincent wsiada na konia i odjeżdża. Dokąd się wybiera? Następnego dnia mieli się pobrać, a niczego jeszcze między sobą nie omówili. A mieli tyle do powiedzenia!

Cassie natychmiast poczuła znajome rozdrażnienie. To nie ona powinna przeproszać. Vincent powinien błagać o to, by ona mu wybaczyła. Jeśli to zrobi, będzie mogła mu darować. Rozdrażnienie nie ustąpiło aż do spotkania z zaniepokojoną lady Longbourne.

- O, tu jesteś, Cassie - powiedziała, wchodząc do saloniku. - Pół godziny temu rozmawiałam z Carltonem. Och, moja droga! Nie ma drugiego tak upartego mężczyzny! On gotów wpaść w melancholię. Twierdzi, że kłótnia między wami wynikła wyłącznie z jego winy i że doskonale rozumie, dlaczego nie chcesz za niego wyjść. Pojechał do Carlton House i mówi, że nie wróci, chyba że go wezwiesz. Twierdzi, że nie zamierza cię zmuszać do małżeństwa, którego nie chcesz, i że cała wina leży po jego stronie.

- Och, co za prowokator! - zawołała Cassie, całkowicie wyprowadzona z równowagi. Jak mógł wysłać do niej własną matkę z taką bajeczką? To śmieszne i do niego niepodobne. - Jak mógł mi to zrobić? Tak sobie odjechać! Mógł przynajmniej poczekać na mnie i porozmawiać.

- Nie sędzę, żeby był w stanie spojrzeć ci w oczy – oświadczyła lady Longbourne, ocierając oczy chusteczką. Zaszlochała, mając nadzieję, że wypadło to naturalnie. - Jeszcze nigdy go takim nie widziałam. Wydaje mi się, że bardzo mu na tobie zależy, moja droga. Boję się, że mógłby zrobić coś strasznego, gdybyś nie powiedziała mu, że może wrócić i poślubić ciebie.

Cassie rzuciła jej chmurne spojrzenie.

- Wysłał panią jako swego ambasadora w nadziei, że pani mnie skruszy, ale przejrzałam jego sztuczki i nie zamierzam się poddać.

- Och, kochanie! - zawołała rozczarowana dama. - Naprawdę nie mogłabyś ustąpić? Może rzeczywiście nie

jest aż tak zgnębiony, jak próbowałam ci wmówić, ale na pewno jest do ciebie głęboko przywiązany. Poza tym od dam oczekuje się ustępstw. Mężczyźni spodziewają się tego, a kobieta zawsze potem może znaleźć sposób, żeby jednak postawić na swoim.

Cassie zachichotała na widok figlarnego błysku w oczach lady Longbourne.

- Jesteś bardzo mądrą kobietą, mamo.

- Wiem i wolę spokojne życie od konfrontacji - odparła lady Longbourne z westchnieniem. - Nie sądzisz, że mogłabyś mu wybaczyć, kochanie?

- Powinien był poczekać i porozmawiać ze mną. Gdyby tak postąpił, mogłabym mu wybaczyć, przynajmniej tym razem.

- Czy mogę kogoś posłać, by go zawrócił, żebyście mogli omówić sytuację? - Lady Longbourne popatrzyła na nią z nadzieją. - Tylko omówić sytuację, Cassie. Nie musisz się tak od razu poddawać.

- W żadnym wypadku - odparła Cassie. - Może przyjechać, jeśli chce, albo nie. Mam umówione spotkanie z panią Walker w sprawie udekorowania kościoła kwiatami.

- A po co dekorować kościół, skoro nie będzie ślubu? - zapytała chytrze lady Longbourne.

- Bo tak mi się podoba - rzuciła lekko Cassie. - Nie martw się, kochana. Carlton na pewno wróci, jak sobie wszystko przemyśli.

Lady Longbourne napisała chaotyczny liścik do brata Cassie, błagając go, by wykorzystał swe wpływy i przemówił do rozsądku albo swojej siostrze, albo jej synowi.

„Bo jeśli nikt ich nie przywiedzie do rozumu, to odrzucą coś bardzo cennego - i co ja zrobię ze smakołykami przygotowanymi na wesele?”

Vincent siedział rozwalony na staroświeckim drewnianym szezlongu w salonie Jacka, kiedy ten liścik został dostarczony. Jack przeczytał go, chmurząc się coraz bardziej, po czym bez słowa oddał kartkę przyjacielowi.

- Wpuściłeś lisa do kurnika - oświadczył. - Cassie nigdy nie poprosi, żebyś wrócił. Jest na to zbyt dumna. Zresztą, czemu miałaby cię błagać? Powinieneś był porozmawiać z nią rano osobiście, Vinnie.

- Chciałem ją zmusić, by posłała po mnie. - Twarz Vincenta pozostała nieprzenikniona.

- Nie robi tego. Znam Cassie. Możesz tu czekać do woli, ale nic ci z tego nie przyjdzie.

- Może spróbujesz ją do mnie przekonać? Pojedź do kościoła, Jack. Powiedz, że powinna za mnie wyjść, nawet jeśli nie ma na to ochoty, a potem wróć, by zdać mi relację.

- Oszalałeś? - Jack popatrzył na niego podejrzliwie. Vincent potrafił zawsze doskonale mydlić innym oczy i Jack miał poczucie, że właśnie to robił w tej chwili. - Gdybym czegoś takiego spróbował, pewnie dostałbym od niej w ucho. Zresztą, to się nie uda. Cassie nie zmieni zdania, chyba że ty ją o to poprosisz.

- Błagać ją? - Oczy Vincenta rozbłysły. - Chcesz, żebym padł przed nią na kolana?

- Może nie musiałbyś się do tego posuwać. - Jack spojrział z irytacją na Vincenta. - Do diabła, człowieku! Ślub ma być już jutro, nie możesz ryzykować.

- To mnóstwo czasu...

- Zawsze miałeś nerwy ze stali - mruknął Jack z podziwem.
 - Cóż, powodzenia.
 - Naprawdę nie spróbujesz jej do mnie przekonać?
 - Nie, Vinnie. Musisz to zrobić sam.
 - Chyba masz rację. - Zerknął na swój piękny, złoty zegarek z grawerowaną kopertą. Posłuchał, jak wydzwania kwadrans i schował go do kieszonki kamizelki. - Wydaje mi się, że Cassie opuściła już kościół, i jeśli zaraz wyjdę, to złapię ją w drodze do domu, bo pewnie idzie pieszo.
- Jack przyjrzał mu się podejrzliwie zwięzonymi oczami.
- Od początku to planowałeś, prawda?
 - Oczywiście - odparł Vincent z leniwym uśmiechem. - Cassie miała dość czasu do zastanowienia i do tej pory chyba zdołała ochłonąć.

Cassie rzuciła ostatnie spojrzenie na kościół. Była zadowolona z efektu swej pracy. Przenikliwy zapach lilii wypełniał świątynię. Słońce wpadało do wnętrza przez wysoko umieszczone witrażowe okno, rzucając tęczę kolorów na wypolerowane kamienne płyty podłogi. Panował tu idealny spokój, który pomógł jej uporządkować sprzeczne emocje.

Przynajmniej pozbyła się wątpliwości. Wiedziała już dokładnie, dokąd w życiu zmierza i dlaczego. Jutro złoży tutaj przysięgę małżeńską i zostanie żoną Vincenta. Z uśmiechem opuszczała kościół. Na chwilę rozdrażniła ją wiadomość od Vincenta, ale po zastanowieniu doszła do wniosku, że w końcu będzie musiała pójść na ustępstwa, bo naprawdę chciała za niego wyjść, choć był nie do wytrzymania. I nie dlatego, że odwołanie ślubu w ostatniej chwili wywołałoby skandal, a dlatego, że go kocha, i to tak bardzo, że nie może wyobrazić sobie życia bez niego.

Wchodząc do lasu w pobliżu Longbourne, Cassie przeżyła moment niepokoju, ale powiedziała sobie stanowczo, że jeśli teraz podda się lękowi, to już nigdy nie odważy się pójść sama na spacer. Zresztą kłusownik, któremu przeszkodziła, nie będzie miał śmiałości wrócić.

Po kilku minutach spaceru usłyszała przed sobą trzask, jakby ktoś nadepnął na suchą gałązkę. Odetchnęła głęboko, ale nie pozwoliła sobie zapytać kto to. Pochyliła się natomiast i podniosła z ziemi złamaną gałąź, żeby w razie czego mieć się czym bronić. Potem, kiedy wyszła na polanę, zobaczyła Vincenta, siedzącego na kłodzie powalonego drzewa. Wyraźnie na nią czekał. Upuściła gałąź i ruszyła naprzód. Lord Carlton uśmiechnął się na jej widok.

- Witaj, Cassie, Masz wolną chwilę?

- Oczywiście - odparła. - Jednak nie pojechałeś do Carlton House?

- Naprawdę uwierzyłaś, że pojechałem?

- Na parę sekund. - Potrząsnęła głową. - Doprawdy, Vinnie! Twoja biedna mama zaczęła już sobie wyobrazać, że rzucisz się do rzeki albo pograżysz w depresji.

- Ale ty jej nie uwierzyłaś? Przypuszczałem, że nie uwierzysz. Dobrze mi tak, skoro wysłałem tak kretyńską wiadomość, prawda?

- Postąpiłeś głupio - oświadczyła Cassie tonem wymówki. Zdołała ukryć rozbawienie. Nie mogła przecież wybaczyć mu tak natychmiast. Nie powinien sobie wyobrazać, że zawsze uda mu się postawić na swoim. - Sądziłeś, że nie zorientuję się, iż to zwykła bujda?

- Gdybym wiedział, nie zrobiłbym tego, wyznaję jednak, że jakiś diablík mnie podkusił. - Przesunął się na pniu, żeby zrobić miejsce i spojrzał pytająco na Cassie. - Obawiam się, że

mam dość nietypowe poczucie humoru, kochanie. Zachowaliśmy się oboje jak para głupców, nie sądzisz?

- Myślę, że mogliśmy być bardziej szczerzy względem siebie
- odrzekła Cassie i utkwiała w nim takie spojrzenie, że drgnął.
- Dlaczego nie powiedziałeś mi o obietnicy złożonej Jackowi? To oczyściłoby atmosferę, a ja zrozumiałabym, gdybyś mi wytłumaczył. I dlaczego złamałeś swoją słomkę?

- Saunders ci wczoraj o tym powiedział? - Kiwnęła głową, a on westchnął. - Nie mówiłem ci, co się wydarzyło, bo wiedziałem, że będziesz zła. Tak się wściekłaś na biednego Kendala, który tylko starał się zachować przyzwoicie. Może jest pompatycznym nudziarzem, kochanie, ale chciał dobrze. Nie miał pojęcia, że ciotka zapisała ci w spadku fortunę.

- Tak, wiem. Zrozumiałam, że źle go osądziłam, i już go za to przeprosiłam.

Vincent spojrzał na nią z aprobatą.

- Wiedziałem, że w końcu to zrobisz. Wyobraź sobie mój dylemat, Cassie. Wpadłabyś w furię na wieść o tej głupiej obietnicy.

- Chyba tak. Nie powiedziałeś mi jednak, dlaczego złamałeś słomkę.

- Chciałem mieć pewność, że to ja pierwszy poproszę cię o rękę, bo uważałem, że jestem to winien Jackowi. Był tamtej nocy w okropnym stanie i na pewno nie powiedziałby tego, co powiedział, gdyby mógł jasno myśleć.

- Dlaczego uważałeś, że jesteś mu coś winien? Nie miał prawa występować z taką prośbą ani do ciebie, ani do nikogo innego.

- Byłem mu to winien, bo uważałem się za odpowiedzialnego za jego śmierć. Zmusiłem go, żeby ze mną pojechał. Wpadliśmy w zasadzkę, a kiedy został postrzelony, uznałem,

że nie mógł tego *przeżyć*. Pojechałem dalej. Miesiącami dręczyły mnie wyrzuty sumienia i niezdecydowanie. Czułem, że mam obowiązek poprosić cię o rękę, ale równocześnie bałem się, że znienawidzisz mnie za spowodowanie śmierci brata. A gdybym nie powiedział ci prawdy, ta tajemnica stałaby zawsze pomiędzy nami. To była moja wina, Cassie. Cierpiał przeze mnie.

- Nieprawda. Jack mi to wyjaśnił. Powiedział, że nie miałeś wyboru, że on na twoim miejscu musiałby zrobić to samo: jechać naprzód.

Vincent spojrzał ponuro.

- To mnie dręczyło. Miliony razy wyrzucałem sobie, że zabrałem go z sobą na tę misję.

- A więc zwlekałeś miesiącami z przyjazdem do mnie, bo miałeś nieczyste sumienie. Co sprawiło, że w końcu jednak mi się oświadczyłeś?

- Moje życie było puste - wyznał Vincent. - Straszliwie tęskniłem za Jackiem. Dręczyło mnie poczucie winy. A mama powtarzała, że powinienem się ożenić. Doszedłem do wniosku, że jestem gotów zawrzeć małżeństwo z rozsądku.

- Domyślałam się, że mogło chodzić o coś w tym rodzaju. Potrzebowałeś żony, a równocześnie mogłeś spełnić obietnicę. Myślałeś, że będę ci wdzięczna za propozycję. Przecież nie jestem zbyt ładna, a do tego, jak sądziłeś, bez grosza.

Ujął jej drżącą dłoń, a wtedy zwróciła na niego oczy o spojrzeń zranionej sarny.

- Nie patrz tak na mnie, kochanie - poprosił miękko. - Proszę, błagam cię. Przecież wiesz, że moje uczucia całkowicie się od tamtej pory zmieniły. Wiesz o tym, prawda? Musisz wiedzieć!

Policzki Cassie nabrały odcienia głębokiego różu, kiedy zauważyła intensywne spojrzenie Vincenta.

- Ja... nie byłam pewna. Chwilami wydawało mi się, że to z twojej strony coś więcej niż tylko zwykła sympatia, ale potem. ..

- O wiele więcej - przerwał jej pełnym emocji głosem. - Staralem się ze wszystkich sił nie okazać tego, co do ciebie czuję, bo nie chciałem cię spłoszyć, kochanie. Powiedziałaś, że chcesz tylko wygodnego związku. Nie pragnęłaś miłości...

- W jego oczach pojawiły się iskierki przekory. - Pamiętam, że bardzo jasno wyłożyłaś mi swoje oczekiwania odnośnie małżeństwa.

- Tak, to prawda. - Cassie zwiesiła głowę. - Okropnie głupio, prawda? Widzisz, byliśmy sobie z Jackiem tacy bliscy. Myśleliśmy tak samo i to samo nas bawiło, rozumieliśmy się bez słów. Byłam przekonana, że już nikt nie będzie mi tak bliski. Chyba bałam się miłości, a także tego, że znowu stracę ukochaną osobę i będę cierpieła. Chciałam mieć tylko bezkonfliktowego męża i pozycję towarzyską. Po samobójstwie ojca niektórzy ludzie traktowali mnie obrzydliwie.

- Masz wysoką pozycję towarzyską, którą tak sobie cenisz, kochanie. - Uśmiechnął się. - Wczoraj wieczorem odkryłaś moją poważną wadę. Nie mogę spokojnie patrzeć, jak inny mężczyzna emabluje moją żonę. Obawiam się, że gdyby nie interwencja mamy, byłbym w stanie strzelić do niego tak, by go poważnie zranić czy nawet zabić. Dzięki mamie zdążyłem się opamiętać.

- Muszę przyznać, że odegrała swoją rolę znakomicie i należy jej się nagroda - przyznała Cassie. - Musi od dawna ćwiczyć omdlenia na zawołanie.

- Chcesz powiedzieć, że jest bezwstydną szantażystką, która

wykorzystuje omdlenia, żeby postawić na swoim? - Vincent uśmiechnął się smętnie. - Wiem o tym. Mama nie lubi scen i podniesionego głosu. Brakuje jej odwagi, żeby stanąć do walki z odsłoniętą przyłbicą, jak ty, kochanie.

- Ale jej metody są skuteczne. Przecież zdołała cię zatrzymać, dzięki czemu nie rozstrzygnąłeś sprawy w wybrany przez siebie sposób.

- Saunders strzelił w niebo, ja również. - Vincent spojrzał jej prosto w oczy. - Nie mogłem się wycofać, Cassie. Musiałem stanąć do pojedynku, to kwestia honoru.

- Tak. Lady Longbourne mówiła mi, że tak właśnie to się odbędzie. - Zerknęła na niego z kpina. - Powiedziała mi, że twój ojciec i sir Bertram pojedynkowali się kiedyś o nią, a skończyło się na tym, że poszli się razem upić.

- Naprawdę? - Vincent się roześmiał. - Nie miałem o tym pojęcia, choć zdawałem sobie, oczywiście, sprawę, że kochała Bertiego jeszcze przed śmiercią ojca. Tata wracał do domu po nocy spędzonej na hazardzie i ostrym picciu i spadł z konia. Zginął niemal na miejscu. Mama odczekała całe pół roku, zanim ponownie wyszła za mąż, i jestem niemal pewien, że przez ten czas nie zostali kochankami.

- Wydaje mi się, że to był wyjątkowy związek, i dlatego twoja mama nie wyjdzie ponownie za mąż. Nie powinienesz ludzi się nadzieją, Vinnie.

- Już nie będę - zapewnił. - Wydawało mi się tylko, że straciła sens życia. Nie mogłem patrzeć, jaka była nieszczęśliwa, ale teraz jest już znacznie lepiej. Bardzo cię pokochała.

- Tak samo pokocha Sarah - powiedziała Cassie. - I swoje wnuki, Vinnie. Na pewno będzie im bardzo oddana. Musimy tylko wszyscy bardzo dbać o to, żeby nie pozostawała zbyt długo sama.

- Swoje wnuki? - Vincent uniósł pytająco brwi. - Czy mam przez to rozumieć, że za mnie wyjdiesz?

- Mogłabym, jeśli zdołasz mnie przekonać, że to leży w moim najlepiej pojętym interesie.

Vincent był rozbawiony figlem, który właśnie wpadł jej do głowy.

- A jak mam tego dokonać, Cassie?

- No... - zaczęła, udając głębokie zastanowienie. - Na początek mógłbyś mnie pocałować tak samo jak w swoim gabinecie. A potem wyjawić, dlaczego chcesz się ze mną ożenić.

- Jakbyś nie znała odpowiedzi! - zawołał Vincent, przyciągając ją do siebie. - Przynajmniej raz w życiu Septimus miał rację: jesteś cwaną babą!

- Ciągle jeszcze mi nie powiedziałaś! - zawołała Cassie i błyskawicznie zerwała się z kłody, choć Vincent próbował otoczyć ją ramionami. - Czas ucieka, Vinnie. Musisz się szybko zdecydować.

Spojrzała na niego z wyzwaniem i puściła się biegiem. Tym razem Vincent nie wahał się ani chwili i dopadł Cassie, zanim oddaliła się o kilka jardów. Odwrócił ją twarzą do siebie i pocałował w usta.

Pocałunek był tak namiętny, że niemal omdlała w jego ramionach. Kiedy ją puścił, zachwiała się i westchnęła, a potem uśmiechnęła się z zaufaniem i położyła mu głowę na ramieniu.

Pocałował ją we włosy.

- Pachniesz kwiatami - szepnął. - Rzuciłaś na mnie urok, Cassie. Od tygodni nie mogę myśleć o niczym innym, tylko o tobie.

- A ja miałam przez ciebie złamane serce.

- Nie? Naprawdę? - Dotknął policzka Cassie, a potem powędrował palcem w dół, obrysował nim brodę, wreszcie

dotarł do niewielkiego dołeczka u nasady szyi. - Nie okazywałaś tego w żaden sposób. Nie miałem pojęcia, czy choć trochę ci na mnie zależy. Nie zauważyłaś, że cię adoruję?

- Był taki moment, kiedy pomyślałam, że musisz mnie kochać - odparła. - Dlaczego byłeś taki zdenerwowany, kiedy mi się oświadczałeś?

- Przez tego idiotę, mojego przyrodniego brata. - Wytłumaczył jej, co się stało i jak się czuł, myśląc o możliwych konsekwencjach plotek. - Byłem rozdarty, Cassie. Doszedłem do wniosku, że mogłabyś mnie znienawidzić za zniszczenie twoich szans na sukces, gdybym pozwolił ci zadebiutować w towarzystwie pomimo takich pogłosek. Gdybyś została wprowadzona w świat bez pierścionka zaręczynowego, ludzie zaczęliby wietrzyć skandal. Przeklinałem Harry'ego tysiące razy, zapewniam cię. Chciałem grać z tobą w otwarte karty, ale bałem się wyznać ci prawdę.

- Jaką prawdę? - Spojrzała mu w oczy.

- Że rozpaczliwie się w tobie zakochałem, oczywiście. Wolałbym jednak poczekać, dać ci szansę lepszego poznania mnie. Nie wiedziałem, jak się przy tobie zachowywać, Cassie. Nigdy dotąd nie czułem się taki zagubiony i bezbronny. Umierałem ze strachu, że cię stracę, jeśli usłyszysz od któregoś z przyjaciół Jacka tę historię o słomkach.

- Nie musiałeś się bać, że mnie stracisz. Jeśli chodzi o ten wczorajszy idiotyzm: chyba wiedziałeś, dlaczego chciałam przerwać waszą kłótnię?

- Bo pomyślałaś, że jeden z nas mógłby zginąć?

- Chodziło mi przede wszystkim o ciebie, Vinnie. - Podniosła głowę i spojrzała na niego z błyskiem w oczach. - Na pewno o tym nie pomyślałaś, ale to by całkowicie zepsuło nasz ślub.

- Och, Cassie! Ty mała wiedźmo! Czy ja kiedykolwiek będę od ciebie lepszy? Czy kiedykolwiek zdołam cię nauczyć, byś odnosiła się do męża z należytych respektem?

- Możesz próbować - odparła, tym razem poważnie. - Nie jestem tylko pewna, czy ci się uda.

- Ani ja - przyznał Vincent. - Przyznam, że najbardziej by mi odpowiadało, gdybyśmy spotkali się w pół drogi, jak dzisiaj.

- Tak - przyznała Cassie. - Chyba istnieje nadzieja, że to się uda, najdroższy Vinnie.

Wyciągnął do niej rękę.

- Wrócimy do domu? Obawiam się, że mama wpadnie w histerię, jeżeli nie zapewnimy jej, że nie musi wyrzucać jedzenia przyszykowanego na weselne przyjęcie.

- Nie sędzę, by choć przez chwilę żywiła takie obawy - odrzekła Cassie. - Jest znacznie mądrzejsza, niż przypuszczasz.

Rozdział trzynasty

- Wyglądasz pięknie, moja droga - powiedziała lady Longbourne, przytykając koronkową chusteczkę do oczu, by otrzeć łzy, tym razem prawdziwe. - Nie mogę sobie przypomnieć, kto mi kiedyś powiedział, że jesteś nieładną dziewczyną, ale bardzo się mylił.

Cassie się uśmiechnęła.

- To tylko suknia, mamó - odparła. - I te brylanty, które mi przysłał Vincent. Nadal jestem nieładną małą Cassandrą Thornton, która mieszka na końcu drogi.

- Rzeczywiście jako dziecko nie byłaś może zbyt ładna - przyznała roztropnie lady Longbourne. - Teraz to się zmieniło. Promieniejesz. Carlton na pewno uzna się za szczęściarza, któremu trafiła się śliczna panna młoda.

- Może i tak, ale nie należy oczekiwać obiektywnej oceny od człowieka zakochanego. Pewnie wkrótce przejrzy na oczy.

- Bertie nigdy nie przejrzał - wyznała lady Longbourne z westchnieniem. - Na kilka chwil przed śmiercią pocałował mnie w rękę i powiedział, że dałam mu idealne szczęście. Nie wierz tym, którzy będą ci mówić, że miłość nie trwa wiecznie,

moja droga. Od ciebie jako kobiety w głównej mierze zależy, czy przetrwa.

- Jesteś bardzo mądra. - Cassie pocałowała przyszłą teściową w policzek. - Byłabym bardzo szczęśliwa, gdybym zdołała wzbudzić w mężu takie uczucia, jak ty w swoim.

Lady Longbourne poklepała jej dłoń.

- Wydaje mi się, że już to zrobiłaś.

Cassie spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Rzeczywiście wyglądała całkiem nieźle w cudownej kreacji z kremowej satyny i koronki, uzupełnionej ładnym stroikiem na głowę z jedwabnych kwiatów, w które wpięła jeden z rodowych klejnotów Carltonów. Miała nadzieję, że Vinnie zaaprobuje takie wykorzystanie brylantów swojej babki, bo na szyi chciała mieć prosty naszyjnik, który jej podarował w dniu zaręczyn.

Nadal nie mogła zrozumieć, dlaczego Vinnie ją pokochał, ale nie wątpiła już w jego uczucie. Pocałunki, jakimi obsypał ją w lesie, zanim - ręka w rękę - wrócili do domu, nie pozostawiały cienia wątpliwości.

- Gdybym nie był dżentelmenem - szepnął jej do ucha - kochałbym się z tobą już teraz. Rozpaczliwie cię pragnę, Cassie, a nie jestem tak cierpliwy jak sir Bertram.

- Nie jesteś, mój drogi? - Uśmiechnęła się do niego słodko i pogłaskała go po twarzy. - Poczucie honoru bywa niekiedy dość przykre, prawda? Powiedz mi, Vinnie, dlaczego panowie przykładają do tego taką wagę?

- Uważaj, nie przeciągaj struny.

- A może właśnie tego chcę? Bo widzisz, mój drogi, ja nie jestem dżentelmenem!

Cassie westchnęła, wspominając jego jak najbardziej satysfakcjonującą reakcję na tę prowokację. Odwróciła się, by lady

Longbourne mogła poprawić ostatnie szczegóły jej stroju i nagle trzykrotnie głośno kichnęła.

- Cassie! - Lady Longbourne spojrzała na nią zdenerwowana. - Mam nadzieję, że się nie rozchorujesz?

- Oczywiście, że nie - zapewniła Cassie trochę przez nos. - Biedna Janet ostrzegała, że mogę się od niej zarazić, ale ja nigdy się nie przeziębiam. Od lat nie chorowałam.

- Nie kuś losu, kochanie. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, wydaje mi się, że masz wypieki. Sądziłam, że to na skutek emocji, ale już nie jestem tego pewna.

- Nie wolno ci się martwić. - Cassie przeglądała się w lustrze. Rzeczywiście była nieco zaczerwieniona i zrobiło jej się gorąco. - To na pewno z emocji. Nic mi nie będzie.

Kościół pękał w szwach od licznie przybyłych przyjaciół państwa młodych. Wspierając się na ramieniu brata, Cassie szła zająć swoje miejsce u boku Vincenta. Obecność Jacka wywołała pewne komentarze, czemu trudno się dziwić, ale większość osób już wcześniej słyszała o jego powrocie, a wyglądał tak mizernie, że nikt się nie dziwił, iż swego czasu został uznany za zmarłego.

Powszechnie uważano, że Cassie bardzo dobrze wygląda, szczególnie jak na dziewczynę, która zawsze uchodziła za niezbyt ładną. Parę osób zwróciło uwagę na nietypowe dla niej silne rumieńce.

Cassie uśmiechnęła się, gdy Vincent odwrócił się ku niej z powitalnym błyskiem w oczach. Zdobyła się na ten uśmiech, choć zaczynała się czuć dziwnie, miała lekkie zawroty głowy i była ogólnie rozbita. Lady Longbourne uparła się, żeby przed wyjściem do kościoła wypić trochę brandy z gorącą wodą i cukrem. Teraz zastanawiała się, czy przypadkiem moc-

ny alkohol, do którego nie była przyzwyczajona, nie uderzył jej do głowy. Miała nadzieję, że nie popełni błędu przy składaniu przysięgi małżeńskiej.

Zdołała wypowiedzieć właściwą formułę i wyszła dumnie z kościoła jako żona Vincenta. Nie zamierzała się z sobą pieścić ani przyznać się komukolwiek, że czuje się chora. Marzyła tylko, żeby dzwony nie biły tak głośno. Głowa ją rozboleła i zaczęły się dreszcze.

Cassie była zbyt odporna, by dać się zmóc zwykłemu przeziębieniu. Jak tylko wrócili do Longbourne, weszła na górę, żeby doprowadzić się do porządku i spryskała twarz zimną wodą. Poprosiła Janet, która już była na nogach, żeby zrobiła jej jeszcze brandy z wodą i cukrem.

- Złapałaś ode mnie przeziębienie. - Janet przyglądała się ze zdenerwowaniem Cassie. - Wiedziałam, że się zarazisz. Od początku się tego obawiałam. I stało się. W sam dzień ślubu!

- Cóż, nic na to nie poradzimy - odparła Cassie. - Na razie to tylko gorączka. Na szczęście nie mam czerwonego nosa.

Brandy pomogła, choć Cassie jeszcze bardziej kręciło się w głowie. Zdołała jednak z uśmiechem na ustach przyjmować życzenia przyjaciół.

- Masz wypieki - zauważył Jack, całując ją w policzek. - Co się dzieje, Cassie? Jesteś chora?

- To tylko lekkie przeziębienie - szepnęła. - Poczuję się znacznie lepiej, kiedy usiadziemy.

Rzeczywiście poczuła się lepiej, ale nie mogła nic jeść. Toasty i przemówienia ciągnęły się bez końca. Od czasu do czasu piła łyk wina, które zdawało się trochę pomagać. Dźwięki stały się stłumione, niewyraźne, odległe... Bolała ją głowa, gardło, ale miała wrażenie, jakby to wszystko jej nie dotyczyło. Ona unosiła się gdzieś wysoko, pod sufitem.

- Co się dzieje, Cassie? - zapytał zaniepokojony Vincent.
- Jesteś chora? Masz silne wypieki.

- Nie - zapewniła go. - Nic mi nie jest.

Uśmiechnęła się uspokajająco. Zdołała nawet pokroić tort. Wkrótce rozległa się muzyka i wszyscy zawołali, żeby państwo młodzi rozpoczęli tańce. Cassie wstała nawet chętnie, kiedy jednak spróbowała zrobić krok, kolana się pod nią ugięły i zatonęła się na Vincenta. Podtrzymał ją, pomógł odzyskać równowagę, ale poczuł przy tym od niej lekką woń brandy i popatrzył na nią podejrzliwie.

- Piłaś alkohol, Cassie?

- Janet zrobiła mi trochę brandy z wodą i cukrem. - Spojrzała na niego niepewnie. - Pójdziemy tańczyć?

- A dasz radę?

- Oczywiście! - Popatrzyła na niego z oburzeniem. - Sądzisz, że jestem pijana?

- W żadnym wypadku, kochanie - odparł mężnie Vincent.

- Jestem tylko zaintrygowany i chciałbym wiedzieć dlaczego...

W tym momencie Cassie potężnie kichnęła i z rozmachem klapnęła na swoje krzesło.

- Wiesz, myślę, że jednak nie będę tańczyć - oświadczyła, wytrzeszczając na niego oczy jak sowa. - Mam miękkie nogi.

- Nie mówiąc o zawrotach głowy, prawda?

Widać było wyraźnie, że Cassie ma gorączkę.

- Głowa mnie boli - wyznała. - Przykro mi, Vincencie, ale sądzę... naprawdę myślę, że... - Westchnęła cicho i spadłaby z krzesła, gdyby jej nie podtrzymał.

Lady Longbourne natychmiast do nich podbiegła.

- Ojej, tego się obawiałam! - zawołała żałośnie. - Złapała paskudne przeziębienie. Zaczęło się dziś rano, więc dałam jej szklaneczkę brandy. Dość mocnej.

- A Janet dała jej drugą - odparł Vincent ze złośliwym uśmiechem. - Nic nie jadła, za to wypła trochę wina.

- To bardzo niefortunne - uznała lady Longbourne. - Wygląda na to, że gorączka całkiem ją zmoła, biedactwo. Zanieś ją na górę, Carltonie. Wydaje mi się, że musicie odłożyć wyjazd do jurta, a może nawet o dzień dłużej. Chyba widzisz, że Cassie nie nadaje się teraz do podróży, tylko do łóżka.

Cassie otworzyła oczy, kiedy Vincent pochylił się, żeby ją wziąć na ręce. Uśmiechnęła się rozkosznie.

- Zabierz mnie do łóżka, Vinnie - poprosiła. - Jestem taka zmęczona.

- Jesteś chora, kochanie. - Wsunął rękę pod jej kolana i wziął ją za ręce. - Głupiutki dzieciaku, czemu mi wcześniej nie powiedziałaś, jak się czujesz?

- Bo chciałam za ciebie wyjść. - Spojrzała na niego z rozmarzeniem i otoczyła jego szyję ramionami. - Jak mogłam opuścić ślub z powodu byle przeziębienia?

Vincent spojrzał na matkę z rozbawieniem.

- Przeproś wszystkich w naszym imieniu, mamó. Zachęć ich do tańca i zabawy. Wrócę, oczywiście, kiedy już ułożę Cassie w łóżku, żeby im podziękować za przyjście.

- Oczywiście.

Wiedział, że może w pełni polegać na matce, iż zdoła usprawiedliwić wobec wszystkich dość dziwne zachowanie Cassie. Jemu samemu było raczej obojętne, co sobie inni pomyślą, podejrzewał jednak, że jego młoda żona będzie bardzo zażenowana, gdy przypomni sobie przyjęcie weselne,

Zasypiała już, kiedy bardzo ostrożnie położył ją do łóżka. Janet rzuciła Vincentowi przepaszające spojrzenie, kiedy zorientowała się, co się dzieje z jej panienką.

- To po części moja wina, sir. Dałam jej brandy.

- Wspomniała o tym.
 - Poprosiła, żeby była mocna i pozwoliła jej przetrwać przyjęcie weselne bez oznak przeziębienia, sir.
 - Mama również dała jej mocną brandy przed wyjazdem do kościoła, a na dole nic nie jadła, wypła jednak przynajmniej jeden kieliszek wina.
 - Ojej, fatalnie. - Janet uśmiechnęła się na widok lekkiego rozbawienia w oczach jego lordowskiej mości. - Panna Cassie, a właściwie powinnam powiedzieć jej lordowska mość, prawie nigdy nie choruje, sir. Ostrzegałam, żeby się do mnie nie zbliżała, kiedy złapałam przeziębienie, ale nie posłuchała i proszę zobaczyć, co się stało.
 - Miejmy nadzieję, że to nie influenza.
 - O, nie, sir, nie sędzę. Moje przeziębienie trwało tylko trzy dni. Podejrzewam, że u niej będzie to samo.
- Cassie jęknęła cicho i otworzyła oczy. Uśmiechnęła się do Vincenta zapraszająco.
- Zamierzasz mnie pocałować?
- Vincent roześmiał się i usiadł na skraju łóżka. Pochylił się i bardzo delikatnie pocałował ją w usta.
- Pewnie chcesz mi oddać swoje przeziębienie, ale ja się nie boję. - Pogładził jej mocno rozpalone czoło. - Musisz teraz odpocząć, moja najukochańsza. Janet poda ci gorący napój z cytryną, a potem powinnaś się trochę przespać.
- Złapała go za rękę.
- Nie zostawiaj mnie, Vinnie. Chcę, żebyś został i przytulił mnie. Lubię być całowana. To bardzo, bardzo miłe.
 - Tak, ja też jestem tego zdania. - Jeszcze raz pocałował ją w usta, bardzo delikatnie. - Na nic nie mam większej ochoty, niż zostać z tobą, kochanie, ale sędzę, że powinnaś teraz spać. A ja nie mogę zaniedbywać naszych gości.

Cassie mruknęła coś i zamknęła oczy. Głowa ją bolała, ale w łóżku było tak wygodnie, wydawało jej się, że płynie po niebie na puszystym, białym obłoku.

- Proszę zostawić ją mnie, sir - powiedziała Janet. - Teraz już będzie spała, a o ile ją znam, to rano wstanie świeżutka jak poranny deszczyk.

- Miejmy nadzieję, że będzie się czuła lepiej.

Vincent podszedł do drzwi, ale obejrzał się jeszcze na żonę wtuloną w poduszki jak śpiący kociak. Wychodząc, uśmiechnął się do siebie. Niezupełnie takiej nocy poślubnej oczekiwał, ale z zachowania Cassie wnosił, że warto poczekać.

Cassie obudziła się rano, czując się fatalnie. Łamało ją w kościach, a poza tym podejrzewała, że wszystko wczoraj odbyło się nie tak, jak powinno. Usiadła i jęknęła, bo cały pokój zawirował. Znajdowała się w sypialni, którą zajmowała podczas pobytu w Longbourne.

Dlaczego nadal tutaj była? Co się stało? O nie! Pomyślała, że musiała zemdleć w trakcie przyjęcia weselnego. Jakże to poniżające!

Na stoliku przy łóżku zobaczyła dzbanek wody jęczmiennej, naląła trochę do szklanki i wypila. Gardło już tak nie bolało. Dlaczego więc w głowie łupało, jakby ktoś w niej walił w setki bębenków?

Zastanawiała się, czy wstać, kiedy do pokoju weszła Janet z tacą.

- Dobrze przypuszczałam, że wasza lordowska mość nie będzie już spała - powiedziała Janet, przyglądając jej się badawczo.

- Przyniosłam trochę rzadkiego kleiku i coś na ból głowy.

- Kleik? - Cassie się skrzywiła. - Muszę, Janet? Nie mogła bym dostać bułek i miodu?

- A da pani radę zjeść? - Janet popatrzyła na nią niepewnie.
- Myślałam, że jeszcze boli panią gardło?
- Z gardłem już jest dużo lepiej - zapewniła Cassie - ale wszystko inne mnie boli. Wydaje mi się, że miałam gorączkę. Tak dziwnie się wczoraj czułam. Jakby wszystko było nie-realne.
- Tak, przypuszczałam, że się pani tak czuła - powiedziała Janet, unikając jej wzroku. - To na pewno skutek gorączki, choć wino i brandy również mogły w tym mieć swój udział.
- Ojej! - zawołała Cassie, przytomniejąc. - Podejrzewasz, że byłam wczoraj pijana?
- Janet zawahała się, pamiętając o instrukcjach jego lordowskiej mości, który zajrzał wczesnym rankiem do żony.
- Nie, na pewno nie byłaś pijana - oświadczyła lady Longbourne, która wpłynęła w tym momencie do pokoju jak lekka bryza. Miała na sobie bardzo twarzowy, morelowy szlafroczek i koronkową narzutkę. - Miałaś okropną gorączkę i zapewniam cię, że poinformowałam wszystkich, jak dzielnie postanowiłaś przebrnąć przez ślub pomimo choroby.
- Rzeczywiście czułam się bardzo chora - przyznała Cassie, rumieniąc się, bo zaczynała sobie przypominać pewne rzeczy.
- Mam nadzieję, że nie zrobiłam żadnego głupstwa w czasie wesela?
- Oczywiście, że nie. Ja czuję się tak samo w czasie przeziębienia - zapewniła ją lady Longbourne. - Wypij ten kleik, który ci przyniosła Janet, kochanie. Na pewno poczujesz się po nim znacznie lepiej.
- Dziękuję. - Cassie sięgnęła po szklanekę i spróbowała odrobinę kleiku. Smakował ohydnie, ale przełknęła go, podobnie jak cisnące się jej na usta przekleństwo. - Może jeśli poczuję się lepiej, to wstanę.

- Na twoim miejscu zostałabym dzisiaj w łóżku - poradziła lady Longbourne. - Ludzie już o ciebie pytali. Przesłano kilka bukietów kwiatów i pełne niepokoju liściki. Zaraz każę ci je tu przynieść.

- Jesteś dla mnie taka dobra. Wszyscy są dla mnie dobrzy. Lady Longbourne uśmiechnęła się i wyszła.

Cassie pociągnęła jeszcze jeden łyk kleiku i skrzywiła się ze wstrętem.

- Proszę, zabierz to, Janet. Wolałabym dzbanek gorącej czekolady i parę bułek.

- Jak pani sobie życzy, wasza lordowska mość.

- Proszę! - zawołała Cassie. - Czy nie mogłabyś nadal nazywać mnie panną Cassie, przynajmniej kiedy jesteśmy same?

- Tak, panienko. - Janet uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Na osobności mogłabym, ale wobec innych pokojówek musisz zachowywać się z godnością. I musisz koniecznie skończyć z tymi eskapadami! Jego lordowska mość będzie oczekiwał od żony zachowania godnego damy.

- Tak, Janet. Wiem, że w przyszłości muszę zachowywać się stosownie. Nie krzycz na mnie... - Przymknęła oczy, bo w głowie znów zaczęło jej huczeć. - Wiesz, zapomnijmy jednak o śniadaniu, chciałabym jeszcze trochę się przespać.

Kiedy znowu otworzyła oczy, jej wzrok padł na stojącego w nogach łóżka Jacka. W rękach trzymał wiklinowy kosz, który jej podał, kiedy ziewnęła i usiadła, uśmiechając się do niego sennie.

- Lady Longbourne uważała, że nie powinienem wchodzić do twojej sypialni, ale twój mąż nie miał nic przeciwko temu, więc jestem. Wracam dziś do Francji, Cassie, ale

przed wyjazdem chciałem jeszcze zajrzeć do ciebie i przekonać się, czy wszystko w porządku. - Popatrzył na nią z niepokojem. - Lepiej się czujesz, prawda?

- Tak, oczywiście. Cieszę się, że przyszedłeś, Jack. Byłabym oburzona, gdybyś tego nie zrobił. Co mi przyniosłeś? - Z wnętrza dobiegło ciche miauknięcie, a kiedy uniosła pokrywę, zobaczyła małą kulkę puszystego białego futerka. - Kociak! Cudownie! Rozpieszczasz mnie, Jack. Najpierw śliczny, srebrny naszyjnik, należący niegdyś do babci, który tak mi się zawsze podobał, a teraz to.

- Zaslugujesz na znacznie więcej - stwierdził Jack i pochylił się, żeby ją pocałować w policzek. - Tak bardzo cię kocham, Cassie. To okropne, że rozchorowałaś się w dniu ślubu. Nie mam pretensji, że trochę się upiłaś. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo.

- O nie! Upiłam się? - Cassie popatrzyła na niego ze zgrozą.
- Co sobie ludzie pomyśleli?

- Nie masz powodu do niepokoju. Lady Longbourne przekonała wszystkich, że rozłożyła cię złośliwa grypa, ale Vinnie zdradził mi, że to raczej brandy. W głębi duszy chyba go to bawi.

- Naprawdę? - Cassie się skrzywiła. - Możecie się obaj ze mnie wyśmiewać, ale naprawdę czułam się bardzo chora.

- Oczywiście, że byłaś chora, i nie ma w tym nic śmiesznego - zapewnił pospiesznie jej brat, lecz nie zdołał powstrzymać się od śmiechu. - Przepraszam, kochanie. Wiem, że byłaś kompletnie rozbita. Nie złość się. Pewnie upłyną wieki, zanim znowu się spotkamy, i nie chcę rozstawać się z tobą w niezgodzie.

- To na pewno nie będzie tak długo - zapewniła Cassie, której uraza minęła równie szybko, jak się pojawiła. - Chcę

poprosić Vincenta, żebyśmy odwiedzili ciebie i Louise podczas podróży poślubnej.

- Cudownie! - zawołał uradowany Jack. - Mam nadzieję, że pokochasz Louise tak samo jak ja. No, muszę już iść.

Złapała go za rękę.

- Uważaj na siebie, Jack. Zapamiętaj sobie na przyszłość, że co by się działo, ja zawsze będę cię kochać.

- Ja też cię kocham, Cassie. - Uśmiechnął się, puścił jej rękę i ruszył do drzwi.

Zostawiona samej sobie, Cassie uznała, że naprawdę czuje się znacznie lepiej. Ból głowy minął, w gardle również przestało drapać, choć jeszcze trochę kichała i od czasu do czasu musiała wydmuchać nos. Nie było jednak czym się przejmować i nie widziała powodu do leżenia w łóżku.

Postanowiła wstać. Włożyła starą, prostą suknię, którą mogła zapiąć bez pomocy. W żadnym wypadku nie powinna wzywać Janet, która z pewnością by ją skrzyczała i nie pozwoliła wstać z łóżka.

Rozczesała długie, lśniące włosy i zostawiła je rozpuszczone, bo nie chciało jej się ich spinać. Zerknęła w lustro i doszła do wniosku, że nie wygląda zbyt elegancko. Niektóre z jej londyńskich przyjaciółek uznałyby ją wręcz za zaniedbaną, ale chciała uciec, zanim ktoś jej powie, że ma wracać do łóżka.

Prawie wszyscy już ją odwiedzili, poza Vincentem. Ze zmarszczonym czołem Cassie zeszła na dół po schodach, przyciskając do piersi kociaka, którego dostała od brata. Dlaczego mąż do niej nie zajrzał? Wiedziała, że wpadł wcześniej, kiedy spała, ale od czasu gdy obudziła się po raz pierwszy, już nie przyszedł. Może był na nią wściekły, że narobiła mu wstydu w czasie wesela?

Cassie nie mogła sobie przypomnieć niczego, co się dzia-

ło, pamiętała tylko, że Vincent niósł ją po schodach na górę. Czy naprawdę rzuciła mu się na szyję i zażądała, żeby ją pocałował? Co za bezwstydne zachowanie! Co on sobie o niej pomyślał?

Wymknęła się na dwór bocznym wyjściem w nadziei, że nie zostanie zauważona, i ruszyła powoli do niewielkiego ogródka, z którego prawie nigdy nie korzystano. Było tu zacisznie w to ciepłe letnie popołudnie i bardzo spokojnie. Odpowiednie miejsce, jeśli człowiek chciał zostać sam ze swoimi myślami.

Cassie znalazła suchą kępę trawy pod jabłonką, rozłożyła szal i usiadła. Głaskała leżącego na jej kolanach kociaka i przemawiała do niego, próbując wymyślić imię dla nowego ulubieńca.

- Mam cię nazwać Puszek czy Śnieżka? - zapytała, podnosząc kociaka do góry i całując go w główkę. - A może to zbyt pospolite imiona? Powinnam wymyślić coś lepszego... - Ziewnęła. - Wybacz, Puszkule, nie wiem, co się stało z moimi dobrymi manierami.

Położyła kociaka na trawie i zajęła się zbieraniem stokrotek, z których plotła łańcuch. Zawiesiła go sobie na szyi i nagle poczuła się śpiąca. Położyła się na trawie i zamknęła oczy. W tym ogrodzie było tak ciepło i spokojnie... Kiedy w jakieś dwadzieścia minut później otworzyła oczy, siedział przy niej Vincent.

Uśmiechnął się, kiedy się przeciągnęła i usiadła.

- Wyglądałaś tak spokojnie, że nie chciałem cię budzić. A ziemia jest całkiem sucha, więc nie sędzę, by ci to zaszkodziło.

- Od dawna tu jesteś? - Cassie zerknęła na niego z lekkim onieśmieleniem. Wydawał jej się taki przystojny w jasnokre-

mowych bryczesach, wysokich butach i białej koszuli. Miała nadzieję, że nie potrafi czytać w jej myślach, bo marzyła, by go objąć.

- Kilka minut. Janet powiedziała, że wstałaś, więc wyszedłem cię szukać. Ogrodnik widział, jak tu wchodziłaś. - Spojrzał na nią tak, że oblała się rumieńcem. - Przeziębienie ustępuje?

- Tak, jest już o wiele lepiej. Okropnie mi głupio, że tak się wczoraj rozłożyłam.

- Czy jesteś pewna, że nie lepiej było poleżeć jeszcze jeden dzień w łóżku?

- Nienawidzę leżeć w łóżku bez powodu. Zresztą, jest tak ciepło, że na pewno się nie doziębię. Bawiłam się z Puszkiem...

- Rozejrzała się dookoła i zmarszczyła czoło. - No nie! Zniknął. Powinnam go lepiej pilnować. Jeszcze nie zna swojego domu. Boję się, że zginie.

- Puszek? - Vincent uniósł brwi.

- Kociak. Dostałam go od Jacka. To taka cudowna kulka białego puchu, więc... - Urwała, bo usłyszeli żalosne miauczenie. Cassie spojrzała w górę, w gałęzie jabłoni. - O nie! Ty głupi kocie, jak się tam wdrapałeś?

Zerwała się na nogi, gotowa wejść na drzewo za kotem, ale Vincent stanowczo złapał ją za ramię i zatrzymał.

- Nie, Cassie. Musisz tu poczekać. Zostaw to mnie. Nie chcę ratować zarówno ciebie, jak i tego głupiego zwierzaka.

- Nie musisz się wściekać, Vinnie. Nie zamierzałam wcale wchodzić na drzewo. Nie jestem dzieckiem. Zresztą Janet powiedziała mi przed chwilą, że muszę nauczyć się zachowywać jak dama. Nie będzie więcej żadnych eskapad ani siniaków.

Uniósł brwi z niedowierzaniem.

- Uwierzę, jak to zobaczę!

Roześmiała się, a on zaczął szukać jakiegoś punktu do oparcia nogi. Na jego twarzy malował się wyraz rezygnacji i poddania się przeznaczeniu.

- Bądź ostrożny, Vinnie - ostrzegła. - Niektóre z tych gałęzi mogą nie wytrzymać twojego ciężaru. Może powinniśmy posłać ogrodnika po drabinę?

- Jeszcze nie jestem taki stary, żeby nie móc wdrapać się na drzewo!

Rozgniewał się, pomyślała Cassie. Powstrzymała się od odpowiedzi i patrzyła z napięciem, jak Vincent powoli i ostrożnie wspina się na drzewo. Jabłoń była stara i aż prosiła się o przycięcie gałęzi. Wstrzymała oddech, gdy Vincent zbliżał się pomalutku do kotka, który skulił się w rozwidleniu gałęzi.

- Chodź, kiciusiu - przemawiał Vincent tak łagodnie, że Cassie uśmiechnęła się do siebie. - Kici, kici... - Był już blisko kotka, wyciągnął rękę i próbował go złapać. Przestraszony maluch rzucił się na jego dłoń z pazurkami. Vincent zaklął i o mało nie stracił równowagi. - Wstrętna kreatura!

Kot wygiął grzbiet i gniewnie zasyczał. Vincent ponownie próbował go złapać, a wtedy kot skoczył mu na głowę, po czym wykonał zapierający dech skok i wylądował na piersi stojącej pod drzewem Cassie. Pazurki przebiły się przez cienki materiał sukienki, więc pisnęła z cicha. Zwierzątko zeskoczyło na ziemię i dało nura w krzaki. Vincent spojrział na Cassie, stracił równowagę i złapał się gałęzi, która nie była dość mocna, by wytrzymać jego ciężar. Rozległ się złowieszczy trzask, któremu towarzyszyło dość ordynarne przekleństwo Vincenta, zsuwającego się po pniu drzewa na dół i wreszcie z głośnym łoskotem upadł na ziemię. Leżał na plecach z zamkniętymi oczami, całkiem nieruchomo.

- Vinnie! - krzyknęła Cassie. - Vinnie, mój kochany, naj-

droższy! - Uklękła przy nim zdenerwowana. - Vinnie, odzwij się! Jesteś ranny, kochanie? Nie zniosłabym, gdybyś umarł. Błagam, nie zostawiaj mnie.

Błada z przerażenia, gładziła rękami jego twarz, gdy nagle otoczył ją ramionami i wciągnął na siebie. W następnej chwili przetoczył się z nią tak, że leżała pod nim na ziemi. Patrzyła na niego i strach zaczął ją opuszczać na widok łobuzerskiego błysku w jego oczach.

- Och, ty draniu - szepnęła, nagle pozbawiona tchu. - Przeraziłeś mnie. Myślałam, że jesteś ciężko ranny.

- Niewątpliwie jestem cały w siniakach - odparł zdecydowanie Vincent. - Będziesz musiała się nimi zająć, moja droga.

- Mam cię wysmarować maścią? - zapytała z udawaną gorliwością, co małżonek skwitował kwaśną miną.

- Wiem, że jestem od ciebie o dziesięć lat starszy, ale czy uważasz mnie za całkiem zniedołężniałego?

Stłumiony chichot Cassie sprawił, że oczy mu pociemniały.

- Jesteś wiedźmą, lady Carlton. Musisz nauczyć się szacunku dla męża. Niewątpliwie będę musiał cię zdyscyplinować.

Delikatnie musnął wargami jej usta, ale wkrótce pocałunek pogłębił się, a ich ciała wyprężyły się z taką niecierpliwością, że oboje byli wstrząśnięci. Vincent niechętnie puścił żonę i dotknął jej twarzy czubkami palców.

- To chyba nie najlepsza pora i miejsce, kochanie. Wysłano mnie, żebym cię przyprowadził na lunch.

- Nie możemy się ociągać - oświadczyła Cassie z kpina w oczach. - Byłoby szokujące, gdybym nie przyszła na lunch. Jak potem mogłabym spojrzeć ludziom w oczy?

- Możemy wśliznąć się do twojego pokoju i udawać, że nie mogłem cię znaleźć.

- Tak. - Cassie dusiła się ze śmiechu. - Moglibyśmy.

Ręka w rękę ruszyli do domu. Kiedy jednak podeszli do drzwi, w progu stanął Septimus i niezbyt delikatnie postawił na trawie psa żony.

- Wredny zwierzak - stwierdził na ich widok. - Moim zdaniem, wszystkie takie zarazy powinno się topić zaraz po urodzeniu.

- Stryju, jeszcze nigdy nie zgadzałem się z tobą tak bardzo jak w tej chwili - zapewnił Vincent. - Szczególnie koty. Białe i puchate.

- Och, Vinnie! - zawołała Cassie. - Zapomnieliśmy o Puszku.

- Poślemy lokaja, żeby go znalazł. A jeśli jednemu się nie uda, wyślemy wszystkich.

- Dobrze, Vincent. Ty decydujesz.

- Jak się pani dziś czuje, lady Carlton? - zapytał Septimus. - Muszę przyznać, że wczoraj wszyscy się niepokoiiliśmy, ale najwyraźniej błyskawicznie wraca pani do zdrowia.

- Czuję się już bez porównania lepiej - oświadczyła Cassie i kichnęła potężnie. - Zwykle w ogóle nie łapię przeziębień. Nie mam pojęcia, dlaczego wczoraj tak fatalnie się poczułam.

- Ani ja - mruknął Vincent i spojrzał na nią tak, że oblała się rumieńcem. - To było całkiem niepojęte.

Septimus zauważył, że są w nastroju do żartów.

- Hm - prychnął. - Carltonie, pozwól zwrócić sobie uwagę, że masz podarte spodnie. Co ty robiłeś?

- Właziłem na drzewo - wyjaśnił Vincent. - Wybacz, stryju. Musimy się przebrać, zanim zejdziemy na lunch.

Położył rękę na ramieniu Cassie, wprowadził ją do domu i skierował w stronę schodów. Na górze spotkali Harry ego.

- Cieszę się, że już pani wstała, lady Carlton - powiedział.
- Vinnie, mogę cię prosić na słowo?

- Później, Harry. Muszę się przebrać.

- O... przepraszam - mruknął Harry. - Masz podarte spodnie, Vinnie, wiedziałeś o tym?

- Wspinał się na drzewo - wyjaśniła Cassie z roześmianymi oczami. - To żalosna przypadłość u człowieka w tak zaawansowanym wieku, ale mam nadzieję, że z czasem zdołam go z niej wyleczyć.

- Wiedźma! - Vincent mocniej zacisnął dłoń na jej ramieniu. - Wybacz nam, Harry.

Vincent minął osłupiałego brata, wepchnął żonę do jej pokoju i zatrzasnął za nimi drzwi. A potem przyciągnął ją do siebie i mocno objął ramionami.

- Czy wiesz, jak bardzo ja...?

Drzwi się otworzyły.

- Cassie... - zaczęła lady Longbourne i urwała, a na jej policzki wypłynął lekki rumieniec. - Wybacz, Carlton. Nie wiedziałam, że tu jesteś. Przyszłam sprawdzić, czy Cassie już wróciła i czy zejdzie na lunch.

- Jestem tu, bo chcę być razem z żoną, mamo, i dlatego że muszę zmienić spodnie. Zanim mnie o tym poinformujesz: wiem, że są rozdarte.

- To prawda. Co robiłeś?

- Kusi mnie, żeby ci powiedzieć - odparł Vincent, którego cierpliwość była już wyraźnie na wyczerpaniu. - Niestety, jak dotąd nic nie zdołałem zrobić, bo w tym domu roi się od wścibskich osób. Pozwól sobie odpowiedzieć: nie, Cassie nie zejdzie na lunch. Jak tylko się przebierzemy, wyjeżdżamy do Carlton House. Zabierzemy z sobą kosz piknikowy i kiedy zgłodniejemy, to zjemy coś sami. Z całą pewnością sami.

- Nie ma powodu do zdenerwowania, Carltonie - stwierdziła urażona matka i zmarszczyła czoło.

- Wcale się nie denerwuję - odparł wyraźnie zirytowany. - Chcę tylko zostać przez kilka minut sam na sam z żoną. Chyba nie żądam zbyt wiele, prawda?

- Kochany Vinnie. - Cassie dotknęła jego ręki, żeby zwrócić na siebie uwagę. - Chyba jesteś trochę rozdrażniony, kochanie, a nie masz ku temu powodu. Będziemy razem przez resztę życia. A tak się składa, że jestem okropnie głodna.

- Naprawdę, najdroższa? - Vinnie spojrzał na nią z góry, ale jego zniecierpliwienie rozwiało się, kiedy zrozumiał, że Cassie ma rację. Należała do niego i nie musiał kurczowo łapać swojego szczęścia. - No dobrze. Zejdziemy za dół za dziesięć minut, mamó. - Posłał jej słodki uśmiech. - Ale proszę, zamknij za sobą drzwi, kiedy wyjdiesz...

Rozdział czternasty

Vincent, przebrany w spodnie, które włożył do ślubu, oddał w pełni sprawiedliwość zimnym mięsiwom, pieczywu oraz ciastom, z których składał się lunch. Zauważył, że Cassie jadła bardzo niewiele, trochę chleba z masłem i kurczaka.

Zaraz po zakończeniu posiłku świeżo upieczona pani Carlton zaczęła się śpieszyć, by jak najprędzej wyruszyć w podróż do nowego domu. Wycalowała wszystkich przyjaciół i wyszła na dziedziniec, na którym stały już gotowe do drogi powozy.

- Baw się dobrze, kochanie - powiedziała lady Longbourne ze łzami w oczach. - Już nie mogę się doczekać, kiedy wrócicie z podróży poślubnej, aby złożyć wam długą wizytę.

- Nie zapominaj, że musisz teraz zaplanować ślub Harryego, mamó - powiedziała Cassie, całując ją. - Poza tym będę opisywać ci w listach wszystkie miejsca, które odwiedzimy, i kolekcjonować pamiątki, które pokażę ci po powrocie. Będziesz mogła, oczywiście, odwiedzać nas, kiedy zechcesz.

- Jesteś słodką, wspaniałomyślną dziewczyną. Carlton wygrał los na loterii, że cię znalazł, moja droga.

- Do widzenia, lady Carlton - powiedział sir Septimus,

kiedy przyszła jego kolej, by się z nią pożegnać. Pocałował ją w rękę. - Wydaje mi się, że wie pani, jak trzymać w garści tego kogucika, swojego męża. Gdyby jednak sprawiał jakiegokolwiek kłopoty, proszę po mnie posłać. Już ja zrobię z nim porządek!

- Zrobię to z całą pewnością - przyrzekła Cassie i impulsywnie pocałowała go w policzek. - I, oczywiście, zawsze z przyjemnością powitamy pana wraz z rodziną w naszym domu.

Sir Septimus rozpromienił się i uparł się osobiście podać Cassie rękę przy wsiadaniu do powozu. Vincent obserwował to z rozbawieniem i pobłażliwością, potem wsiadł sam i dał znać lokajowi, żeby zamknął drzwi.

- Dzisiaj nie jedziesz wierzchem? - zapytała Cassie z niewinną miną.

- Nie jadę. Przynajmniej w drodze do Hamilton będę cię miał tylko dla siebie.

- Do Hamilton? Twojej posiadłości w Surrey? Myślałam, że jedziemy do Carlton House?

- Tak mama zaplanowała - wyjaśnił Vincent - ale uznałem, że Carlton jest położone zbyt blisko Longbourne. Nie zdziwiłbym się, gdyby moja droga mamusia postanowiła złożyć tam wizytę w ciągu najbliższych kilku dni.

- Vincent! - zawołała zaszokowana Cassie. - Jak możesz podejrzewać ją o coś takiego?

- Znam swoją rodzinę. A skoro zapewniłaś Septimusa, że w każdej chwili będzie mile widziany, obawiam się, że już nigdy się go nie pozbędziemy.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

- Nie chcesz widywać swojej rodziny, najdroższy?

- Oczywiście, że chcę, ale nie przez cały czas i nie podczas

miodowego miesiąca. To naprawdę przedziwne, lecz mam taki kaprys, żeby spędzić trochę czasu tylko z tobą, Cassie.

Wybuchnęła śmiechem, więc spojrział na nią z urazą.

- Przynajmniej teraz jesteśmy sami. Mogę się pozbyć tego...

- Zaczęła rozwiązywać wstążkę ślicznego, słomkowego kapelusika. Zdjęła go i z westchnieniem położyła na siedzeniu na przeciwko. - Tak jest znacznie lepiej. Nie sądzisz, Vinnie?

- Uważam, że bardzo ci w nim do twarzy, kochanie. Nie lubisz go?

- Jest rzeczywiście bardzo ładny i wyjątkowo go lubię, ale teraz będzie ci łatwiej mnie całować, nie sądzisz?

- A, tak, to rzeczywiście całkiem niezły pomysł. Nie pomyślałem o tym, kochanie, ale to trafna uwaga.

To mówiąc, wziął ją w ramiona i zaczął całować ku obojwój radości.

Hamilton Manor był rzeczywiście znacznie większy od Carlton House. Wzniesiony z ładnych, czerwonych cegieł, miał trzy skrzydła, przypominał więc kształtem literę E, a był to styl szczególnie ceniony w czasach, gdy go budowano, czyli za panowania Elżbiety I. Dwór był doskonale utrzymany, a wewnątrz wprowadzono wiele współczesnych udogodnień.

- Jak tu ładnie! - zawołała Cassie, wysiadając z powozu późnym wieczorem. Było tak ciemno, że nie widziała budynku, natomiast ogrody przed domem rozciągały oszałamiającą woń róż i wiciokrzewów. - Jak pięknie pachnie! Podejrzewam, że w świetle dziennym ten ogród wygląda wspaniale.

- Szkoda, że przyjechaliśmy późno w nocy - zauważył Vincent, bo zbliżała się północ. - Pomyślałem jednak, że będziesz wolała spać we własnym domu, a nie w zajeździe.

- Tak, zdecydowanie - zgodziła się Cassie, na próżno próbując stłumić ziewanie. - Bardzo się cieszę, że tu jestem, Vinnie. A ogród obejrzę rano.

Została wprowadzona do holu, gdzie pospiesznie zebrała się ta część służby, która miała polecenie czekać w gotowości na przyjazd państwa.

- Przepraszam, że miałeś tak mało czasu - powiedział Vincent do głównego kamerdynera. - W ostatniej chwili zmieniłem plany. Mam nadzieję, że nasze pokoje są przygotowane, Morton?

- Tak, sir - odparł kamerdyner. - W myśl otrzymanych instrukcji mieliśmy spodziewać się państwa w każdej chwili. Jesteśmy w pełnej gotowości już od wczoraj, milordzie. Przygotowaliśmy zimną kolację w pokoju porannym, jeśli państwo sobie życzą.

- Dziękuję. Wiedziałem, że można na tobie polegać. Czy pani Morton mogłaby zaprowadzić jej lordowską mość na górę? Moja żona jest trochę zmęczona po podróży. Za dziesięć minut możesz przynieść jej tacę do pokoju. Pokojówka pani rozpakuje mały kufer. Pozostałe bagaże mogą poczekać do rana.

- Tak, sir. Dziękuję, sir.

Przedstawiono Cassie najważniejszych członków służby domowej. Była zbyt zmęczona, by zapamiętać ich nazwiska, Janet przypomniał jej rano. Weszła za panią Morton główną klatką schodową i z korytarza na górze przeszła do ciągu pokoi w zachodnim skrzydle. Kiedy została wprowadzona do utrzymanego w kremowo-błękitnej tonacji saloniku, z ulgą stwierdziła, że jej wierna Janet już czeka na nią w sypialni i nawet zdążyła wypakować i naszykować dla niej nocną koszulę.

Cassie weszła do sypialni i rozejrzała się z przyjemnością.

Ściany zostały wytapetowane zielonym jedwabiem z powtarzającym się wzorem ze stokrotek. Zasłony przy łóżku i w oknie oraz obicia wykonano z tkaniny w jaśniejszym odcieniu zieleni, zdobionego wspaniałymi haftami wyglądającymi jak girlandy splecione z żywych stokrotek.

- Zupełnie jak wiosenna łąka. Nawet w deszczowe dni, kiedy nie można wyjść na dwór, będę się czuła jak na świeżym powietrzu.

Pani Morton skłoniła głowę, uśmiechnęła się i wyszła, zostawiając nową panią pod opieką wiernej Janet.

Cassie stała spokojnie, podczas gdy pokojówka zdejmowała z niej strój podróżny, po czym westchnęła z ulgą. Przyniesiono ciepłą wodę, więc Cassie przeszła za pięknie malowany parawan, żeby się umyć i włożyć delikatną, przejrzystą nocną koszulę. Na wierzch narzuciła elegancki satynowy szlafrok.

- Dobranoc, milady. Mam nadzieję, że będziesz bardzo szczęśliwa.

Cassie zdjęła srebrny koreczek z ładnego, błękitnego flakonu z perfumami i sprawdziła zapach na palcu. Spodobał jej się, więc skropiła się delikatnie za uszami i na przegubach dłoni. Wtedy usłyszała, że otwierają się drzwi garderoby i do pokoju wszedł Vincent. Przebrał się w długi, ciemnoniebieski szlafrok, zauważyła jego białe stopy, co uświadomiło jej zmianę w ich sytuacji.

Uśmiechnął się, kiedy wstała.

- Uwielbiam, kiedy masz rozpuszczone włosy, Cassie. Wyglądasz ślicznie.

- Och, Vinnie. Nie jestem ładna. Sam wiesz, że nie jestem.

- Ładna? - Uniósł brwi i podszedł do niej. - Nie jesteś ładna, Cassie, jesteś piękna.

- Chyba patrzysz na mnie oczami miłości, Vinnie.

Wziął ją za rękę i poprowadził do stojącego w rogu pokoju wysokiego lustra. Postawił ją przed nim, po czym otoczył ją z tyłu ramionami i wtulił usta w jej włosy.

- Dla mnie jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie - rzekł. Wyczuła przeszywający go dreszcz. - Spójrz w swoje oczy tak jak ja, Cassie. Masz piękną duszę. Twoje piękno sięga głębiej, nie ogranicza się do naskórka, więc nie zniszczy go upływ czasu.

- To chyba sprawka blasku świec - powiedziała ze śmiechem Cassie i obróciła się w ramionach męża. Zarzuciła mu ręce na szyję. Zapach jej perfum i miękkość ciała podziałały na niego odurzająco. Vincentowi wyrwał się gardłowy jęk.

- Pocałuj mnie, Vinnie - szepnęła. - Chcę należeć do ciebie, kochany. Chcę należeć do ciebie bez reszty.

- Nie jesteś zbyt zmęczona?

- Nie - odparła i rzeczywiście całe jej zmęczenie wyparowało; była chętna i gotowa, kiedy wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. - Wcale nie jestem zmęczona.

Miłość Vincenta przekroczyła wszelkie jej oczekiwania i nadzieje. Jego pocałunki doprowadziły ją, drżącą, na skraj ekstazy, a kiedy przeniosły się niżej, szukając najbardziej sekretnych, najwrażliwszych miejsc jej ciała, rozpływała się z rozkoszy.

- Och, Vinnie... tak bardzo cię kocham.

- I ja cię uwielbiam, moja śliczna żono.

Była już gotowa na jego przyjęcie, drżąca z namiętności, którą rozbudził w niej czułymi pieszczotami, i choć w pierwszej chwili poczuła ból, wkrótce dała się porwać fali pożądania i słodkiej rozkoszy, która wyniosła ich oboje na nieznane dotychczas wyżyny. Tylko wówczas gdy namiętności towarzyszy miłość, połączenie dwóch ciał może być tak całkowite, tak

autentyczne, tak wszechogarniające, że dwoje ludzi staje się jedną istotą.

Potem, kiedy leżeli bez ruchu, zachwyceni, objęci ramionami, zatopieni w miłości i idealnym zrozumieniu, Vincent zaczął mówić o tym, co tak długo krył w głębi serca.

- Nie mogłem zapomnieć dziewczynki, która kazała mi dwa razy włączyć na drzewo - szepnął Cassie do ucha. - Kiedy pojechałem do Londynu, byłem, jak większość młodych chłopców, pełen poczucia dumy i pewien swej męskości. Były tam kobiety... - mocniej objął ją, bo poczuł, że zeszywniała - ale rozkosz, jakiej doświadczałem w ich ramionach, była przelotna. Wkrótce mi się znudziły. Miałem przyjaciół. Jack zawsze był najlepszym z nich. Wielokrotnie zapraszał mnie do swojego domu, lecz ciągle byłem zbyt zajęty albo tak sobie wmawiałem. A potem wybuchła wojna. Obaj wstąpiliśmy do armii Wellingtona i pewnej nocy Jack zapytał mnie, czy ożenię się z tobą w razie jego śmierci.

Vincent ucałował kark Cassie. Wtuliła się w niego, ciepło jego ciała dawało jej poczucie zadowolenia i bezpieczeństwa.

- Odmówiłem. Nie wierzyłem, że mógłbym dać ci szczęście, zresztą sam nie wiedziałem, czego chcę. Przyjaciele uważali mnie za niezwykle odważnego, bo bez zastanowienia ryzykowałem życie, ale ja nie obawiałem się śmierci.

- Odmówiłeś Jackowi... - Cassie odwróciła głowę w jego stronę. - Nie rozumiem.

- Odmówiłem za pierwszym razem, kiedy prosił o to tylko mnie, ale potem, po śmierci waszego ojca, skierował prośbę do nas pięciu. Nie miałem wyjścia, skoro pozostali wyrazili zgodę. Zadbalem tylko, żebym to ja wyciągnął najkrótszą słomkę. Jeśli już ktoś miał ci zaproponować małżeństwo z rozsądkiem, musiałem to być ja.

- Dlaczego?

- Bo nigdy nie zapomniałem twojej odwagi. Pamiętałem cię ciągle jako dziecko, które nie zgodziło się ustąpić. Bałem się, że jeden z pozostałych oficerów, którzy złożyli Jackowi obietnicę, mógłby spróbować okiełznać twojego nieustraszonego ducha i postanowiłem nie ryzykować.

- Ale nie przyjechałeś?

- Wszystko przygotowałem, ale trzymałem się z dala. Chyba się bałem. Minęło kilka lat od naszego spotkania. Myślałem, że mogłaś wyrosnąć na konwencjonalną młodą damę, a ja nie chciałem, żebyś się zmieniła. Chciałem, byś została tą samą dziewczynką, która kazała mi najpierw zdjąć z drzewa kota.

Cassie przewróciła się na bok, żeby móc na niego patrzeć.

- Ale ja byłem takim brzydkim, nieznośnym dzieckiem. Winnie. Byłam uparta i... rozdarłeś spodnie, wracając po mnie na drzewo. Odjechałeś zaraz potem, więc pomyślałam, że jesteś wściekły.

- Byłem zakłopotany. Zdawałem sobie sprawę, że pokazałem ci nieco więcej ciała, niż dopuszczają zasady przyzwoitości.

- Tak, to prawda - przyznała i wybuchnęła śmiechem. - Zapomniałeś o jednym. Jako dzieci, często pływaliśmy z Jackiem nago w rzece. Byłam przyzwyczajona do widoku męskiej anatomii.

- Złośliwa wiedźma! Jeśli nawet nie uraziło to twoich uczuć, to uraziło moje.

- Och, Winnie! Byłeś dla mnie rycerzem na białym koniu, ale zamiast uwieźć mnie w dal na grzbiecie rumaka, uciekłeś ode mnie w pośpiechu, jakby goniły cię demony.

Winnie ucałował miejsce u nasady jej szyi, gdzie bił puls.

- Nic dziwnego, że tak cię uwielbiam - powiedział. - Nigdy kogoś takiego nie spotkałem. Już wtedy mnie czymś ujęłaś. - Przeciagnał palcami wzdłuż jej kręgosłupa, aż głośno wciągnęła powietrze, czując narastające pożądanie i wygięła się ku niemu. - Nie mogę powiedzieć, że pokochałem cię tamtego dnia. Wtedy to nie była miłość, raczej przelotna myśl, że jesteśmy podobni.

- Dlatego, że ja nieustannie pakowałam się w tarapaty, a ty zawiesiłeś parę damskich gorsetów na wieży kościelnej w Carlton?

- Kto ci o tym powiedział? - Vincent popatrzył na nią ze zdumieniem. - Harry?

- Nie, panna Simpson. Powiedziała mi tamtego wieczoru parę interesujących historyjek na twój temat.

Rozbawiony Vincent się zaśmiał.

- Widzę, że w przyszłości powinienem poświęcić tej pani więcej uwagi. Nie doceniałem jej. Czego jeszcze się dowiedziałas?

Cassie przysunęła się bliżej i pocałowała jego nagie ramię.

- Między wierszami wyczytałam, co potwierdzały pewne moje własne obserwacje, że mogłeś być czasami bardzo samotny.

- Dziwne, że to zauważyłaś. Nie mam pretensji, że mama wolała Harryego. Kochała mnie tak mocno, jak mogła - ciągnął. - Jednak przypominałem jej ciężkie chwile. Czułem zawsze pustkę w sercu, ale to nie mamy wina. Czułbym ją, będąc jej ulubionym synem. Zawsze wiedziałem, że szukam czegoś... kogoś. - Objął Cassie i wtulił usta w jej włosy. - I teraz wreszcie znalazłem tę wyjątkową istotę. Jedyne kobietę, która wypełniła tę pustkę.

- Vinnie... - Łzy Cassie zmoczyły jego ramię. - Nie sta-

wiaj mnie na piedestale, kochanie. Nie dorównam wyobrażeniu, jakie o mnie masz.

Zamknął jej usta pocałunkiem. Cassie zrozumiała, że już nigdy nie będzie zazdrosna o La Valentine, bo Vincent należy tylko do niej.

Cassie obudziła się w pustym łóżku. Było jej zimno, zastanawiała się, gdzie jest Vincent. Może poszedł do swojej sypialni? Wstała, owinęła się kapą i przeszła przez łączące ich apartamenty drzwi, żeby sprawdzić. Pokój był pusty. Zauważyła jednak jego szlafrok, przerzucony niedbale przez poręcz krzesła, więc domyśliła się, że ubrał się i wyszedł. Może na poranną przejażdżkę.

Żałowała, że nie poczekał na nią, bo chętnie by z nim pojechała. Poprosi go o to następnego dnia.

Wróciła do swojej sypialni i wyjrzała przez okno. Jak pięknie! Nawet nie śniła o tak wspaniałym widoku.

Park schodził do jeziora, które błyszczało w porannym słońcu, a dalej rysowały się aż po horyzont łagodne wzgórza. Nagle coś przyciągnęło jej wzrok. Westchnęła z zachwytem, kiedy w niewielkiej odległości od domu dostrzegła stadko jeleni, prowadzone przez wspaniałego samca. Wśród przynajmniej piętnastu zwierząt dostrzegła dwa jelonki, trzymające się w pobliżu matek. Stado skubało wyniesioną dla nich karmę i najwyraźniej było całkiem oswojone.

Odwróciła się i zobaczyła wchodzącego do pokoju męża. Miał na sobie strój do konnej jazdy i najwyraźniej wracał z dworu, bo jego twarz była zarumieniona po ruchu na świeżym powietrzu.

- Wejdz i zobacz - zawołała, wyciągając do niego rękę. - Jelenie podchodzą pod sam dom.

- Babcia Hamilton zaczęła je karmić w pobliżu domu - powiedział z uśmiechem, widząc jej radość. - Dziadek burczał trochę, bo czasami wchodziły do ogródka warzywnego i trawowały jarzyny, ale ona kochała je obserwować, więc kazał karmić je nawet po jej śmierci, przez wzgląd na jej pamięć. Wyszedłem wcześniej rano, żeby sprawdzić, czy wyniesiono im karmę. Chciałem, żebyś je zobaczyła, kiedy wstaniesz.

- Jesteś taki troskliwy, Vinnie - szepnęła, patrząc na niego zamglonymi oczami. - Wiedziałeś, jaka będę zachwycona. Co za cudowna niespodzianka.

- Zawsze chciałem sprawiać ci radość - powiedział, całując jej dłoń. - Pospiesz się, kochanie. Ubierz się. Jest trochę chłodniej niż ostatnio, ale słonecznie. Chcę ci pokazać moją najwspanialszą niespodziankę.

- Co to jest?

-Przekonasz się, jak zejdziesz na dół - odparł i wyszedł.

Cassie zadzwoniła po Janet i w dwadzieścia pięć minut później zeszła na dół. Mąż niecierpliwie krążył po holu. Wyciągnął do niej rękę, a ona pędem zbiegła z ostatnich stopni na spotkanie.

Był taki niecierpliwy!

- Co to jest, Vinnie?

- Chodź na dwór, to ci pokażę.

Wyszła za nim na dziedziniec i krzyknęła z radości na widok lekkiej kariolki i pary wspaniale dobranych siwych koni, których grzywy i ogony lśniły w porannym słońcu jak jedwab.

- To dla mnie, Vinnie? - Przyglądała im się z podziwem.
- Och, wiedziałeś, że o tym marzyłam, o własnym pojeździe, którym mogłabym sama powozić. I te konie! Są takie rasowe!

- Nic nie jest dla ciebie za dobre - oświadczył Vincent z błyskiem satysfakcji w oczach, kiedy podeszła poklepać konie.

- Sporo czasu zajęło mi znalezienie idealnej pary. A kariolka została wykonana na zamówienie, jest wyjątkowo lekka i łatwa w prowadzeniu.

- Będę jak lady Lade! - zawołała Cassie ze śmiechem. - No, może nie całkiem...

- Będiesz znana jako elegancka lady Carlton - oświadczył Vinnie z łobuzerskim błyskiem w oczach. - Ale ostrzegam, Cassie, nie pozwolę ci jeździć po mieście, dopóki nie przekonam się, że robisz to bezpiecznie i z klasą.

- Naturalnie - odparła. - Kiedy udzielisz mi pierwszej lekcji? Może od razu? Proszę, powiedz tak. Nie mogę się już doczekać!

- Dlaczego nie - zgodził się z uśmiechem. Podał jej rękę i pomógł wdrapać się na kozioł. W chwili, gdy pokazywał jej, jak lekko trzymać wodze w jednym ręku, zobaczyli jeźdźca, wpadającego na dziedziniec. Vincent zmarszczył brwi.

- Wielkie nieba? To Harry, co on tu robi, do licha?

Harry podjechał do nich.

- Całe szczęście, że was złapałem - powiedział. - Przyjechałem, żeby cię ostrzec, Vinnie. Mama okropnie się pokłóciła wczoraj z Septimusem, zaraz po waszym odjeździe. W dwie godziny później wyruszyła w podróż do Hamilton. Namówiłem ją, żeby zatrzymała się na noc w gospodzie, a sam ruszyłem przodem, żeby was ostrzec. Będzie tu za godzinę.

- A niech to. Nie mogłeś jej zatrzymać?

- Nie przyjechałaby, gdyby wiedziała, że tu jesteście - Harry rzucił im przepaszające spojrzenie. - Tłumaczyłem, że na pewno zmieniliście plany, ale wiedziała swoje. Była pewna, że pojechaliście do Carlton, i stwierdziła, że ani jej się śni, by

wam tam przeszkadzać, ale z pewnością nie będziecie mieli nic przeciwko temu, żeby przyjechała tutaj, skoro nie jest w stanie przebywać z Septimusem pod jednym dachem. A on nawet nie drgnął, wiesz, jaki jest gruboskórny.

- W takim razie jedź z powrotem, powiedz, że jesteśmy tu taj, i poproś, by zawróciła...

Cassie położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie bądź taki niedobry, Vinnie - poprosiła. - Twoja matka będzie bardzo mile widziana, jeśli chce spędzić tu kilka dni, zresztą wkrótce wybieramy się do Francji w odwiedziny do Jacka i Louise.

- Czy my już nigdy nie będziemy sami? - Spojrzał na nią groźnie z góry. - Do licha, chcę cię mieć dla siebie!

Cassie pochyliła się do niego i szepnęła mu coś do ucha. Harry nie dosłyszał słów, zobaczył jednak, że twarz jego brata natychmiast się rozpogodziła.

- Masz rację! - zawołał ze śmiechem. - Tam za nami nie pójdzie, prawda?

Cassie zarumieniła się i spojrzała na Harry'ego.

- Czy mógłbyś pójść do domu i powiedzieć pani Morton, że wkrótce spodziewany się odwiedzin lady Longbourne, Harry? I przeproś mamę w naszym imieniu. Niestety, nie możemy powitać jej osobiście, bo wybieramy się właśnie na przejażdżkę, długą przejażdżkę, i może nas nie być przez większą część dnia. Jednakże poproś, by się rozgościła, i uprzedź, że wieczorem zjemy razem obiad.

Odwróciła się i z uśmiechem spojrzała na męża.

- Może miałbyś ochotę powozić, Vinnie? Żeby mi pokazać, jak to się robi?

- Masz na myśli pospieszną ucieczkę?

- Właśnie, kochany.

Vincent roześmiał się i popędził konie. Zostawili za sobą chmurę kurzu, wypadając z dziedzińca do parku, a potem pomiędzy łagodne wzgórza.

Harry obserwował ich przez chwilę, po czym uśmiechnął się do siebie i zawrócił konia. Cassie niewątpliwie знаła wiele sztuczek, które w przyszłości mogą się okazać bardzo użyteczne...